



Wiel 1/2 pol. ety. 1882



318809

M. Bystroniska

ADAM AMILKAR KOSIŃSKI.

OPOWIADANIA ŻOŁNIERSKIE

z wojen od r. 1799 do 1812.


 —————
 'Dodatek powieściowy do «Nowej Reformy».
 —————


884-3-84



KRAKÓW.

Nakładem Wydawnictwa „Nowej Reformy“.

1900.



474747

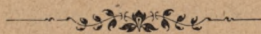


W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ
pod zarządem A. Szyjewskiego.



ADAM AMILKAR KOSIŃSKI, urodz. w r. 1815 w Cholewach (gub. warszaw.), zaczął pisać około r. 1840 i ogłaszał najwięcej opowiadań w *Bibliotece warszawskiej* i *Pielgrzymie*. Przedmioty, brane z walk napoleońskich i późniejszych wypadków historycznych, umiał opracowywać tak, że jego opowiadania czytano z wielkiem upodobaniem. Osobno wyszły: 1) Powieści i opowiadania żołnierskie w Lipsku w r. 1845, w 3 tomach; 2) Powieści z dziejów polskich w Warszawie 1845, 3 tomy; 3) Powieści starszlacheckie, tamże 1847, 3 tomy; 4) Magnaci i szlachta, tamże 1851, 3 tomy; 5) Dzieci królewskie, 3 tomy; 6) Ostatni książęta mazowieccy w Warszawie 1852, 3 tomy; 7) Dwa obrazki z przeszłości, w Wilnie 1852; 8) Czarno i biało, Wilno 1853.

Pisma te dzisiaj rzadkie, zasługują na przypomnienie; podamy też z nich najlepsze w stosownym wyborze w tem przekonaniu, że uczynimy przysługę i Czytelnikom naszym i literaturze ojczyznej.



SĄD WOJENNY.

Oficerowie pułku, którym dowodziłem, zebrali się w mojej kwaterze. Stósownie do niedawno odebranego rozkazu, mieliśmy nazajutrz odmaszerować do Pampeluny, a wypocząwszy parę tygodni w tem mieście, wrócić do Francyi a nawet do Ojczyzny. Pewność blizkiego ujrzenia lubyh stron rodzinnych, powitania po długiej rozłące przyjaciół, znajomyh i krewnyeh, nie wywoływała przecież objawów radości na naszych twarzach, wszyscy byliśmy ponurzy, małowowiący, oburzeni nawet.

Ważny powód był do tego.

Brakowało nam jednego z oficerów, podporucznika wyborowego szwadronu jazdy, który lubo od półtora roku dopiero towarzyszem był naszym, zaciągnąwszy się do wojska, przecież szlachetnem postępowaniem wszystkich serca pozyskał, a odwagą i dzielnością w boju odznaczył się chlubnie.

Od dwóch tygodni zaś, właśnie od czasu odebrania pomyślniej wiadomości powrotu do ojezystej ziemi, znikł on z Fuentes, małej wioski, w której pułk mój od niejakiemu czasu stał obozem.

Jaki powód był tego zniknięcia, pojąć nikt nie mógł; lubiany przezemnie, pełniąc obowiązki adjutanta pułkowego, miał swą kwaterę właśnie obok mojej, opu-

ściwszy ja, żadnego nie zostawił śladu nagłego wyjazdu, wszystko w niej pozostało na miejscu, pieniędzy nawet z sobą nie wziął, a jak utrzymywał jego służący i odzież nie zmienił, wychodząc po raz ostatni. W pojedynku też nie zginął, z żadnym bowiem z kolegów honorowego, nie miał zajścia, a choćby miał, nie było powodu tajemnicy, pojedynki bowiem, jak to powszechnie wiadomo każdemu, nietylko dozwolone były w armii, ale pobłażaniem zachęcano nawet do nich.

Nie można było także wnioskować, aby zniknięcia powodem byli mieszkańcy Pueblo, żeby zdrada lub zemsta, zgon młodzianowi przyniosły. Jakkolwiek już wtedy mieszkańcy całej Hiszpanii, oburzeni byli niesprawiedliwymi i niepolitycznymi Napoleona postępkami, uwięzieniem króla Ferdynanda VII, narzuceniem Józefa, i innowacjami, które chociaż mądre i korzystne, do wyobrażeń i stanu moralnego usposobienia mieszkańców półwyspu nie dały się zastosować: dotąd przecież zacięta i mordercza nie wybuchła wojna z narodem jak to miało miejsce niespełna w rok potem. Olbrzymi geniusz i szczęście nieodstępne cesarza, bytność jego w Hiszpanii, imponowały najśmielszym umysłom; walczyć z nim, ze zwycięzcą połowy Europy niepodobieństwem się zdało: w kilkunastu dniach przecież, stotysięczną armią hiszpańską przez dzielnych i zdatnych generałów dowodzoną, wszakże rozproszył; niezdobyte dotąd wąwozy Samo-Sierra przeszedł, i bez zdobycia szabli, stolicę kraju, Madryt, opanował.

Otóż w tym czasie, jeszcze wszystko było w Hiszpanii spokojnie; w zdobytych prowincjach mieszkańcy ulegali nam, jeżeli niechętnie to z musu; o krwawych powstaniach, zdradzieckich mordach, słyhać wcale nie było. Pomimo tego jak najbaczniejsze zarządziłem śledztwo, nietylko w Pueblo, ale i w okolicy, uwięziłem nawet

kilka podejrzanych osób, a rozjątrzony daremnie poszukiwaniem, gotowałem się do innych, gwałtowniejszych środków; gdy nadbiegł pocztowy wysłaniec z Barcelony z listem zginionego oficera do mnie adresowanym.

Listu tego nie będę w całości czytelnikom cytował. Nieszczęśliwy zapewniał w nim, że był zdrow i wolny, że bez czyjej bądź porady i wmięszania się obóz porzucił, że do tego poważne skłoniły go pobudki; upraszał zatem, abym śledztwo zawiesił, i wszelkie wywiadywania się porzucił, wziął bowiem silne postanowienie, zostania na zawsze w Hiszpanii. Reszta listu wypełniona była czezemi oświadczeniami dla mnie szacunku, lekką wymówką dziwnego postępuku, i tym podobną gadaniną; lecz jakie były pobudki, zmuszające go do pozostania w Hiszpanii, jakie obowiązki o których wspominał, nie wyjaśnił mi jednym słowem.

List ten oburzył mnie, zamiast żeby miał uspokoić, czyliż bowiem podporucznik nie przyznawał się w nim do haniebnego, podłego zbiegostwa? A zbiegostwo oficera nie byłoż plamą dla pułku całego, co mówię dla armii; dotąd nie było tego przykładu. Cóż więc powie generał korpusu, co Napoleon? Bo czyliż przypadek ten ujdzie jego wiadomości? Nadto z ojcem podporucznika znałem się dobrze, oddał on mi syna pod szczególną opiekę, święcie ją zapewniłem, święcie pragnałem dopełnić: jednak powinność nakazywała o zbiegostwie syna zdać wyższej władzy raport. Miałemże hańbą skalać siwe włosy poczeiwego starca, skalać ród jego, jeden z tych któremi się szczyci nasza historia, którego znakomite czyny, wypisane są na jej każdej stronicy. Przykre istotnie było moje położenie.

Tydzień zatem wahałem się cały, tydzień cały oczekiwałem na powrót nieszczęśliwego, a przynajmniej

na jakieś jego dalsze objaśnienia lub wymówki; nadaremnie jednak; Następnego dnia jak rzekłem, mieliśmy do Pampeluny odmaszerować: Cesarz niezawodnie sam przejrzał pułku zarządzi, generał dywizyi zechce listy oficerów, ich apellu; skrywać ubytku niesposób, trzeba wziąć jaki środek, i dlatego na radę cały korpus oficerów zebrałem.

Narada krótko trwała, zdanie wszystkich jednomyślnie było: audytor raport napisał, podporucznika podał za zbiega, ja musiałem podpisać!

Jednakże, istotnie zasmucony wyrzekłem:

— Pojąć całego zdarzenia nie umiem; On, młodzian tyle szlachetny, prawy, w swoim dotychczasowem postępowaniu, znając jak okropne skutki ściągnię na siebie, na ród cały i na nas wogóle haniebnym swoim postępkim, jakże się go mógł dopuścić? Doprawdy tracę głowę myśląc o tem.

— Zwyczajny szal młodości, rozpusta, głupstwo, — odparł major pułku, jeden z tych ludzi, którzy zawsze i wszędzie złe widzą, a doszedłszy późnego wieku, z próżną głową, czczem sercem, błakają się po świecie, wszystko a szczególnie też młodzież potwarzając i łajając.

— Nie ma czemu dziwić się mój pułkowniku. Powody o których wspomina, łatwe do odgadnięcia: może zgrał się w karty, zadłużył, wstyd mu teraz pokazać się między znajomymi. Może inny jaki grzeszek popełnił, który dopiero czas objaśni. Miał pod swym kluczem twoją kasę, interesa prowadził, może zrobiło się jakie nadużycie sprzeniewierzenie...

Wzdrygnąłem się na tę uwagę, nie bardzo ona mi przecież zdawała się bezzasadną, gdy jeden z młodszych oficerów, przyjaciel kiedyś nieszczęśliwego, wyrzekł z zapalem:

— Nie będę ani chcę bronić postępków mojego dawnego kolegi, nie znam powodów, które go do poniżającego, i w części na nas rozciągającego się, haniebnego kroku skłoniły. O tem tylko mogę zapewnić, że znając sposób jego myślenia, co więcej, jego duszę i serce, honorem prawie mogę, potwierdzić że niedopuscił się żadnego z tych występków, o jakich pan major wspomina. W karty nigdy, a przynajmniej bardzo rzadko grywał, długów nie zaciągał, a pan pułkownik sprzeniewierzenia w kasie lub interesach łącznie już odkryłby. Jeżeli podporucznik miał jaką przyczynę opuszczenia pułku, to bez wątpienia inną, nie tyle hańbiącą. Pisał w swym liście, że honor zmusza go do pozostania w tym kraju. Czemuż temu oświadczeniu nie uwierzyć? Mojem zdaniem, istotnego powodu jego zbiegostwa nie będzie trudno dojść, wcale różne przypuszczając domysły od tych, jakie podał p. major.

— I jakież są one mój poruczniku? trochę szyderczo, trochę podechwytiliwie, zagadnął rozgniewany major.

— Jakie? — Porucznik zarumienił się nieco, wszystkich oczy zwrócone były na niego, od odpowiedzi nie mógł się zatem uchylić, i jękał:

— Różne mogą być, na przykład: on młody, nierozważny — może, nie powiadam tego za prawdę, ale jako domysł — może... zakochał się.

— Ach, to więc twoja przyczyna! istotnie bardzo ważna, mój panie — szyderczo rzekł major. Zakochał się, i dlatego, dla miłości, podeptał swój honor, naraził nas, pułk cały i armię na zwierzechników pośmiewisko i wyrzuty. Przepraszam mój poruczniku, na ten domysł nie wpadłem, i przypuściwszy, że on słuszny, nie wiem w czem zmniejsza winę twego kolegi.

— Powtarzam, co rzekłem, bronić nie chcę dawnego mego towarzysza, ale też nie chcę próżnemi pobudkami

i domniemaniami potępiać, zwłaszcza gdy sędzę, iż on daleko więcej godny litości, niż potępienia; przypuściwszy bowiem że...

— Ach! znowu przypuszczenia i zapewne równie ważne, jak przed tem. Nie pojmuję ich doprawdy, nie pojmuję, jak można bronić człowieka bez czei i honoru, zbrodniarza; bo czyż nim nie jest twój przyjaciel, mój panie? A obrona, którą dajesz, jakąś część sromoty winnego i na adwokata ściągnąć może.

Rzeźwy rumieniec oblał lica oficera, oko gniewem zabłysło, wzdrygnął się cały i już chciał jakąś odpowiedź rzucić, która, jakkolwiek pocziwych uczuć wypadek, mogła być obrazić majora i młodziana na przykrą odpowiedzialność narazić, gdym się wmieszał do rozmowy, wyrzekłszy pospiesznie:

— Rzecz skończona, moi panowie. Dłużej was zatrzymywać nie chcę, raport podpisany, dziś go jeszcze prześlę generałowi; boli mnie to, trapi, lecz innej rady nie widzę, obowiązek służby nakazuje karać występki, jakim on jest. O pobudkach, których nie znamy dokładnie, sądzić nie sposób; żegnam więc panów, znacie rozporządzenia, jutro o świcie wymaszerować winniśmy.

Oficerowie oddawszy mi zwykły pokłon wojskowy, opuścili komnatę, sam tylko młody porucznik, obrońca oskarżonego, wstrzymany mojem skinieniem, pozostał. Słowa młodziana i zapal, z jakim przyjaciela bronił, nie uszły mojej uwagi, myśl mi nawet przyszła, że on więcej wie, niż kto inny, więcej niż chciał powiedzieć; wyznam też, że podejrzenie o zakochaniu się podporucznika nie raz na myśl mi przyszło, ono jedno istotnie, choć w części pozwalało wytłómaczyć zgubny, haniebny, jego postępek.

— Panie L. — mówiłem zatem — byłeś przyjacielem nieszczęśliwego, w blizkich z nim zostawałeś sto-

sunkach, błagam cię, wyznaj mi szczerze, otwarcie, gdzie się znajduje?

Oficer zamyślił się nieco, odparł posępnie:

— Nie wiem.

— Zastanów się przecież, od ciebie zależy jego los, honor nasz wspólny pułku, i najdroższy dla Polaka, armii; uprzedzam cię nadto, że mimo krzyczącego występku twego przyjaciela, aby on tylko przed odesłaniem raportu do nas przybył, lub wymówki któreby można było przyjąć, podał, — ukarać go nie chcę, ani myślę. Znasz moje z nim stosunki, z jego całą rodziną i ojcem. Całą rzecz możnaby ukryć, ubarwić, w pomyślnem świetle wystawić, że nawet major dyscypliny wojskowej nie mógłby użyć.

Oficer zrazu mileżał, zwiesiwszy głowę na pierś, potem rękę przyłożył do czoła i odparł:

— Ach! tak, panie pułkowniku, znam twoją duszę i serce, jestem przekonany, że ty jeden może nie potępiasz, nieszczęśliwego zgubić nie chcesz; ależ taki okropny zbieg okoliczności, z resztą nie wiem, pojąć tego nie mogę, aby tak było, sam domysł, próżny, czy pewnie.

— Lecz panie L. — szybko wyrzekłem — i domysł w tej sprawie znaczy wiele, bo może nas naprowadzić na trop prawdziwy; dlatego proszę cię, powiedz, powiedz dokąd czas: raport napisany, odesłać go potrzeba.

— A więc mnie się zdaje, przebacz panie pułkowniku, mówiłem ci, że to tylko domysł: on, niezbyt dawno napomknął o tem, otóż... — szeptał cichym głosem oficer, — gdy nagle niby jakaś groźna myśl, jakaś dziwna obawa ciałem jego wstrząsnęła, spojrział żwawo w me oczy i zamilkł.

— Jest w tem jakaś tajemnica, coś istotnie niepojętego — pomyślałem sobie. Przecież nie straciłem nadziei,

a chcąc na dawny tor wprowadzić porucznika, ośmielić, lub przynajmniej prawdę po słówku wydobyć, rzekłem :

— Tak, tak, rozumiem, pokochał się bezwątpienia, lecz cóż w tem zdrożnego? Szał młodzieńczego wieku, nie więcej. Któż mu nie uległ? Może nawet jego miłości zdaleko zaszyły, może wycofać się z nich teraz bez obrazy honoru nie sposób; lecz wszystko można naprawić, przynajmniej zdrową radę przynieść z pomocą: dlatego, panie poruczniku, otwarcie ze mną i śmiało: a więc miłość jak sądzisz, powodem zniknięcia twego kolegi.

— Tak, myślę, głucho jęknął oficer.

— I tę miłość, on ci wyznał, odkrył?

— W połowie przynajmniej, mój pułkowniku.

— Kiedyż? dawno przed zniknięciem?

— Jeżeli się nie mylę, na trzy tygodnie.

— A więc już w czasie, kiedy tu stanęliśmy kwaterą.

— Tak jest.

— I w kimże, mówił, że się zakochał. Nazwisko tej osoby?

Oficer zamyślił się kłopotliwie :

— Nie, pułkowniku, nazwiska powiedzieć nie mogę...

— Bez tego przecie, pojmiesz, żadnych zaradczych kroków nie będziemy mogli przedsięwziąć: gdzie szukać podporucznika, jak kierować śledztwem? Dla Boga, mój panie, porzuć próżną obawę, zgubne skrupuły, wszakże tu idzie o cały los, o szczęście i życie nawet nieszczęśliwego. Tając jego związki, stajesz się pierwszą sprężyną zguby; nadto, gdy chcesz, daję ci słowo honoru, że nazwa owej kobiety dla wszystkich tajemnicą zostanie. Spodziewam się, że mi ufasz?

— Jakżebym mógł nie ufać, mój pułkowniku, lecz taki okropny związek wydarzeń — O! nie, to niesposób pojąć, domyślić się nawet przyczyny nie zdołasz. Nie, —

niech co chce stanie się, tobie, panie pułkowniku, wyznać jego tajemnicy nie mogę.

— Mnie wyznać nie możesz? Dlaczego?

Dziwna, dzika myśl, niby błyskawica, przebiegła nagle w mej głowie, pobudziły ją tajemnicze słowa oficera, jego niepojęte wahanie się i skrupuły.

— W jednej chwili, krótkiej sekundzie, z tą bystrością skupienia wszystkich władz wyobraźni i duszy, zwykłą zakochanym, zazdrosnym, zebrałem i uporządkowałem w mej głowie nie tylko wszystkie pozory i wnioski, dotyczące miłości podporucznika, ale i innej, daleko mi droższej osoby, wykrzyknąłem gwałtownie:

— A więc on się zakochał w tym zanku?

Oficer pobladł, i odparł:

— Nie nie wiem, pułkowniku.

— Dla Boga, odpowiadaj przecież: Nie pojmujesz, co się dzieje w mej głowie, sercu, jakieś w nie twojemi poprzedniami słowami podejrzenie rzucił; już teraz nie tylko o jego los idzie, szczęście innych osób tu wplątane; proszę cię zatem mów wszystko co wiesz, opowiedz do słowa, do ostatniej myśli.

Oficer rzucił mi bystre, badaweze spojrzenie, może przeczytał w oku, na czole, war uczuć, kołatających duszą i sercem; myśli odgadnął, bo odparł z spokojną rozważą:

— Z największą chęcią odpowiem na wszystkie pytania, dam objaśnienia, jakich zażadasz, jakie bez złamania danego porucznikowi słowa honoru, uczynić mi będzie wolno. Więcej pan nie możesz wymagać.

— Ach! więc przyjaciel pański wymagał słowa honoru, tajemnica jego musi być zatem wielkiej wagi, a przynajmniej jedną z tych, które boją się światła i sądu ludzi poezciwych.

— Do ostatniej chwili swego pobytu, porucznik postępował i zachował się, jako człowiek nieskażonego honoru.

— Przecież krył się z uczuciami swojemi, przecież knował podłe zamiary, niby zdradziecka gadzina, przygotował się w cieniu sekretu, aby śmiertelny cios ponieść ręce, która ją wypiastowała.

— Nie mogę zrozumieć słów pana pułkownika...

— Mógłbyś bezzawodnie, gdybyś chciał, mój panie, z trudnym do hamowania oburzeniem krzyknąłem — Lecz dość tego, dałeś słowo honoru na sekret, dotrzymać go musisz, lecz może ono nie wzbroni ci na parę pytań odpowiedzieć; N. p. czy osoba, w której zakochał się twój kolega, zamieszkiwała gdzieś daleko w Madrycie, Segowii lub gdzie indziej, gdzieśmy kiedyś stali kwaterą, czy też bliżej, w okolicach tego Pueblo, w tym zamku być może...

— Tych objaśnień nie mogę dać mój pułkownik.

— To przynajmniej możesz powiedzieć, czy miłość była wzajemnością płacona, czy przedmiot jego uczuć dał mu jaką nadzieję?

— W czasie, w którym ze mną mówił, nie mi o tem nie wspomniał.

— Ale później, lecz później?

— Mało z nim miałem styczności, stojąc o dwie mile odległe kwaterą.

Krew moja żarem ognistym po wszystkich żyłach krążyła, głowa była w obłąkaniu.

— I czemuż badać o to wszystko, krzyknąłem, alboż rzecz sama nie dowodzi czynu? Zniknął z tego zamku tak nieodgadnionym sposobem, przetrząsnęłam okolicę całą, nigdzie najmniejszej poszlaki; ukrycie jego tak baczne, staranne, że tylko przebieg kobiecy obudzony kochem,...

coś podobnego urządzić potrafi; ach tak, pewny jestem, przekonany zupełnie, i pan nie wiesz, gdzie on się ukrył.

— Daję słowo honoru, odparł bez zająknięcia oficer, że nie wiem.

— Wierzę ci całkiem, przyjaźń jego nie rozciągała się tak daleko, aby kogobądź powiernikiem sprawek uczynić; występny zbrodniarz, czyliż czuć, znać przyjaźń potrafi? Dziękuję ci mój panie, za twoje objaśnienia. Krótkie one, ale wielkiej były wagi; powiedziałem że po nitce do kłębka dojść można, i dojdę go, na szatana, dojsć muszę, a wtedy biada mu! Nie sąd wojenny, nie militarnej sprawiedliwości dłoń, ale inna ukarać go potrafi. Bądź pan zdrów, proszę cię jednak, całą naszą rozmowę w tajemnicy zachowaj: strzeżesz jej dla człowieka bez czei i wiary, ufam, że i dla swego dowódcy i istotnego przyjaciela strzedz jej będziesz.

Oficer wyszedł smutny, milczący, ja szybko ubierać się zacząłem, ubierać starannie, aby oddać wizytę osobie dotąd drogiej sercu mojemu, kobiecie, dziedziczce zamku Fuentes. A przecież całe ciało moje drżało, serce gniotło, cisnęło, głowa piekła.

— Tak, nie ma wątpienia, tajemnica porucznika, jego słowa, dziwny zbieg okoliczności, — szeptałem, oczywistym są dowodem, że on ją kocha i ona go kocha. Kocha i ukrywa go u siebie w swoim domu; w swej komnacie być może...

A przecież ona moją narzeczoną, ma nosić a przynajmniej miała nosić moje imię, nazwę mych przodków bez zakały dotąd i do której ja więcej przywiązywałem baczenia, niżli kiedybądź do życia... A nadto.... Ja ją kochałem!

Że kochałem, czułem to, wiedziałem; moja zaś miłość była namiętna, burzliwa: w żyłach z matki krew

południa płynęła, wrząca krew włoska, ojciec był Litwinem; czy mogłem kochać obojętnie, zimno, na pół?

Walki miotającej mem sercem, wyrazić niesposób słowami, wszystkie byłyby za słabe...

Lecz winienem ci wyjaśnić związki, łączące mnie, człeka dalekiej północy, z dzieckiem południa, Hiszpanką.

Donnę Inez di Olozaga y Fuentes, znałem od dawna, od lat kilku przynajmniej; blizka krewna żony ówczesnego posła w Paryżu, przepędziła w tem mieście czas jakiś, miałem więc sposobność poznać ją i pokochać, wyjazd do Hiszpanii związki nasze przerwał, ale nie zgasił mojej miłości. W tym czasie wolną została, mąż jej Grand i hrabia Kastylski umarł.

Z jakąż radością odebrałem rozkaz cesarski udania się do Hiszpanii dla utwierdzenia na tronie króla Józefa? Ta wyprawa bowiem miała ułatwić ujrzanie lubej dotąd sercu Inezy, i odświeżenia niezapomnianej nigdy miłości.

Prędzej jeszcze, niż się mogłem spodziewać, los skuteczniał moje plany: było to w czasie zdobycia Korunny. Szczęsnym trafem zajmwszy wspomnioną fortecę, otrzymałem kwatereę właśnie w domu hrabiny.

Znalazłem ją w głębokim pogrążoną smutku; jedyń i ukochany jej brat, najczynniejszy z naczelników powstania, ujęty przez nasz oddział, skazany był na rozstrzelanie.

Dzięki moim wpływom, od niechybnej śmierci zdołałem oswobodzić nieszczęśliwego; wdzięczność hrabiny była bez granic, wyznała, że wspominek dni kiedyś przepędzonych w Paryżu i w jej pamięci pozostał, co większa, przyrzekła oddać mi rękę, skoro tylko czas żałoby przeminie. Z licznych majątków; jakie posiadała, jeden znajdował się w okolicach Pampeluny. W zamku Pueblo

Fuentos, gdzie mieszkał marszałek Berthier, ten zezwolił na rozkwaterowanie mojego pułku.

Łatwo możesz odgadnąć, ile to pozwolenie uczyniło mnie szczęśliwym; przez kilka tygodni wciąż mogłem ją widzieć bez przeszkody, nieść jej wrzące oświadczenia miłości, osładzać dni, rozdzielające nas od najmiłszego w życiu dnia ślubnego z nią związku.

Ten dzień za dwa tygodnie już miał dla mnie zabłysnąć. Ileż na jego tkance rozkosznych układałem planów!

Wylizaniem ich, nie chcę cię trudzić czytelniku, dość wspomnieć, że chciałem wojskową służbę porzucić, i wieść życie, nie w lubyh stronach, które urodzenie moje widziały, gdzie żył zgrzybiały ojciec, podeszła w latach matka, przyjaciele, pokrewni i towarzysze, lecz w kraju obcym mi, obojętnym, w Hiszpanii.

Oderwać bowiem Inezę, dziecię słońca, od jej rodzinnych pomarańczowych gajów, od jej skał i gór, przemieść ją w zimne, lodowe strony północy, tyranstwem kochającemu się zdało. A wojskowa służba ileż miała dla mnie powabów? Kiedyż ona nie ma ich dla Polaka, zwłaszcza gdy, on w szabli był swego kraju, jak ja i wszyscy w ówczas koledzy moi, widzieliśmy. Surowo los, samą chęć zdeptania wszystkich serca świętości, ukarał...

Lecz czy ona mnie kochała? Tak sądziłem przynajmniej: jak bowiem nie wierzyć kobiecie, w której ręce złożyłeś całą budowę szczęścia swojego? Kobiecie, która po tysiąc razy musiała ci piękne oświadczenia miłości, wdzięczności. A jeszcze ta kobieta była Hiszpanką, każdy jej wyraz, to pożar, ogień; każde spojrzenie raj, niebo.

Lecz gdy przyszła chwila rozważki, raczej gdy podejrzenie straszne, cierpkie z czystością rozsądku okropną, uporządkowało w głowie ostatnich dni dzieje, — zadrżałem.

Od kilku tygodni, ona nie była tą, co zawsze. Piękne słówka były jeszcze dla mnie, miłe spojrzenia kiedy niekiedy jeszcze wabiły, ale we wszystkim był przymus, jakiś smutek, ból malowały się wyraźnie na twarzy, w czarnem oku; nieraz przydybałem ją zamyśloną, zasępioną. Jako powód podawała, lekką słabość, migrenę. Wymówka, w którą uwierzyłem, zwłaszcza, że ją wezwany doktor potwierdził

A przecież ona wtedy kochała innego, ukrywała u siebie! Boże mój! Tysiącem kołatany uczuć strasznych, okropnych, nie meldując się jak to zwykłem czynić, wbiegłem do jej komnaty.

Była sama, siedziała nad krosienkami, ale machinalnie tylko szyła w nich, igła biegała tam i sam, w oku błyszczała drobna łza.

Niebyliż to wyrzuty sumienia, odzew enoty w sereu, występkiem skalanem?

Nie zważała nawet na moje wejście, zbliżyłem się.

— Donna płaczesz — wyrzekłem głosem, którym z trudnością tylko szła uczuć mogłem pokrywać.

Wzdrygnęła się, szybko z krzeselka powstała, potrącone krosienka na posadzkę z głuchym upadły dźwiękiem, więcej jeszcze pobladła i wykrzyknęła:

— Pułkowniku, ty tu, nie zapowiedziawszy się?

— Niejestem twoim narzeczonym, sennora?

Upadła na krzesło, cała drżąc. Siadłem przy niej. Kilka chwil trwało milczenie, nie wiedziałem bo, o czym zacząć mówić, a raczej jak puścić wodze podejrzeniu, zażądać sprawy z myśli i postępów kochanki.

Rzekłem wreszcie:

— Wolnoż się spytać, jaki powód twoich łez, sennora?

— Piers gniecie, wszakże ci mówił doktor, lekka gorączka trawi, boję się, lękam...

— Ach gorączka, — trochę szyderezo odparłem — lecz jakaż jej przyczyna? Bardzo rad wiedziałbym: czy to gorączka miłości, czy obawy. Kto wie, możebym zgadnąć potrafił.

Głos mój był tak cierpki, tyle szyderstwa w nim, że Ineza zadziwiona i strwożona wyraźnie bystre zwróciła na mnie spojrzenie: to spojrzenie jakże było czyste, jak mówiło wiele! Była w niem duma, podziw, lekka nawet obraza, ale nie z duszy wiarołomnej, niecnym występkiem zbrukanej.

Myśl zawrzała w mej głowie:

— A może niewinnie posądzam ją tylko? Jakimże dowodem słowa poręcznika, które zazdrosny tłumaczyłem, jak mi się chciało: skądże wiem, że właśnie ona zbiega ukrywa?

A Ineza, gdy pierwsze wzruszenie przeszło, głosem jaknajspokojniejszym, dźwięcznym z lekkim nawet uśmiechem na koralu ustek szepnęła.

— I jakże zgadujesz mój Jerzy?

Com odpowiedział, przypomnieć sobie nie mogę, zapewne jakieś słowa bez związku i ładu: ale grot popejżenia nazbyt utkwiał w sercu, rana, jaką zadał nazbyt była głęboką, aby zgoić się mogła odrazu. Obawiając się w prost badać Inezę, chciałem ją zająć podstępem, badać jej duszę, myśli i serce.

Szalony, chciałem walczyć przebiegiem z kobietą, południa, Hiszpanką. Po kilkoehwilowej zatem, obojętnej rozmowie, niby przypadkiem zacząłem coś mówić o podporęczniku, i jego dziwnem z zamku zniknięciu.

Ma się rozumieć, śledziłem jak można było najbaczniej każde poruszenie, każdy giest Inezy. O jak chętnie myśl nawet, gdyby można było, wyrwałbym z głębi jej głowy i serca...

Na pierwszy wspominek oficera rzekła obojętnie, spokojnie, z lekką niecierpliwością znudzonej kobiety.

— Ach, dajże mi raz z nim pokój; że też rozmowa od dwóch tygodni koniecznie o nim być musi; zapewne odkryłeś znowu jaki ślad jego pobytu, aresztować kogo kazałeś...

— Nie — odparłem niby obojętnie — ale złożyłem dzisiaj naradę wojenną, jej zdanie było jednomyślne. Podporucznika podaliśmy za zbiega.

Uśmiechnęła się:

— Ależ on sam rzekła, zgodził na tę nazwę w liście, o którym mi niedawno wspominałeś, zresztą wasz raport i ta nazwa jakiż wpływ na los jego mieć mogą?

— Jaki? — odparłem z zapałem. Nie pojmujeszże, sennora, niejestżeś narzeczoną żołnierza, jestże nad ten wyraz „zbieg“ jaki więcej hanbiący dla człowieka honoru, dla oficera, a szczególnie też dla Polaka? Nadto, czy niewiesz, jaki los oczekuje winnego, jaki wyrok cięży nad jego głową? Chceszże wiedzieć?

— Jakiż? — obojętne było pytanie.

— Śmierć, śmierć straszna, haniebna, bez baczenia na jakie bądź okoliczności, względy rodu, bez litości, — śmierć.

Baczone, szybkie spojrzenie rzuciłem na Hiszpankę, sądziłem bowiem, że to najsposobniejsza pora odgadnięcia jej uczuć. Moje słowa, wzmianka okropnej kary winnego oczekującej, bez wątpienia, gdyby miała udział jaki bądź w jego ucieczce, powinny ją wstrząsnąć, przerazić.

A przecież żadnego wzruszenia nie dopatrzyłem na pięknej twarzy, tylko pierś nieco wzniosła się, serce zakołatało silniej: może to była czeza gra wzburzonej wyobraźni, błąd oka. Przecież i z tego zapragnąłem korzystać i rzekłem:

— Cóż ci się stało Inezo, pobraadłaś, zmieniłaś się.

— Ja? — szybko wstała z krzeselka, do zwierciadła postąpiła: Nie widzę nic... rzekła.

— Zauważyłem przecież, wzdrygnęłaś się.

— Być może, iż tak było; był to lekki napływ krwi do głowy. Wiesz, ile cierpię na tę niezdolną migrenę.

— A ja sądziłem, że wzmianka o karze, jaka oczekuje podporucznika, powodem były tego przestachu.

— Doprawdy? — rozśmiała się na głos i tak szczerze, że już chciałem zawiesić dalsze badania, lecz dodała:

— I cóż mnie on obchodzi, ledwie że go znam, kilka razy zaledwie go widziałam na balu, lub przy stole. Zresztą czy wyrok śmierci już spełniony, czy go macie w swych rękach, lub...

— Cóż lub Inezo?

— Czy go mieć kiedy będziecie?

Mówiła spokojnym lecz tak wyzywającym tonem, że chęć przyszła jeżeli nie śledztwa to sprzeczeki. — Żwawo więc odparłem:

— Tak, nie mamy go w naszym ręku jeszcze, ale czyliż nie będziemy mieć go kiedy? Gdzież się uchroni, dokąd przed mściwą sprawiedliwości ręką zbiegnie? Jestże jaki kraj, coby śmiało ukrywać winnego, ukrywać wbrew naszemu monarsze, potężnemu cesarzowi Francuzów?

— Ach, zapomniałeś mój Jerzy, że jeszcze nie cały świat, co mówię nie całą Europę twoje bożyszcze, olbrzym korsykański zagarnął. Potęga jego mnóstwu krainom dwuruje, przygniata nas, Włochy i Niemcy, ależ jeszcze Anglia, Rosya i Turcyja, jeszcze Ameryka i inne strony ziemi niedostępne dla niego; czyż twój porucznik tam bezpiecznym i szczęśliwym być nie może?

— Szczęśliwym? O nie myśl; własne sumienie, pogarda świata, całego, jeżeli nie sroga sprawiedliwości

dłoń, czyż mu karą sowita, w pełnym bezpieczeństwie nawet nie będą?

— Pogarda świata, powiadasz? Lecz co mu świat, co jego sądy. Czyliż nad nie wyższym być nie może, czyliż nie potrafi odepchnąć od siebie tej błyskotliwszej mamony, więzów na dusze trwożne lub chłodne? A gdy znajdzie istotę, co go wymówi, uniewinni, świat wynagrodzi, pogardę jego da zapomnieć, gdy nazwie żoną tę, którą kocha, od której kochany jest nawzajem, może być nieszczęśliwym?

Hiszpanka mówiła z zapalem, lica pałały, oko błyszczało, podejrzenie straszne, cierpkie znowu krwawić me serce zaczęło. Wyrzekłem z szyderczym uśmiechem:

— Ach, jak uważam, zbrodzień gorliwego adwokata, w tobie znajduje sennora! Istotnie powinien być wdzięcznym: podwójnie zaś dziwi mnie ta obrona. raz że w złej podniesiona sprawie, potem że jest dla człowieka obcego ci, obojętnego...

— Tak, prawda, uniosłam się nazbyt, odparła zaraz i spiesznie, a dziwna zmiana nastąpiła w jej głosie i całej postaci, rumieniec zniknął z lic, ogień wygasł w źrenicy. O, tak, uniosłam się nazbyt, masz słusność Jerzy, bez potrzeby, doktor gniewać się będzie. Jeszcze gdybyż było dla kogo: Lecz ty winien jesteś wszystkiemu. Prosiłam cię, abyś o nim nie mówił. Róbcie co chcecie, zabijcie go lub nie, podajcie za zbiega, ścigajcie jak chcecie i cóż mnie to obchodzi?

Ujęła mą rękę, ścisnęła lekko, śmiała się i wskazała palcem na obalone krosienka.

— Chciej podnieść, robota pilna, żądałeś jej sam, okładki do twojego albumu.

Podniosłem z ziemi drobny sprzęt, spojrzałem. —

— Od wczoraj przecież mało co postąpiła twoja praca Inezo?

Zarumieniła się:

— O, tak, dopiero przed chwilą zabrałam się do roboty, cały poranek napróżno straciłam, lecz wynagrodzi się dzisiaj, roztargnioną nie będę.

Przeszedłem po komnacie, war różnorodnych uczuć dusił pierś, gniótł serce, burzył w głowie pytaniem:

— Jestże winna, lub nie?

O! i za, i przeciw tyle było domniemań.

— Nie, tego dłużej znosić niesposób, i cóż wskóram podejściem, czy ja stworzony do niego? szepnąłem do siebie. Czemuż nie działać wręcz, otwarcie jak przystoi żołnierzowi. Jeżeli zaraz nieodkryję prawdy, dziś zaraz nie rozwiążę przykrych wątpliwości, mogę być kiedy bądź spokojnym? Wspominek dzisiejszych cierpień, alboż i kiedyś, choć ją nazwę mą żoną, nie będzie wywierał okropnego wpływu na moje szczęście? Postanowienie moje było wzięte, usiadłem przy Hiszpance znowu.

— Wracając do porucznika — szepnąłem.

— Ach, znowu on — przerwała niecierpliwie, na śmierć chcesz mnie zanudzić.

— Po raz ostatni, przysięgam, wspomnę już o nim; Przebacz więc: otóż Inezo, wpadliśmy na jego trop.

— Doprawdy? — odparła bez zwrócenia od krosienek oczu.

— Mówiłem dziś, przed godziną, zanim przyszedłem do ciebie, z najzaufanszym z jego przyjaciół, może go znasz, podporucznikiem L.

Lekko się wzdrygnęła.

— Ukłółam się w palec, twój album niezawodnie podobać się będzie.

— Występnaj, — miał z nim bliskie stosunki, po wierzał mu swoje tajemnice.

— Doprawdy?

— Badałem go więc, i lubo z trudem to przyszło, zdołałem wreszcie dowiedzieć się prawdy.

Hiszpanka słuchała pilniej, lubo oczu, jak poprzednio, od roboty nieodwracała.

— Wyobraźże sobie: przyczyną nagłego zniknięcia, haniebnego zbiegostwa podporucznika jest miłość.

— Wpadłeś już na tę myśl?

— Tak, prawda, lecz — tu mój głos, czułem, znie- nił się.

— Nie wpadłem nigdy na trop osoby i miejsca; jak wiesz, szukałem go pilnie w całej okolicy, na kilka mil w okrag, przetrząsałem całą.

— A, tak, nawet po studniach szukałeś — śmiała się.

Znów ten uśmiech przerwał tok moich podejrzeń, lecz trudno było cofnąć się. Zresztą nie chciałem: doda- łem więc także, lubo z uśmiechem przymuszonym:

— Szukając go wszędzie i pilnie o jednym przecież zapomniałem miejscu, o miejscu, od którego właśnie roz- sądkiem wiedziony, winienem był zacząć śledztwo.

— I jakież to miejsce? — gdy m głos nieco za- wiesił zagadnęła Hiszpanka.

— Będziesz śmiać się, może nawet gniewać Inezo, ależ, podejrzenie moje, słowa porucznika... dziwna myśl... to miejsce, to ten zamek...

— Mój dom, pułkownika?

Szybko z krzesła powstała, odsunęła robótkę, twarz jej żywy powlókł rumieniec, dreszcz obiegł ciało, zwró- ciła mi śledcze spojrzenie, i szepnęła:

— Ty żartujesz, Jerzy?

Nie wiedziałem co rzec, odparłem jednak:

— Mówię na prawdę, Inezo.

— Na prawdę? Dla Boga! Co to jest, i któżby go tu ukrył?

— Kto? ja nie wiem, ależ podejrzenie...

Żwawo, bacznie spojrzała w me oko, bez wątpienia przeczytała w nim war uczuć burzących w sercu i w głowie; źrenica jej dziwnie, dziko zaiskrzyła się, pierś wznosiła i opadała gwałtownie.

Jękneła po chwili ponurego milezenia.

— Ach, tak, teraz nieco pojmuję twoje nagłe wejście, dziwne wówczas słowa, spojrzenia, wszystko razem dowodem. Więc, panie pułkowniku, sądzisz, że twój podporucznik w tym domu się ukrył?

Lekko w znaku potwierdzenia głową skinąłem.

— A osoba, która go ukryła, bo przecież ktoś musiał go ukryć, któż ona jest?

Mileżałem, głos bowiem Inezy, silny, czysty, dzwiczny, jej gniew i oburzenie imponowały mi, najsilniejszym jej niewinności były dowodem.

Mówiła znowu:

— Leez czemu pytać się o to? Któż w tym zamku mógłby go ukryć, kto bez mojej wiedzy i woli: kobiet żadnych nie ma, na kogóż zatem podejrzenie pańskie mogłoby paść, kogo mogłoby zhańbić, zniestawić? A więc tu głos wzniosła jeszcze więcej — osobą ukrywającą winnego, niosącą mu miłość jestem, według wyobrażenia twojego — ja.

— Inezo...

— Ja! dla Boga! — rozśmiała się cierpko, szyderez. Szybko, namiętnie ujęła za srebrny dzwonek na blizkim stoliku leżący, i gwałtownie dzwonić zaczęła.

— Na Boga Inezo, co chcesz uczynić?

— Poznasz pan za chwilę.

Drzwi zaskrzypnęły, wbiegła stara jej kamerara.

— Leonoro, przywołaj czempredzej intendenta zamku i poszeptała jej coś w ucho, coś, czego dosłyszeć nie mogłem.

W kilka minut przyszedł wezwany, dźwigając na srebrnej tacy gruby pęk kluczy różnej wielkości.

— Czy wszystkie, nie braknież ani jednego? Twą głową odpowiesz mi starcze.

— Są wszystkie hrabino.

— Odejdź więc.

Gdyśmy sami znowu zostali w komnacie, posunęła tacę przedemnie.

— Masz pan, cały zamek otworem ci stoi, szukaj.

— Inezo, nie chcę...

— Nie chcesz? — powstała szybko, gwałtownie z krzeselka — lecz ja chcę, musisz, powinienes szukać

— Tak chcę, tak być musi — mówiła a raczej wołała — .powinienes szukać; a gdym chciał coś rzec przerwała:

— Pan więc mnie śmiałeś posadzać, mnie, Hiszpankę, córkę, wnuczkę i prawnuczkę hidalgów, narzeczoną swoją, na czezy domysł, czeze słowo jednego szaleńca, posadzać mnie; ach, to straszne, okropne...

— Inezo, przebacz! — wołałem.

Nie słuchała, żywym krokiem tylko, z powagą wielowładnej monarchini, rozgniewanej królowej, obiegała komnatę, szepeząc więcej do siebie niż do mnie.

— I ja wierzyłam temu człowiekowi, i ja mu oddać chciałam rękę, poprzysiądz wiarę, miłość, ja go kochałam. Możesz być większa męczarnia...

Upadłem do nóg oburzonej, wierzyłem jej, — łza w oku błysnęła, błagałem, niby największy zbrodniarz, niby przestępca, o jej litość i miłosierdzie. Raczyła dać

je nareszcie, dać, po godzinie przynajmniej próśb, łez, przysiąg.

Poprzednio już, klucze intendenta wyrzuciłem na ogród przez okno.

* * *

We dwa dni później znajdowałem się w Pampelunie, następnego dnia cesarz zrobił przegląd pułku. Nie omyliłem się w przeczuciu. Gdy przed frontem stanął, czoło jego było zachmurzone, ciemne brwi ściągnęły się ku sobie, niebieskie oko zdawało się pryskać dwoma strumieniami płomieni.

Trzeba było znać Napoleona. Kiedy dobry humor był w sercu, twarz, choć żółta i śniada, ale regularnych rysów, zdała się ciebie nęcić, przyciągać, pogodnie oko wlewało w duszę ufność i radość. Gdy rzekł: „dzielni jesteście, lubię was“ — kartaczowy ogień nie straszył, śmierć nie przerażała, — radośnie, ochoczo zajrzało się jej w oczy, dusza opuszczała ciało, męczarnie zgonu dusiły pierś, a jednak ona zbierała wszystkie siły na wykrzyk:

— *Vive Napoleon, vive l'Empereur!*

Ależ wcale było przeciwnie, gdy gniew nim miotał kiedy niósł wyrazy nagany, lub kary. Najdzielniejszy drżał przed nim, najśmielszy tracił odwagę, osiwiwały w bojach żołnierz, mimowoli korzył się: niebył to już bowiem człowiek zwyczajny, znajomy nam, lecz jakiś olbrzym straszliwy, anioł zniszczenia trwogi i śmierci.

W takiej to postawie przed mym pułkiem stanął.

— Złe — szeptali żołnierze półgłosem: — mały kapral w złym humorze. Stracili ufność i pewność w siebie, ewolucye wojskowe szły oporem, rozkazów moich nie-słuchano lub wykonywano je wspak, baczne oko monarchy — żołnierza, co raz bardziej zasepiało się.

Po przeglądzie skinął na mnie.

— Nie jestem kontent pułkownika dziś z ciebie, nie jestem kontent z całego pułku twojego; zaniedbujecie się, opuściliście się widocznie. Wy dzieci półnoocy w waszych tylko lodach i śniegach, zdacie się na coś...

— Najjaśniejszy Panie!

— Tak — dodał przerywając mi, głos silnie wznosząc: — kontent z was wcale nie jestem, z wielu przyczyn. Nie brak ci oficerów, mój Panie?

— Jednego cesarzu.

— I cóż z nim stało się się? Gdzie on jest? — ponurym wyjąkał głosem.

Milezałem, okropny wyraz „zbiegł“ nie mógł się z piersi wydobyć.

Wyrzekł go Napoleon i dodał:

— Tak, wiem o tem, on zbiegł, oficer mój, francuski oficer, bo wszakże was doliczyłem do mej armii, zbiegł: Nie jestże to obelga dla mnie, hańba dla was, zakała, której nie znam równej! Bądź pan zdrow; Lubię Polaków, lubiłem ciebie, ale jeszcze jeden podobny wypadek, równe opuszczenie się w karności i obowiązkach dowódcy pułku, a biada ci, a biada wam!

Zwrócił się do marszałka Berthiera i rzekł mu:

— Cały wypadek w rozkazie dziennym jutrzejszym umieścić, nie ukrywać nie, winnego, jak zasłużył, oddać pogardzie i hańbie! bacniejsze śledztwo zarządzić, a odkrywszy bezzwłocznie oddać pod sąd wojenny; chcę, aby choć dla sromoty, obawy i kary, szpetny przykład naśladowców nie znalazł.

Z pochmurnem czołem, okiem posepnem, z rozpaczą w piersi do kwatery wracałem. Po raz to pierwszy gniewnem słowem zaczął mnie ten, od którego tylko miłe wyrazy pochwały lub względów nauczyłem się słyszeć.

Audytor pułku zaszedł mi drogę.

— Pułkowniku! — rzekł — niespodziewane zdarzenie.

— Jakież to? — cierpko spytałem.

— Podporucznik! S* wrócił!

Wszystka krew żył, z gwałtownością nie dopisania, popłynęła do mej głowy, krzyknąłem:

— I gdzie on, gdzie ten zbrodniarz?

— Zatrzymany na odwachu, do dalszych pana pułkownika rozkazów.

— Zatrzymać go tam, dziś jeszcze los jego się rozstrzygnie, spodziewam się, krwią opłaci hańbę, jaką z jego przyczyny ja, pułk i cała armia muszą ponosić.

Czempredziej stósowny raport generałowi brygady złożyłem, krótkimi wyrazami odpowiedział na niego; i jego jak mnie, dotknęły dzisiaj gniew i napomnienia cesarza.

Otóż owe wyrazy:

„Pułkownik bez straty czasu, indagacją z podporucznika zarządzi, i odda go pod sąd wojenny, na którym sam prezydować powinien“.

Okolo 7 mej wieczorem był ten sąd: składał się, według francuzkich zwyczajów, z kilku osób tylko. Przewodniczyłem mu już to zmuszony generała rozkazem, już też jako dowódca pułku, major, jeden kapitan, dwóch podporuczników i jeden prosty żołnierz, byli członkami.

Obwiniony stanął przed nami, był bładny czoło ryły zmarszczki głębokie, w oku smętek, ale ani śladu żalu lub trwogi na dorodnych licach. Przecież śmierć mu groziła, śmierć straszna, haniebna.

Nie chciał bronić się nawet, i gdy po kilku obojętnych pytaniach audytor wtrącił wyraz, „zbiegostwo,“ — zawołał:

— Ach, tak, ja] byłem zbiegiem, jestem zbiegiem. Twarz więcej jeszcze pobladła, wzdrygnął się. Niemogłem oburzenia powściągnąć, wykrzyknąłem :

— Jesteś więc zbiegiem, dobrowolnie przyznajesz się do winy, i nie wstydzisz się, od hańby nie zginiesz, ty syn, poczciwych rodziców, znakomitego rodu potomek?! Ach, biada ci, biada im!

Nieszczęsny w miejscu odpowiedzi, unikając mego spojrzenia, głowę zwiesił na piersi i szeptał :

— Och tak, tak...

— Lecz jakaż przyczyna, jaki powód twojego szalonego postępku? przecież muszą być one, dla Boga wyznaj je...

— Nie, powiedzieć nie mogę.

— Nie możesz, dlaczego?

— Zastanów się pan jednak, — wtrącił audytor, że od wyznania twój los a może i życie zależy...

— Życie? czyż się lękałem jego straty? odparł dumnie młodzian, prostując się i powstając z ławki? A gdybym się lękał, pojmujesz przecież, niebyłbym tu, sam, dobrowolnie, niebyłbym się oddał śmierci strasznej, i przedwczesnej...

Uwaga była słuszną, pojęliśmy ją wszyscy; żołnierz należący do sądu, stary wiarus poczciwy, zdrowego rozsądku, wykrzyknął :

— Dalipan, poręcznik ma rację, znamy się dobrze, nie w jednej przecież okazji było się pospołem, nieraz niby grad świszczały po nad głową kule, przecież oka niezmrużył, nie wstrzymał się w napadzie, nie pomyślał o odwrocie, i teraz kiedy dobrowolnie powrócił, dobrowolnie pod sąd się poddał, toć dalipan, lękać się nie mógł: niewinnym być musi, a to wszystko, co się stało, niezawodnie jakaś pomyłka: ot, tak, młodej krwi wyskok.



Oskarżony, jasne, pełne wdzięczności spojrzenie wiarusowi rzucił, audytor mówił tonem łagodnym, prośby nawet :

— Wyznaj pan, nie narażaj siebie daremnie. Jakkolwiek raport cesarzowi już zdany, chociaż wina obarcza cię, przecież ją można złagodzić, ubarwić; niezawodnie do opuszczenia obozu byłeś namówiony, skłoniony groźbą, przemocą może, lub zdradą zwabiony: powiedz jedno słowo honoru, gdy nie będziesz mógł dać innej rękąmi dostatecznym będzie dowodem.

— O tak, panie poruczniku, czemu długo marudzisz, zrób jak chce pan audytor, — prawil wiarus z zapałem — wszystko będzie dobrze, kilka dni lub miesiąc aresztu, toż przecie nie głowa, lub życie, bagatelka, drobna plamka w stanie służby, zmażesz ją łącno, niechno przyjdzie wojna, a cesarz wykrzyknie: *allons*, dzieci, *en avant*.

Młodzieniec mileżał kilka chwil, w oku znać było walkę ucuć miotających sercem, może też chęć ocalenia życia przyszła; chciał coś szepnąć ale wstrzymał się i głosem silnym, mocnym wyrzekł:

— Nie, nie! tać nie mogę, nie powinienem, wiedziałem, co czynię, znałem prawo i obowiązek żołnierza, sam dobrowolnie opuściłem pułk, służbę, bez... — wzdrygnął się nieco — bez niczyjej namowy.

Te słowa wszystkich mimowolnym dreszczem przejęły; stary wiarus łzę otarł w oku się wijącą, mój gniew i oburzenie uspokoiły się nieco, zimna odwaga, dumne przyznanie się do winy porucznika zmniejszały ją nieco w mem wyobrażeniu; — człowiek z tak silnym umysłem trwożliwym nie był, występkiem bez przeważnych przyczyn skalać się nie mógł.

— Rzekłem więc:

— Ja jestem zdania audytora: wina pana ciężka, straszna, niezmazana niczem, przyniosła hańbę pułkowi,

ależ w połowie ona się zmniejszy, gdy pan, jak na człowieka honoru przystoi, wyznasz pobudki do jej popełnienia wiodące. Mów zatem otwarcie i szczerze, a przynajmniej jeżeli cię nierozważne zobowiązania wiążą, wyznaj przynajmniej, gdzieś się dotąd ukrywał?

— Znowu zachmurzyło się czoło młodziana, znowu wyszepnął:

— Nie, nie mogę.

I w tem postanowieniu trwał ciągle mimo nalegań, próśb nawet wszystkich przytomnych.

Opuściła mnie przytomność nareszcie.

— Panowie — wyrzekłem do towarzyszy sąd składających — czasu nie mamy, ani go na próżnych słowach tracić mogę, znacie waszą powinność.

Ciężką ona jest, ale nakazaną honorem i rozkazem cesarskim. Panie audytorze, zażądaj ostatecznych od winnego objaśnień, raz wszystko ukończyć potrzeba.

Głosem wolnym, poważnym, przerywanym, audytor wróciwszy się do więźnia badał:

— Ostateczne zatem pańskie postanowienie jest, nie wyznać powodów tajemnego opuszczenia Fuentes.

— Tak, to moje postanowienie.

— I znalazłeś prawa wojenne w całej ich obszerności?

— Znałem — był głuchy jęk.

— A więc sam przyznajesz się do zbiegostwa?

Młodzian głucho poszepnął:

— Tak — i upadł na przyległą ławkę.

Zbierałem głosy; były jednomyślne, wszystkie głośiły nieszczęśliwemu śmierć.

Audytor wyrok napisał, przeczytał i dał:

— Według ustaw wojennych, ten wyrok nieodwołoczny. Jutro o szóstej zginiesz.

Noc była późna, jedenasta godzina. Leżałem w łóżku, ale usnąć niesposób, straszne myśli mnie dręczyły, zamknięcie powiek mi nie dały. Im bardziej rozważałem całą sprawę i postęпки podporucznika, tem więcej nie mogłem ich pojąć.

Był winnym, ależ ta wina w jakim stopniu była, jakie jej pobudki? Nie zmniejszyłyż jej one?

Te pobudki, bez wątpienia była to miłość.

Lecz komu poniesiona? kto jej celem? zachodziłem w głowę.

Podejrzenie jest niby straszny jad, hydra istotna: utnij jej jeden łeb, inny natomiast wyrasta.

Wierzyłem w wierność Inezy, oddanie mi kluczy zamku, wreszcie sam srom, jaki nią wstrząsnął, duma, z którą poniosła cierpkie wyrazy gniewu, zaświadczyły o jej enocie; a znów straszne napomknienie o poruczniku, uporne milczenie winnego, ryły, trapiły, zakrwawiały serce!

Okropna walka, którą z sobą, z swoją zazdrością, z sercem i rozumem wieść trzeba.

Lecz rozum przemógł.

— Nie, niesposób! — krzyknąłem. — Onaż miałyby go kochać, ukrywać, ledwie znając? ona z tem pogodnem czołem, z dumnym okiem, z dumą rodu i honorem kastyjskiej kobiety? próżna mara mnie trapi; nadto trzy dni dopiero po tej strasznej rozprawie, łzami memi przekonana, prośbą przemożona, nie przebaczyłaż podejrzeń? nie obiecałaż oddać swej ręki? Czemużby miała zwodzić? Mogłaż przecież wszystko zerwać, ukryć go dłużej, niż ukrywała, zaślubić, a mnie zostawić sromotę, obelgę.

Inna to kobieta, może zwodnica jaka, podła kocietka, nieszczęsny wpływ na los jego wywarła. Lecz gdzież jej szukać, jak odkrywać? smutek trapił, litość sercem owładła.

Przecież on syn mojego przyjaciela, przecież on mojej powierzony był opiece! Także ja wypełniłem? Kiedyś, za powrotem do rodzinnej ziemi, zgrzybiały ojciec, siwa jego matka nie rzucąż mi w oczy sromoty, a swych łez przynajmniej?

Ach jeżeli go ocalić nie mogę, przynajmniej winie-
nem ponieść słowa pociechy; może też straszna, zbliża-
jąca się śmierci godzina silny umysł zwałiła, może od-
kryje mi okropną swoją tajemnicę. Tą myślą wiedzony
wstałem z łoża, ubrałem się, zarzuciłem płaszczem i bie-
głem na odwach, gdzie był więzionym nieszczęsny.

Noc była ciemna, wiatr od strony gór dał, zimno
było przenikliwe, na ulicach ponure milczenie, nigdzie
żywej duszy; dopiero gdym dochodził do odwachu spo-
tkałem się z jakąś osobą, która szybkim szła krokiem
i głucho jęczała. Zbliżyłem się do niej i pomimo cieni
dojrzałem, że kobieta w czarnej mancie, w czarnej je-
dwabnej mantyli.

Mimowolnym machinalnym instyktom wiedziony za-
trzymałem ją:

Dokądże to sennora o tak późnej nocy? Czemu
twój płacz? — rzekłem.

Nieznajoma chwilę milczała, bliżej przystąpiła do
mnie, jęknęła i potoczyła się do mych nóg!

— Ratuj go, ratuj pułkownika! przebacz, zmiłuj się!
Zadrżałem febrycznie, głos ów znałem, to był głos Inezy.

Tak, to ona była.

— Dla Boga Pani, co tu robisz o tak późnej nocy
czego chcesz?

Próżnom badał, milczała.

Dotknąłem jej rąk, były zimne jak lód; wstrzą-
snałem ciałem, wołałem — na próżno — nie słyszała —
nie czuła nic; — zemdląła.

Pobiegłem na odwach, przywołałem kilku żołnierzy, aby do mojej kwatery ponieść zemdloną. Jeden zbliżywszy się obojętnie wyrzekł:

— Ach to ta sama Hiszpanka, która na odwach przed kwadransem przybiegła i koniecznie z naszym więźniem widzieć się chciała. Sypała nam złoto, ze łzami prosiła.

— Jak to? Z jakim jeńcem?

— Z porucznikiem.

Zadrzałem:

— Co znowu, ona?

— Tak panie pułkowniku, mówiła, że jest jego żoną?

— I ty nie kłamiesz człowieku? nie mylisz się?

— O nie, dobrze poznałem, na sztyldwach bowiem stałem wówczas, ależ i inni zaświadcza.

Istotnie wszyscy przytomni żołnierze potwierdzili towarzysza wyrazy.

Co się działo w mem sercu, nie, — na to niema dość słów w żadnym języku świata. Tysiąc myśli, tysiąc coraz straszniejszych podszeptów zemsty nasuwało się wyobraźni. Mógłżebym jej przebaczyć kiedy?

Nie byłaż zwodnicą! Przypomnij sobie czytelniku, ową scenę w Fuentes. Któraż kobieta, z większą pewnością, śmiałością, zdradą, mogła zwieść mężczyznę?

Powszechnie znano moją miłość dla niej, nie tałem związków, jakie nas łączyły, przed Bogiem, światem narzeczoną moją była: sromota narzeczonej równie jak żony, nie spływał na mnie, czyż nie niosła mi hańby i obelgi?

Ach! to było straszne, okropne.

— Zabić ją zabić — to była szatańska, okropna myśl, która jak pierwsza prześliznęła się po głowie, tak wszystkie inne wyrugowawszy ostatnia w niej pozostała.

W oku była krew, w piersi, w duszy wszędzie krew. Hiszpanka po przeniesieniu do mej kwatery choć nikomu nie pozwoliłem ratować jej i sam nie ratowałem, przyszła w krótko do zmysłów.

Była blada, czarny, jedwabi włos w gęstych kędziarach spływał po jej śnieżnych ramionach, odzież w zaniedbaniu, skutkiem świeżego omdlenia drżała febrycznie, a przecież kogo innego kochała.

Niby anioł mściciel, niby szatan czychający na występłą duszę grzesznika, jako zhańbiony mąż, zdradzony kochanek, stanąłem przed nią...

Ależ ona nie ułękła się zmarszczonego czoła, płomieniejącej twarzy, pożarem zemsty miotającego oka. Jakżesz ułęknąć się mogła, mogłaż je widzieć? Czyż w jej sercu, w głowie, duszy nie było jednej myśli wyższej nad nią rozpacz, obrazę? czyliż ona nie kochała, ona Hiszpanka, i czyż nie chciała ocalić pewnej nieomyślnej śmierci kochanka?

Tę jej myśl odgadłem owem jasnym widzeniem rozpacz, gniewu, co burzyły sercem.

Pragnąłem poznać dzieje jej uczuć i snułem je z głębi serca, z pamięci nieszczęsnej, niby nitkę z kłębka dźbło po dźble.

A przekonałem się, ona go kochała, skłoniła namową do ukrycia się, aby, gdy ja z pułkiem wyruszę, poślubić go, i uciec. O! choćby na kraniec świata uciec pragnęli.

Słowa obelgi przecież, jakie niewidząc go usłyszałem przed kilku dniami w komnacie Inezy, zgryzoty sumienia, szal młodej głowy, skłoniły podporucznika, że opuścił Fuentes i dobrowolnie poddał się pod miecz surowej sprawiedliwości.

A ona za nim prosiła, błagała, i ceną swego życia chciała okupić jego życie, swą krwią okupić jego krew.

Ta spowiedź, męczarnie dla mnie, okropna walka uczuć, przeszło godzinę czasu zajęły.

Ach! ile cierpiełem, Bóg to wie jeden; ale Bóg się ulitował, zemstę wyrwał z serca, obowiązki powinności prawego człowieka nasunął...

O pół do drugiej ubrałem się starannie i pobiegłem do pałacu, który zamieszkiwał cesarz. Marszałek Berthier napotkał mię w przedsionku.

— *Mort-bleu* pułkowniku, gdzie spieszysz?

— Chcę się widzieć z cesarzem.

— Co znowu, o tym czasie?

— Idzie tu o śmierć lub życie, mój książę.

— O śmierć lub życie? dla Boga człowieka, co znaczą twoje wyrazy, czyżby jaki spisek, zdrada?

— Nie, nie, lecz chcę widzieć cesarza.

W nocy, o trzy kwadranse na drugą? Pułkowniku?

— Powiedziałem mój książę, że mam powód niecierpiący zwłoki.

Marszałek kilka chwil bacznie popatrzył w me oczy:

— Doprawdy, coś jest z tobą czego pojąć nie umiem, wyrzekł według zwyczaju, ogryzając paznokcie:

— Doprawdy, gdybym cię nie znał, gdybym nie był przekonany o twojej prawości i przywiązaniu do monarchy, nie zezwoliłbym nigdy. A mnie wyznać tajemnicy nie możesz?

— Chcę widzieć cesarza, jedno słowo tylko mu powiedzieć. Jedno, przysięgam ci książę — wołałem w nieudanej rozpacz.

Marszałek coś pomruknął, czego nie zrozumiałem, rzekł przecie:

— Chodź więc.

Przeszliśmy długi rząd komnat, strażę na skinienie marszałka przepuszczały nas wolno, zatrzymaliśmy się w jednej z izb. Kilku generałów różnej broni i ulubiony Napoleonowi mameluk Rustan byli w niej.

Berthier rzekł do mnie:

— Zatrzymaj się pan, cesarz jest zajęty, muszę uprzedzić go o twojem przybyciu.

Wszedł do następnej izby, drzwi od niej były otwarte, mogłem więc widzieć i słyszeć, co się działo.

Napoleon siedział przy długim, zielonym suknem pokrytym stole, przed nim mnóstwo papierów, mapy, plany, raporta i gazety.

Książę d'Otranto, Fouché, marszałek Wiktor, hrabia Darn, i kilku innych radców stanu i ministrów, towarzyszących cesarzowi na wyprawę do Hiszpanii, rozsiadło się w okrag stołu.

Uważałem, że spóźniona pora, może długa i mozolna praca, nie jednego ze wspomnianych panów oczy snem kleiła; sam tylko cesarz jakby nie czuł znużenia, był rzeźwy; oko pałało, na ustach był uśmiech.

Mówił:

— Tak, moi panowie, wojna, wojna znów! Austrya chce jej koniecznie, zapomnieć nie może straconych Włoch, zagarniętego Tyrolu, a co najwięcej solą jej w oku nowo utworzona liga reńska; angielskie złoto znów świat burzy; lecz to nic, nic, przyrzekam wam, jak inne koalicye, tak i ta łatwo poskromioną będzie.

Wszyscy obecni milczeli, lub skinieniem głowy potwierdzali słowa i projekta cesarza, ten dalej mówił.

— Oto rozporządzenia naszych wrogów — przejrzał papiery, — Arcyksiążę Jan wejdzie do Włoch, Arcyksiążę Karol do Niemiec, Bawaryą chce naprzód zająć, potem iść nad Ren; spodziewam się, stawim mu czoło.

Ach! generał Mack ma komendę w Ulm! Piękna forteca! Co sądzicie panowie? Lecz jej komendant!

— Jej komendant, Najjaśniejszy panie wielką ma militarną sławę — wtracił marszałek Victor.

— Doprawdy? A, tak, bił się pod Laudonem z Turkami: znam go, generał *de hurra!* Wiecie panowie jaka taktyka potrzebna na takich panów? Cierpliwością i przebiegłością wszystko zrobisz. Moja szczęśliwa gwiazda rzuciła go na mą drogą, właśnie w najhianiebniejsze miejsce, jakby ułatwić pragnęła koniecznie zwycięstwo. Ach, zwyciężę go, zwalczę, zabiorę, jestem pewny tego, a nim arcyksiąże Karol zdoła przybyć mu na pomoc, zasłonię Wiedeń, już on mój, trzymam go.

I ścisnął dłoń i wznosił ją do góry, niby w niej dzierzył olbrzymi gród, stolicę potężnego cesarstwa. Ten giest nie uszedł baczego oko księcia d'Otranto, może jakąś myśl złośliwą obudził, lecz ją trzeba było, z bojaźni cesarskiego gniewu, hamować, rzekł tylko:

— A więc Najjaśniejszy panie, Wiedeń myślisz zagarnąć?

— I zagarnę panie Fouché, zagarnę.

— I wojnę jakżesz długo Wasza Cesarska Mość, wieś myślisz?

— Ach, skoro tylko Wiedeń będzie w moim ręku, skoro główna nieprzyjacielska armia rozprószoną zostanie, czy sądzisz, że angielskie złoto długo wagę mieć będzie, że cesarz Franciszek nie zgodzi się na pokój, choćby on z nową ogromną stratą miał być dla niego? A tak, pomysleć nadtem potrzeba: moje królestwo Włoskie za słabe, bardzo słabe, nigdy natarcia niemieckiego wytrzymać nie zdoła, w dwóch trzech dniach Medyolan i Wenecya mogą ujrzeć zwyciężkich wrogów w swych murach; trzeba mu koniecznie przedmurza. Co sądzicie pa-

nowie? Karyntya, Karniola, Friul, Dalmaeya, i Istrya nie mająż być nagrodą walki? Obszerne to posiadłości, z natury obronne, muszą być i będą w mym ręku, utworzę z nich nowe królestwo; albo nie, Francya musi z Tureya graniczyć, jej krańce od Bałtyku do Adryatyku muszą sięgać. Karol Wielki dalej nie zaszedł. O! moja piękna Francya musi być pierwszą w Europie monarchią, co mówię, pierwszą w świecie, albo raczej Europą być musi, nieprawdaż panowie? Wtedy słusznie tytuł Wielkiego, co go dziś pochlebstwo mi tylko daje, przyozdobi me imię.

Przytomni skinęli głowami, hrabia Darn jakieś pochlebne słówko dorzucił, jeden książę d'Otranto rzekł:

— Ależ to wszystko jeszcze marzenia, Bóg by dał, żeby one spełnić się mogły.

Cesarz dumne i gniewne spojrzenia mu rzucił, dworak zachłysnął się nieco, i chcąc poprawić dodał!

— Austria pomimo tylu klęsk jeszcze mocna, Anglia bogata, Rosya potężna, tamy są, Najjaśniejszy panie!

— Ach! tak pan sądzisz, lecz jakaż tama nie upadnie przed silną wola, przed orężem moim: spojrz pan.

Żwawo powstał z krzesła, pociągnął dworaka do okna, wznosił dłoń, palcem wskazał na niebo i wyrzekł:

— Czy widzisz pan tę gwiazdę — tam?

— Widzę, Najjaśniejszy Panie, — odparł nieco zdziwiony minister.

— Błyszczy ona?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— To moja gwiazda, gwiazda mego przeznaczenia. Nie zgasła; nie zaćmiła się jeszcze ona, mam więc czas, mam dość czasu. Ach! — dodał żwawo i baczenie poglądając w oko dworaka — pamiętaj na tę gwiazdę mój panie: Uszedłem piekielnej maszyny, uszedłem trzech spisków, kilkakrotnie Europę całą zwalczyłem, w pustynie

Afryki, w dzikie strony Azyi poniosłem przewagę mego oręża; nie zdrzę więc, nie ulknę się i teraz. Angielskie złoto nie podkopie mojej potęgi, najgroźniejszy, najprzebieglejszy, tajny, domowy wróg nawet, nie podola nie. Pamiętaj o tem ministrze.

Czy to była wymówka, osobistości się tycząca, czy przestroga, nikt zgadnąć, ani zrozumieć nie potrafił; uważałem przecież, że minister lekko wzdrygnął się, pobladł, ukłonił się przecież nisko i odparł:

— Tak, zacny, Najjaśniejszy Panie, wszyscy wierzymy w twą potęgę, wierzymy w twe szczęście, wierni poddani, poświęcamy ci chętnie i życie i zdrowie; żeby się zaś znalazł choć jeden człowiek, o jakim wspominasz, co by w skryte zmowy z nieprzyjaciółmi chciał wchodzić, nie sądzę...

— Pomnij pan przecież na moje słowa, na Boga pomnij — odparł groźnie monarcha: — szczerotę, otwartość ze mną: oto, czego chcę, chociaż nie lękam się wrogów, zetrzeć ich potrafię, uskromić, o, tak!

Silnie w posadzkę nogą uderzył, oko jego błyskało pozorem gniewu, siły, potęgi, niby istotnie zaciętego miał przed sobą wroga, niby z nim do upornej zabierał się walki; wkrótce jednak wypogodziło się czoło, głos stracił swoją chropowatość, gdy mówił:

— Lecz, moi panowie, druga godzina z północy wybiła, a ja was zatrzymuję dotąd. Hrabia Darn drzemie już, na mnie też czas. O pół do siódmej, a więc za półpiątej godziny chcę zrobić przegląd twoich pułków, marszałku — zwrócił się do Wiktora: — Niech wszystko będzie gotowe, nie chybię minuty. Dobra noc, panowie.

Przytomni niskie oddając pokłony opuszczają zaczęli salę.

Berthier coś do ucha szepnął cesarzowi, który był już we drzwiach następnej komnaty swojej sypialni. Odparł na ten szept:

— Ach, pułkownik, mówisz mój Aleksandrze, dobrze, niech wejdzie: biedny człowiek, w złym byłem dzisiaj rano humorze, porządna dostała mu się bura.

Śmiał się na głos. Marszałek skinął, wszedłem. Dotąd dziwny war uczuć, wrzących w sercu, dodawał mi odwagi, krzepił serce nadzieją; i przed chwilą, i na drodze układałem do cesarza przemowę. Miała ona być mocną, silną, niezawodnie przyniosłaby dobry skutek. Chciałem błagać o życie podporucznika, lub do dymisji się podać.

Ale gdym stanął oko w oko przed nim, kiedy właśnie trzeba było użyć wymowy, zapomniałem toku pięknych słów, zapomniałem peryodów starannie układanych w pamięci. Widząc moje pomieszenie, cesarz pierwszy zaczął:

— No, pułkowniku, wiele czasu nie mam, co masz mówić powiedz krótko i zwięźle, jak na żołnierza przystoi.

— Najjaśniejszy Panie, — szeptałem z pierwszego ochłodnawszy wzruszenia — przychodzę błagać Waszą Cesarską Mość o łaskę...

— Ach, zapewne abym cofnął ostre wyrazy dzisiejszego dziennego rozkazu? Nie, nie, to być nie może, zawiniłeś, cierpieć musisz; czekaj, nowa wojna wybuchnie, na czele pułku według zwyczaju pójdziesz naprzód, odznaczysz się, wszystko będzie zapomnianem.

— Najjaśniejszy Panie! O inną łaskę zmuszony jestem błagać Waszej Cesarskiej Mości!

— Jakaż ona, mój Panie?

— Jeden z oficerów mojego pułku dziś przez sąd wojenny na karę śmierci został skazany.

— Tak, tak, przypominam sobie, podporucznik, adjutant pułku, zbiegł.

Zachmurzyło się czoło, zasepiło się piękne niebieskie oko cesarza.

— On niewinny, Najjaśniejszy Panie!

— Niewinny, sam przecież raport złożyłeś?

— Tak jest, lecz nie znałem wszystkich okoliczności.

Szybko i w krótkości opowiedziałem całe zdarzenie w Fuentes, związki nieszczęśliwego z Inezą. Cesarz słuchał ze zwykłą, spokojną uwagą, sądziłem że litość weszła do jego serca, zawczasu cieszyłem się nadzieją ocalenia dwojga więcej nieszczęśliwych, niż występnych.

Odparł mi zimno:

— Wyrok sądu wojennego już zapadł?

— Wziąłem go wychodząc z sobą, będąc prawie pewnym tego zapytania. Milcząc, podałem go.

Cesarz wziął pióro do ręki, na papierze skreślił coś: rzuciłem okiem...

Dwa wyrazy tylko napisał, — dwa wyrazy:

Potwierdzam. Napoleon.

— Najjaśniejszy Panie zmiłuj się, pobudki...

— Ja mam zmiłować się? Pobudki, któreś mi powiedział, czyż tak są ważne, abym dla nich sprawiedliwy wyrok miał znosić? Nie, nie, twój porucznik słusznie będzie ukaranym. Jego szaleństwo, miłość ku Hiszpance, o której wspominałeś, wcale nie zmniejszają występku; potrzeba przykładu. Nie pierwszy to raz oficerowie moi, szczególnie twoi rodacy, dla głupiej miłości zapominają o obowiązkach honoru i służby. Bądź pan zdrow! — Wyszedł do następnej komnaty.

Z fatalnym papierem w ręku pobiegłem do kwatery, na schodach przecież zatrzymałem się,

— Niesposób, jęczałem, jakże jej wyrok cesarski pokazać, jak wyznać, co się stało? Zabiję się.

Zbudziłem jednego z oficerów, kazałem nieszczęsną odwiedzić do niedalekiego klasztoru Benedyktynek, zalecając baczną straż nad nią zwłaszcza w dniu następnym.

Sam bezprzytomny, tysiącem różnorodnych uczuć miotany, błąkałem się po mieście. Nad rankiem, gdy przypadkiem obok odwachu przechodził, zaszedł mi drogę owódea warty.

— Pułkowniku, cóż z naszym więźniem uczynić?
Zadrżałem

— Znasz wyrok? — jeknąłem.

— Więć to nie odwołałne?

Odpowiedź wyrwać się z piersi nie mogła, drżący, blady, cierpiący, znowu przed pałac pobiegłem.

— Ach, on człowiek przecież — szeptałem do siebie — ulitować się musi, powinien...

I tak tam stałem do szóstej z rana.

O szóstej już był ruch wielki, pułki przechodziły w porządku, wojskowe muzyki grały, generałowie i oficerowie służbowi tam i sam przebiegali.

Książę de Neufchatel Berthier, w świetny, marszałkowski uniform ubrany, spiesząc do komnat cesarza, ujrzał mnie.

— Dla Boga, pułkowniku, ty znów tu?

— Tak jest, panie marszałku.

— Chceszże rozgniewać koniecznie cesarza, stracić jego względy na zawsze?

-- Obowiązek zmusza mnie prosić, błagać go jeszcze raz; niech co chce się stanie, błagać winienem, ocalę go, lub zginę.

Marszałek przygryzł palec.

— Uparty jesteś, lecz słyszałem, coś wczoraj po-

wiedział. Biedny porucznik istotnie winnym nie jest, a przynajmniej nie tyle, aby śmiercią miał chwilowe obłąkanie przypłacić; podaj mi wyrok, sam będę prosił.

Wziął papier z rąk moich i poszedł.

O pół do 7 mej cesarz wyszedł przed pałac, przeszedł koło mnie, uśmiechnął się nieco, chciał coś rzec, lecz w tej chwili nadbiegł oficer służbowy.

— Najjaśniejszy Panie, hasło.

I zajął się hasłem, potem z kilku wiarusami starej gwardyi rozmawiał, potem z generałami, co w pobliżu stali.

Tak upłynął kwadrans.

Konia mu podano, drżałem; nogę już wstrzemię włożył, gdy wstrzymał się i zawołał:

— Ależ byłbym zapomniał. Pułkownik, dzielny protektor miłostek, niecierpliwie czeka.

Berthier, oddaj mu unieważnienie wyroku.

Marszałek także zapomniał o nim i o mnie, cesarz go zajął. Czem było dla niego ocalenie od niechybnej śmierci jednego człowieka, gdy rewia oczekiwała na grzeczne słowo, miłe spojrzenie lub pochwałę władcy pół Europy.

Oddał mi przecież papier.

Szybko na odwach pobiegłem:

— Ocalę go więc, ocaliłem, — szeptałem radośnie do siebie, — jego krew nie będzie ciężyć na mem sumieniu. A ona! — Ach, ona! Ineza! Dreszcz przebiegł ciało, krew, niby rozpalona lawa, uderzała do głowy, do serca. — Ona będzie szczęśliwa, będzie jego żoną, gdy ja...

Dzika straszna myśl rozpaczy, szału, znów przeleciała po głowie.

— Oni będą szczęśliwi, on będzie jej mężem gdy mnie czeka sromota, hańba, bo ją kocham!

— Och, dziesięć, pięć minut, gdy się wstrzymam

wszystko inaczej się stanie: on zginie, ja znów przynajmniej nadzieję mieć mogę, że będę kiedyś szczęśliwym, że ona będzie moja.

Pięć minut.

I wstrzymałem się istotnie i szeptałem do siebie w dzikiej rozpacz:

— Będzie moja, on zginie; on, zdrajca, zwiódł mnie. Czemuż nie mam się zemścić, czyż tego mój honor, moje szczęście nie wymaga?

Straszna była to chwila! Śmiałem się szyderez; szatan, piekło, oładły mem sercem, duszą.

W tem usłyszałem słowa:

— Cóż tak rano, mój pułkowniku, tu robisz. Czy chcesz widzieć śmierć podporucznika? Za kilka minut ma być rozstrzelany; Jakaż wyborna nauka dla naszej młodzieży!

Słowa ostre, cierpkie, szyderez, przechodzącego obok majora, wyrwały mnie z toku myśli szatańskich.

Przetarłem oko, niby nagle przebudzony ze snu głębokiego.

— Boże! Boże! co ja chciałem uczynić, — szepnąłem do siebie, i nie odpowiadając nic na szyderez wyrazy, z mocnem postanowieniem w duszy ocalenia nieszczęśliwego dobiegłem odwachu.

— Wolny, uwolniony! — krzyknąłem dowódcy warty.

— Kto, podporucznik? pytał mnie.

— Tak jest, cesarz wyrok skasował.

Chciałem pobiedz do izby więzienia.

— Dla Boga pułkowniku! jego już tam niema!

— Jak to? Co znowu, czemu?

— Przed pięcioma minutami poprowadzono go za miasto, gdzie ma być rozstrzelany. Do siódmej godziny sześć minut brakuje, o siódmej, wszak wiesz, ma zginąć.

Wzdrygnąłem się. Za miasto, w którą stronę?

Określił miejsce: szybko pobiegłem drogą, nawet konia od jednego z żołnierzy wziąłem.

Przebywszy rogatkę, może dwa staje od niej na polu dojrzałem grupę z kilkuset widzów żołnierzy najwięcej złożoną. Spojrzałem na zegarek, trzy minuty zostawało mi czasu:

— Boże mój, dziękuję ci, będzie więc wolny!

Wspiałem przecież ostrogą konia, wy dobyłem chustkę z kieszeni, lecz nim zdażyłem rozwinąć ją — „stójcie on wolny“ — wykrzyknąć, trzy wystrzały nagle jednocześnie zagrzniały, głuchy jęk, całej owej widzów gromady doszedł mych uszów

Nieprzytomny pobiegłem z rozwiniętą chustką, i z papierem w rękę na miejsce roztrącając tłum. Jeszcze swąd prochu dochodził, a na małym placu piaszczystym, na znak, przed dołem, co grobem miał być, leżały zwłoki, trzema kulami ugodzone, krwią zlane, — zwłoki podporucznika.

— Zabiłeś go pan, zamordowałeś haniebnie! — dowodzącemu oficerowi krzyknąłem.

— Nie pułkowniku — odparł tenże ocierając łzę w oku się wijącą. Rozkaz był, spełnić go musiałem, wszak o siódmej?

Pokazał zegarek; było już na nim trzy minuty po naznaczonej godzinie.

* * *

Cały ów okropny dzień przepędziłem w kwaterze. — Czemu? Spodziewam się, domyślicie się łatwo czytelnicy — nazajutrz rano dopiero, ośmieliłem się odwiedzić Inezę.

Przyjęła mnie przełożona klasztoru, poważna zgrzybiała zakonnica.

— Margrabina de Fuentes jestże, chcę ją widzieć.

Zakonnica pobladła, lekko wzdrygnęła się; jej tu nie ma — wyrzekła.

— Jak to nie ma? — zawołałem gwałtownie.

— Wyznać panu winnam szczerą prawdę. Dzisiejszej noey oszukała naszą straż, oknem wyskoczyła na ulicę, ścigać nam zakonnym osobom, niesposób było. Gdzie jest, nie wiem.

— Ach! ja — domyśliłem się łatwo, i czempredzej na plac egzekucyi pobiegłem.

Istotnie na świeżej mogile dojrzałem jakąś niewiastę.

Czarna mantyla pokrywała ją, toczona kibić i czarny jedwabny włos w nieładzie rozrzucony, nie zostawiały wątpliwości. To ona była, Ineza.

Zbliżyłem się, lecz nie niosłem ani słów pociechy, ani rozsądku. — Ona już nie żyła.

* * *

I to była jedyna moja miłość; jakie zaś dalsze życie, czemuż mam je opisywać, mój czytelniku: nudne, chłodne, obojętne, życie trupie, upiorze, — ależ przecie i w nim są rozkosze.

Tak, są

Mam nieraz chwile pociechy, naprzód, gdy...

Lecz co tam o tem mówić! wyśmielibyście starego wiekiem i cierpieniami złamanego żołnierza:

— Hej cygar, kieliszek wina!...

Vivat Polonus unus defensor Mariae.

Marszałek Moncey, wysłany od ówczesnego Wielkiego Księcia Bergu, Joachima Murata, na czele 15 tysięcznego korpusu, spiesząc na opanowanie Walencyi, stanął w miasteczku Mocha (Moja), pogranicznym Nowej Kastylii.

Mocha, miasto czysto hiszpańskie, w jednej połowie zrujnowane, w drugiej zapełnione brudem i śmieciem, nie mogło pomieścić w swych murach całej naszej armii; kilka więc pułków, a między innymi ten, w którym służyłem, rozłożyło się po okolicach. Mnie z czterema oficerami kompanii, naznaczono kwaterę w Salto di Lobos, wiosce dwie mile od Utiel, w kierunku Walencyi położonej.

Skwarne było południe, gdyśmy do wspomnianej wioski maszerowali. Słońce piekło afrykańskim żarem, ziemia w popiół spieczona kruszyła się pod kopytami naszych rumaków, na przyległych łąkach i polach, ani źdźbła zieleni, a cała okolica zdawała się być opuszczoną, bezludną. Kiedy niekiedy tylko w oddali jaką wioskę dopatrzyło oko, oliwny gaik albo stado poważnych węlnistych merynosów, szukających strawy wśród skał Sommo di Capo, które piętrząc się jedne nad drugie, wzbijając nagie piaszczyste złamy w błękit niebios, niby skamieniałe miasto olbrzymów, zaległy nieprzejrzany okiem przestwór kraju, właśnie w kierunku naszego pochodu.

Po dwugodzinnym marszu, konie nasze znój pokrył, my sami ze zwieszonymi głowami, znużeni; potem przesiąkli, nie mieliśmy ani chęci ni siły do zwykłych nam w wojennych pochodach piosenek i dowejków; wrodzoną żywość i szczebiotliwość francuską przytłumiły upalne słońce, skwarna atmosfera i duszne Solano, monotonna ciszę przerywał tylko stuk kopyt rumaków, brzęk szabli, lub pytania moje i kolegów, hiszpańskim przewodnikom dane: „Czy daleko jeszcze do Salto di Lobos?“ — „Za kilka minut będziemy tam“ — odparł wreszcie z nich jeden i istotnie, wspomniona wioska, dotąd piaszczystem wzgórzem i oliwnym gaikiem zakryta, stanęła przed naszymi oczyma.

Dla urodzonego na Mazowieckich płaszczyznach, przyzwyczajonego do nieprzejranych zielonych niw, na których oko i myśl częstokroć niema na czem odpocząć, dziwny powab miała dzika ponura górzysta Hiszpania, szczególnież też położenie Salto di Lobos zajęło mnie i zachwyciło; bo wieś cała zabudowana była u stóp nagiej niebotycznej góry, której ściany strome, głębokimi rozdarte parowami, co chwila zdawały się grozić jej zniszczeniem. Przecież mieszkańcy wioski niedawali baczenia na bliskie niebezpieczne sąsiedztwo, owszem, sami podrywali kamienną górę, by z łamów jej skał budować sobie siedziby. Niebyły one podobne do innych hiszpańskich; porządnie wystawione, niektóre piętrowe, wszystkie zaś okrażone gęstymi sadami oliwek, pomarańczy, długimi obszarami winnic, nęciły przechodnia tą zamożnością i dobrym bytem, które zawsze radują serce niezamknięte dla powabów cywilizacji i pracy. Na końcu kasztanowej alei, utrzymanej starannie, co znowu jak u nas jest dziwne w Iberyi, piętrzył się dumnie gmach, rezydencya właściciela wioski, otoczony obszernym ogrodem w guście wło-

skim; długie jego szpalery cyprysów i bukszpanu, wydały się patrzącemu z daleka niby ogromne wały i mury zieleni. — Podobny ogród okrążał także klasztor przyległy do dworca, a na dość obszernym wystawiony wzgórzku, tak, że dwie jego miedzią powleczone wieże, wzbijały się wysoko i nad wsią całą i nad okólnymi sadu drzewami.

— Piękna wieś, poruczniku — rzekł mi dowódzca kompanii, gwarliwy i wesoły nadsekwanski Francuz — jeżeli nie rodzinne strony, to przynajmniej nasuwa pamięci okolice Perpignanu i Awinionu. Oby tylko mieszkańcy przyjęli nas gościnnie, wtedy niewiele gniewałbym się na rozkaz Marszałka, co nas z Macho oddalił.

Ledwie dokończył tych słów, gdy z za gęstego szpaleru alei, mały orszak jezdnych zaszedł nam drogę, a na jego czele mężczyzna chudy, blady, śniady, o błyszczącym oku, dumnej postawie, jak każdy bogaty czy ubogi Hiszpan; zwróciwszy się do kapitana, rzekł mu łamanym francuskim językiem:

— Jestem dziedzicem tej wioski, Hidalgo Don Juan di Ribeira di Estella y Niewes (każdy szlachetny Kastylijczyk ma przynajmniej trzy nazwy). Cieszę się mocno z przybycia Panów i ufam, że w szczupłym mym dworcu, raczycie przyjąć mieszkanie i gościnność, jest on cały na wasze rozkazy.

Grzeczne były oświadczenia Hiszpana, ale wcale nie w zgodzie ni z blaskiem jego oczu ni wyrazem fizjognomii; było w nich coś tak przykrego, odstręczającego, coś że się wyrażę szatańskiego, tak iż gdybym się zeszedł sam na sam z Panem Hiałgem, choćby też na Praterze Madryckim, niezawodnie dobyłbym szabli i miał się na pogotowiu, by sztylet zdradnie w pierś nieuderzył, lub kula pistoletu czaszki niestrzaskała. — I teraz nawet

choć stałem na czele dwustu dzielnych wojowników, mimowolny dreszcz wstrząsnął mem ciałem, a wewnętrzny instyktowy głos wołał: — „Strzeż się go“.

Wątpię, aby też sama myśl przebiegła po kapitana głowie; znał on dawniej niż ja Hiszpanów, i do ich dziwnych spojrzeń, śniadych lic i chropowatej mowy przyzwyczajony był długim zamieszkaniem w Marsylii i Bajonnie: przyjął z żywą wdzięcznością zaprosiny Hidalga, serdecznie uściskał dłoń jego i jak na prawdziwego Francuza przystało, obsypał go tysiącem grzecznych słów i oświadczeń.

W zamku Hiszpana, wszystko było gotowe na nasze przyjęcie; śniadanie wytworne, cukry, konfitury, owoce. Jako Mazur niewiele w nich smakowałem, ale stare i wytrawne wino do wzgardzenia nie było; Madera, Xeres, a nawet ulubiony Burgund, poznały obszar polskiego żołądka, lecz, gdy my, oficerowie, po znojmym marszu, w chłodnej sali, przy hojnie zastawionym stole, krzepiliśmy żołądki i siły, żołnierze na dziedzińcu zamkowym w ordynku wojennym, na skwar południowego hiszpańskiego wystawieni słońca, przeklinali zapewne i obowiązki służby i nasze o nich zapomnienie. Pierwszy Hidalgo zwrócił na to uwagę i rzekł kapitanowi:

— Czemuż Pan rotę swoją, tylu dzielnych żołnierzy, niedawnym pochodem strudzonych, bez potrzeby zatrzymujesz na skwarze słońca, podmuchu Solano? Szczerze radzę, odeszlij ich do wsi; mieszkańcy równie jak ja wielbiciele waszego Cesarza, duszą i ciałem Książęciu pokoju oddani, przyjmą gości najchętniej jak obrońców i przyjaciół swoich.

Francuz z radością przyjął wniosek i wyszedł dla dania stosownego rozkazu, pospieszyłem za nim.

— Kapitanie, rzekłem — czyż nielepiej byłoby umieścić całą kompanią gdzie w pobliżu, aby była na zawołanie i pod naszym okiem? — Pan tego zamku uprzejmy i gościnny, przecież wyznam ci, nie wiele mu ufam.

Francuz rozśmiał się i odparł:

— A to chyba dla tego, że ma śniadą twarz, czarne oczy i barbarzyńskie nazwisko; tym sposobem wszystkich mieszkańców tej ziemi wystrzegaćby się nam trzeba. Śliczne życie wiedlibyśmy wtedy! a co najgorsza bez żadnej potrzeby; przynajmniej co się tyczy Don Juana di Riberia, niemiej obawy, mój poruczniku: jeszcze w Macho zasiągnąłem potrzebnych o nim wiadomości, wszyscy mu jednomyślnie oddawali pochwały. Gorliwy to partyzant naszego przyjaciela Księcia pokoju, przytem najślawniejszy i najzabieglejszy gospodarz w obu Kastyliach; wojny nie lubi, zwłaszcza też z nami, bo wie, że ona łącno mogłaby zniszczyć jego wioskę, pozbawić majątku, który z trudem zebrał i stracić ze szczytu wielkości, przemożnego jego protektora Godoia.

— Z Hiszpanami niema żartów, najspokojniejszym dowierzać nie można. Przypomnij sobie kapitanie Toledo, gdzie powstanie w jednej chwili wybuchło i to podniecone przez tych, którym ufaliśmy najwięcej; nieposądzam o żadne złe zamiary naszego gościnnego gospodarza, przecież nie zaszkodzi ostrożność, zwłaszcza gdy nam ona rozkazem dziennym marszałka i ustnym pułkownika, jak najsurowiej zalecona.

Mój kapitan przy dobrem sercu, wielką miał dozę próżności i zarozumiałości; obraził się widocznie napomknięciem o wyższych rozkazach, i odparł z zimną powagą:

— Panie poruczniku, chciej sobie przypomnieć, że kompania pod mojem dowództwem zostaje, i że za jej

bezpieczeństwo i całość sam jeden tylko jestem odpowiedzialny; jako podkomendny, nie o cudzych myśleć, lecz pełnić me zlecenia powinieneś. Hej — dodał, zwracając się do żołnierzy — na konie i do wsi. Sierżant niech przywoła alkadę, i wspólnie z nim kwatery naznaczy; pamiętajcie, sprawować się przykładnie i trzeźwo.

Radosne „*Allons!*“ zabrzmiało, cały oddział w jednej chwili dosiadł koni i ku wsi odciągnął. Ja z kapitanem wróciłem do zamku.

Reszta dnia przeszła spokojnie a nawet przyjemnie; kwatery nam przeznaczone były wygodne i hojnie zaopatrzone we wszystkie życia potrzeby. — Koło szóstej z południa odwiedził mnie Hidalgo i zaprosił na obiad.

— Chciej Pan jednakże przebaczyć — mówił — jeżeli towarzystwo nie będzie tak dobrane, jakbym sobie życzył; w mojej wiosce, bogaty znajduje się klasztor, więc zaprosić kilku zakonników musiałem; nie mogłem tego zaniedbać, bez ściągnięcia na siebie ich gniewu i zarzutu bezbożności. Znasz Pan Hiszpanią i wiesz zapewnie o przewadze jej duchowieństwa; jakkolwiek wasza armia i Księżę d'Alcudia (Godoj) znaczne u nas zmiany przynieśli, nie są one jednak, ani tak silnie ustalone, ani poparte, by dawnym przesądom i złemu można było bezkarnie uragać; nadto, przyznać ci się muszę, jestem Hiszpan starej daty, za granice kraju mojego nie wyjeżdżałem, wspomnień i wrażeń dziecka, nie mogę zatrzeć ni przekonaniem ni rozumem, jestem jak moi przodkowie, jak ród cały, prawowiernym rzymskim katolikiem.

Słowa Hidalgo pogodziły mnie nieco z ponurym błyskiem jego oczu, i szatańskim lic składem; mimowolnie byłem wzruszony szczerem oświadczeniem i wynurzeniem zasad, odparłem mu zatem:

— Ganić postępku pańskiego, ani mogę, ani powi-

nieniem; najpierwszą moją zasadą równie jak moich kolegów, jest szanowanie zwyczajów i świętości krainy, w którą nas rzuci los wojny. Towarzystwo, o którym wspomniałeś, nie odstręcza mnie wcale, owszem miłe mi będzie, gdyż i ja równie jak Pan, dobrym chrześcijaninem katolikiem jestem.

— Katolikiem? — odparł Hiszpan, rzucając mi bystre ogniste spojrzenie, którem, zdawało się, chciał wejrzeć w ostatnie głębie mej duszy i serca. — Pan jesteś chrześcijaninem i katolikiem? Oficer francuski...

— I czyliż to Pana powinno zadziwiać? — wyrzekłem, uśmiechnawszy się lekko. — Alboż nie wiesz, że szaleństwa rewolucyi oddawna już przeszły, że chrześcijaństwo we Francyi silną wolą Napoleona przywrócone zostało, on sam nawet, nasz Cesarz, kilka lat temu, ukoronowany był własną ręką Ojca świętego. Nie jest że to najlepszy dowód, przywrócenia dawnych zasad i wiary w narodzie, obłąkanym na chwilę zgubnemi wyobrażeniami garści szaleńców?

— Tak — mruczał Hiszpan — wiem dobrze, iż wasz Monarcha kilkanaście kościołów odartych z dawnego blasku i świetności duchowieństwu rzymskiemu powrócił, wiem i o tem, kto jego czoło cesarską ozdobił koroną, lecz w tym razie mus, nie jest dowodem. Potrzeba mój Panie, często dziwne wskazuje nam drogi; nie wątpię przecież o dobrej wierze oficerów i żołnierzy francuskich. Szkoda tylko, że słów nie popierają czynami; nietylko nasi księża, ale lud wszystek obojga Aragonii i Kastylii, skarży się na wasze lekceważenie najświętszych zasad Boskiej wiary Chrystusa, na kalandry i rozbójnicze odzieranie z dzieł sztuki i bogactw, nietylko domów naszych lecz kościołów i klasztorów.

Trudno było co odpowiedzieć na Hidalga uwagę.

Napojeni zgubnemi prawidłami niedawnych czasów bezładu i szalu, nietylko oficerowie, ale i żołnierze armii francuskiej dopuszczali się wybryków, które ludowi pobożnemu i od wieków przywiązanemu do swej wiary, musiały świętokradzkimi się zdawać. Najsurowsze zalecenia dowódców nie nie pomagały, gdyż ciż sami dowódey jak Murat, Soult, Moncey i inni, pierwsi dawali i słowem i czynem przykład złego. Odparłem jednakże:

— W części może masz Pan słuszność; chciej zwać jednak, iż trudno odrazu nawrócić lud zgubnym szalem zachwycony, do dawnych wyobrażeń i moralności, a zwłaszcza lud jak nasz wojenny, bezustanku z jednego krańca Europy na drugi rzucany, łakomiej chwytający złe, niż dobre. Przyznać jednak musisz, że i w naszej armii pomimo rozpreżenia karności i zasad, znajdują się ludzie szanujący i wypełniający wszystkie świętej wiary nakazy, ludzie równie jak wy Hiszpanie, katolicy od wieków, i teraz nieposzlakowani w swej wierze; ja jestem z nich jednym, bo chociaż w armii francuskiej służę, jej mundur noszę, przecież jestem z urodzenia Polakiem.

Hiszpan rzucił mi znowu swoje baczne śledcze spojrzenie i mówił głosem przeciągłym, spokojnym:

— Tak, słyszałem o tem, wiem nawet z doświadczenia, Polacy dobrymi zawsze byli chrześcijaninami, są niemi i teraz, chociaż towarzystwo, zły przykład, niejednego już z prawej drogi zwróciły. Ufam, że Pan do tej liczby nie należysz, ale — dodał żwawszym głosem rozchmurzając czoło zasepione od początku naszej rozmowy — dlaczego mamy tracić czas na rozprawach, któreby przystały księżym tonsurom? Co ma być, stać się musi, zostawmy losowi przyszłość, myślmymy o terażniejszości. Cieszę się mocno, że nie obrazi Pana towarzystwo obiedne; chciej więc pospieszyć do sali, dobre wino znajdzie się

i nietylko habity, ale i mantyle; moja siostra bowiem z swą córką, obiecały zaszczyścić biesiadę.

Wyznam, że zakończenie rozmowy, milszem mi było niż jej ciąg cały; ubrałem się starannie, bo któryż z naszych wojskowych, Napoleona żołnierzy, o stroju kiedy przepomniął? Nadto byłem młody, spieszyłem pomiędzy kobiety Hiszpanki, a one tak piękne! Ileż to bodźców do zaufania w swe szczęście, do wiary w nadzieję, a przynajmniej do chęci podobania się!

Gdy wszedłem do sali jadalnej, towarzystwo całe na mnie tylko oczekujące, zasiadło do stołu; pierwsze miejsce zajęła siostra Hidalga, kobieta lat trzydziestu, wysoka, nakazującej postawy i dumnego oka; przy niej usiadła jej córka, dziewczica młoda, piękna, dziecko prawie jeszcze, ale dziecko hiszpańskie lat piętnastu, w którego żyłach wre krew burzliwa, w którego myśli, snach i sercu miłość, i to nie miłość naszych dziewic północy, wstydliva, zimna, mało co więcej nad przyjaźń, z nazwy tylko uczucie, lecz miłość ognista jak słońce Iberyi, namiętna jak jej tańce, jej legendy i piosnki. Hidalgo posadził mnie przy niej — kapitana przy Donnie Juliannie swej siostrze, trzech podporuczników zajęło miejsca naprzemian z Patrami klasztoru, Hiszpanami duszą i ciałem.

Rozmowa przy stole szła dosyć żwawo; gościnnie Hidalgo wcale nie oszczędzał wina, Hiszpanie pili mało, lecz ja urodzeniem Mazur, a to jeszcze Łęczycki, nie naśladowałem ich przykładu. Moi towarzysze Francuzi tem mniej jeszcze i wkrótce jeśli nie burzyły nasze głowy, to umysł zostawał w tym błogim stanie upojenia, kiedy rzeźwa wesołość do serca wstępuje, a świat milszy, bo przepomniane troski.

Młody, wesoły, pochopny z natury do niewinnych zabaw, do pogadanki, każdy łatwo może pojąć, że nie

zaniedbałem korzystać z sąsiedztwa z piękną Hiszpanką, siostrzenicą mojego gospodarza; — rozmowa między nami szła z zajęciem i żwawo, bo chociaż ona źle mówiła po francusku, ja gorzej po hiszpańsku jeszcze, łataliśmy jak mogli brak wyrazów, to czułem spojrzeniem, to omówieniami, które chociaż tak dziwaczne, że o śmiech jedną lub drugą przyprawiały stronę, nie rozdzielały ani gniewały nas przecie. Często do tej rozmowy mieszała się Donna Julianna, często zbytnie spoufalenie, ostrem spojrzeniem zakłócił Hidalgo, ale nie dawaliśmy na to baczenia, bo cóż młodym zajętym sobą, znaczył cały świat, wszystkie jego pęta i dasy. Wreszcie, a nie wiem już jakim sposobem, rozmowa nasza, skacząc z przedmiotu na przedmiot, zaczęła o miłość. Właśnie byłem w połowie najpiękniej i najzręczniejszego zdania, które zlewało żywym szkarłatem miłe lica Donny Fabianny, wstrząsało dziewczyną jej piersią; gdy jeden z Patrów, który oddawna i pilnie zdawał się nas śledzić, upuścił niby z niechęcia puhar, który niósł do ust; wino rozlało się strumieniem po stole, szkło brzękło w kawałki rozbite, i gdy całe towarzystwo a szczególnie też kapitan, który więcej od innych rodzinnym uraczył się bordeaux, zaczęli przedrwiwać jego niezgrabność, Pater obojętnie — domyślnie wejrzenie Donnie Juliannie rzucając, wyrzekł:

— Raczcie przebaczyć Panowie, lecz mnie się zdaje, iż ten przypadek, widoczną niebios dla nas ludzi zakonnych przestroga, abyśmy porzucili wesołą zabawę i udali się, gdzie nas obowiązek wzywa.

Donna Julianna, która, gdy ja piękną rozmową zaczął jej córkę, właśnie podobną z kapitanem wiodła, wzdrygnęła się na te wyrazy, skierowała wzrok ku nam, wzrok ognisty, czysto hiszpański; dojrzała szkarłat lic

dziewicy, pojęła jego powód i powstając z krzesła, wyrzekła:

— Tak, masz słusność Padre Ambrosio, czas już na nieszporne nabożeństwo, a to nietylko dla ciebie, lecz i dla nas kobiet; żegnam więc Panów — dodała powstając — ufam że zobaczymy się jutro.

Zanim przecież z sali oddalić się mogła, zatrzymana francuskimi grzecznościami kapitana, zbliżyłem się do Fabianny i szepnąłem do ucha:

— Nie uwierzysz Pani, ile mnie boli oddalenie się twoje: rozkaz Donny Julianny jest okrutny istotnie; spodziewałem się, że wieczór ten, pierwszy znajomości naszej, cały będzie równie przyjemny, jak nim być zaczął.

Lica dziewczicy były blade, oko dziwnie pałało, głos drżał, gdy mi równie cicho szepnęła:

— Ach Panie, ja się boję, ja się bardzo boję.

— Czemu? — zapytałem zdziwiony, niepojmując wcale obawy dziewczęcia. Wskazała mi okiem Don Ambrosia i mówiła pospiesznie:

— Uważaj na jego twarz, na jego oko; gniewem kipi cały, coś się z nim dzieje strasznego, dziwnego, znam go! Biada, na kogo zwróci się zemsta tego człowieka; powtarzam, strzeż się go, inaczej biada ci, biada nam wszystkim!

Trwoga dziecięcia rozśmieszyła mnie tylko; zamiast do słusznej obawy pobudzić, wyrzekłem więc:

— Nieobawiaj się, Sennorita, czy niespostrzegasz przy mym boku szabli? Starczy ona, gdyby tego była potrzeba, nie tylko ku mojej, lecz i ku twojej obronie; groźniejszych nieprzyjaciół umiałem pokonać, nie zleknę się i dzikiego wzroku twego Patra.

Ostatnie słowa dość głośno wyrzekłem, piękne

dziewczę zadrżało, trwożnem okiem na okół rzuciło i wyszeptać:

— Ciszej, dla Boga ciszej! mój stryj lęka się go nawet. Raz jeszcze błagam cię, strzeż się: mnie się zdaje, że w tem wszystkim jest coś strasznego, niepojętego; uważałam to od wczoraj, od czasu gdy przybiegł Escopeteros*) z wiadomością o waszem przybyciu. Dziwni ludzie byli dzisiaj w zamku, kilka godzin strawili poprzednio w klasztorze, pomiędzy służącemi chodzą wieści o gerillasach, o armii Castannosa w pobliskich górach ukrytej.

Na tem rozmowa uciętą została; piękne dziewczę musiało oddalić się z matką, a ojcowie, lubo nie z wielkim pospiechem, zabierali się także do wyjścia.

— Nie, nie z tego — zawołał kapitan, w którego głowie widocznie wino szumiało — uwolniliśmy kobiety, bo one zawadą przy końcu biesiady, lecz wy zostać musicie: przy obiedzie opuszczaliście kielichy, teraz czas je nagrodzić.

Zbliżyłem się do nierozważnego Francuza, i rzekłem mu do ucha:

— Dla Boga, kapitanie, niezatrzymuj ich wcale, a przynajmniej nie w tym jak chcesz sposobie; udzieli ci wiadomości, która bezwątpienia zmieni twoje wyobrażenie, tak o Hidalgu jak i o gościach jego.

— Nowe duby, poruczniku — niecierpliwie mi odparł: — wy mieszkańcy stron północy na polu bitwy tylko obawy nieznacie; pokosztuj tego wina i powiedz mi czy źle myślący częstowałby równie dobrem? Pół roku już zamieszkuję w Hiszpanii, a czyli choć raz,

*) Escopeteros, sługa pocztowy używany do eskorty dyliżansów i rozwożenia po okolicy listów i postanowień rządowych.

gdzie bądź, równie gościnnie jak u Hidalga byliśmy przyjęci?

I znowu zwrócił się do Patrów, zmuszając ich prawie gwałtem do pozostania: Don Ambrosio rzekł wtedy:

— Przynajmniej na to chciej zezwolić, aby się dwóch z nas oddaliło: niesposób zostawić klasztoru i młodszych braci bez dozoru i opieki.

Kapitan zgodził się, gospodarz nowy kosz wina przynieść rozkazał, a goście przyjęli go głośnym radosnym wykrzykiem: Co do mnie — dziwne słowa Fabianny brzmiały mi wciąż w uchu. Jakkolwiek charakter hiszpański nieokazał się jeszcze w całej tej sile, którą miał pierwszy podkopać żelazną Napoleona potęgę, jednak już i w tym czasie, mieliśmy dosyć przykładów, co może lud ten wiedziony wrodzoną dumą i zemstą i że nie przebiera w środkach, aby dojść do celu; — Nie mogąc zaś skłonić do ostrożności kapitana, jako pierwszy po nim oficer, wzięłem sobie za obowiązek czuwać nad bezpieczeństwem kompanii, i dlatego mimo odradzań towarzyszy i Hidalga, posiadałem konia i udałem się do wsi.

Nie znalazłem przecie, coby usprawiedliwić mogło podejrzenia moje, wszyscy żołnierze przyjęci byli jak najgościnniej od swych gospodarzy, i zbyt gościnnie nawet, bo niejednemu wino w głowie burzyło, niejeden zapomniał o służbie, wabiony hojną biesiadą i czarnymi kastylijskich dziewic oczyma: zrobiłem jednak co mogłem, rozstawiłem strażę, nazaczyłem patrole nietając wcale, że w kraju, którego mieszkańcy są nam nieprzychylni w ogóle, winniśmy postępować ostrożnie, ani zbyt ufać gościnności, co może pokrywać chęć zemsty i jakie krwawe zamiary.

Gdym powracał do zamku, noc już była, a nie noc jaką nam zwykle opisują poci hiszpańscy, gwiazdzista,

ciepła i jasna, lecz posępna chmurna i ciemna. Na tle niebios ni jednej dojrzałeś gwiazdy, zimny wiatr od strony gór wiejący, pałace Solano zastąpił. Był to przeskok, jaki się często w południowych zdarza krainach od dnia upalnego do nocy mroźnej, burzliwej, przeskok' tyle niebezpieczny dla cudzoziemców, którzy chociaż zimniejszych stron mieszkańcy, nie są przyzwyczajeni do podobnych nagłych zmian klimatu. — Już przy wchodzie do obszernej sieni budowli, głuchy szmer z jadalnej komnaty pochodzący, doszedł mych uszu; rozeznałem nawet silny głos kapitana: widocznie rozmarzony trunkiem, co mu się często zdarzało, nietrzymał języka na wodzy, i szukał kłótni; przekonałem się o tem dowodnie, wszedłszy do sali jadalnej, gwar w niej był nie do opisania. Kapitan i trzech koledzy oficerowie, nieprzystojną i uchylającą religii rozmową zaczęli dwóch Patrów i Hidałga. Naśmiewania i żarty widocznie obraziły wiernych swoim świętościom Hiszpanów, oczy ich błyszczały i miały ogniem gniewu i bezsilnej zemsty, lica płonęły a dłonie w kłębek ściśnione, zdały się tylko dogodnej oczekiwać pory, aby ujawszy sztylet, śmiertelny raz przeciwnikom ponieść. Cały charakter hiszpańskiego ludu, w wszystkich swoich odcieniach, malował się w owej gromadce: duma, namiętność, przebiegłość i zemsta. Moje wejście nie zawiesiło słownej utarczki, owszem kapitan śmiejąc się, zawołał:

— Bywajże poruczniku, w sam czas przybyłeś; zaczęliśmy bowiem teologiczną dysputę z tymi panami, lecz chociaż cały zapas wiadomości wydobywamy z pamięci, chociaż cytujemy najpiękniejsze zdania wszystkich naszych filozofów i zeszłego i tego wieku, szczególnież też Woltera i d'Alemberta i Russa, przekonaś niemożemy ich wcale. Upornie trwają w swych błędach, owszem,

wyobraż sobie, chcieliby nas do nich nawrócić, nas, Napoleona żołnierzy!

Zimno odparłem:

— Sądzę kapitanie, że ani czas, ani miejsce nie jest do podobnej dysputy stosowne; wreszcie siły nasze za słabe. Żołnierze do szabli nie do teologicznych rozpraw przeznaczeni jesteśmy; dajmy więc temu pokój, a co będzie najlepiej, nienadużywajmy dłużej gościnności szlachetnego gospodarza, i udajmy się na spoczynek.

Kapitan zarumienił się cały, wyrazy moje obraziły go widocznie; zwracając się więc do Patrów, wyrzekł szyderczo:

— Omyliłem się rachując na mojego porucznika, zapomniałem, że on wasz duszą i ciałem, jednak za zwycięzonego nieuważam się jeszcze, i cokolwiek szanowny mój kolega mówi, chociaż ile mniemam, sądzi, że przebrałem miarę w winie, ustąpić wam niechęć bez walki; zacznijmy zatem na nowo.

Słów jego nie mam potrzeby ani chęci czytelnikowi powtarzać; były to bluźnierstwa grube i szpetne, godne nieokrzesanego żołdaka, godne człowieka, który w szale kilkunastoletnich krajowych zamieszek, czerpał ohydne wyobrażenia i maksymy. — Patrowie słuchali jego słów w rozpaczem milczeniu, Hidalgo z oburzeniem, a ja rzekłem:

— Kapitanie jeżeli nie przez wzgląd na gospodarza i charakter gości z którymi zostajesz w tej chwili, to przynajmniej dla mnie kolegi, którego znasz sposób myślenia, chej zakończyć twoją rozmowę: wszak wiesz, że chrześcijaninem i katolikiem jestem, śmieszki i żarty twoje, nie są mi weale miłe.

— Ach! — krzyknął, zanosząc się od śmiechu — *Polonus defensor Mur ae!* Wybornie kolego! Wielebni

ojcowie powinni wynagrodzić twoją pobożność; ręczę, że jutro przysła ci w darze paciorki i szkaplerz a nasza kompania zyska błogosławionego człowieka, a choć nie wiem, czy przez to na dzielności nie straci, przecież dla mnie będzie zaszczyt nie mały, mieć kolegę i podkomendnego w blizkich z niebem stosunkach. Polecam się zawczasu twej pośmiertnej protekeyi i modłom.

I znowu uderzył w bluźnierstwa. Dłużej nie mogłem ich ścierpieć i brzęknawszy po rękojeści szabli, wyrzekłem:

— Dosyć już tego panie kapitanie, jeszcze jedno słowo w podobnym przedmiocie wyszłe z ust twoich poczytam za osobistą obrazę i zadosyć uczynienia nie zaniedbam wymagać.

Fzancuz zagrzany winem, wy dobył natychmiast swój oręż i z przekąsem odparł:

— Niepotrzebujemy odkładać i kiedy taka twa wola, spróbować możem natychmiast, czy hart heretyckiego żelaza, stepi się pod ciosami gorliwego jak pan katolika.

— *Allons.*

Do pojedynku jednakże nie przyszło; wmieszali się koledzy, a nawet Patrowie i Hidalgo, odradzając walkę. Po kilku minutach wymówek i sporu, podaliśmy sobie ręce z kapitanem nawzajem, a Hidalgo wykrzyknął:

— Zgodę, jak sądzę, trzeba winem potwierdzić. Nieprawdaż moi Panowie?

Zabłysło wino na stole i mimo wzbraniania się, kilka kielichów wypróżnić musiałem. Don Juan szczerze na mnie zwracał baczenie, toż samo obaj Patrowie: w owej chwili ich względy brałem jako dowód wdzięczności za wmieszanie się do dysputy i przerwanie bluźnierstw kapitana. Ubiegła znowu godzina, a ogromny staroświecki zegar w sali wiszący ponuro jedenastą wydzwonił. Don Ambrosio, rzekł wtedy powstając:

— Już czas; dłużej nie możemy ani powinniśmy pozostać, sędzę, iż w klasztorze niecierpliwie oczekują na nasze przybycie.

Hidalgo wstał z krzesła także, jego wzrok żwawo przebiegł od księży ku mnie; mówił:

— Mniemam przecież, że jeden kielich niezaszkodzi jeszcze, będzie on ostatni na pożegnanie, skinął i służący czempredzej odbiegłszy, przyniósł parę butelek starannie okorkowanych, pleśnią pokrytych.

— Wyborny stoletni Val de Penas — mruzczał Hiszpan napelniając kieliszki. Zaczął od naszych i rozlał całą butelkę, drugą rozdał Patrom i sobie.

Dziwna nieokreślona jakaś obawa, jakiś wewnętrzny niepokój, wstrząsnął całym ciałem, gdy napój do ust przybliżył, jego kolor i zapach dziwnym mi się wydawał: skierowałem wzrok machinalnie ku Hiszpanom, ich oczy tak błyszczały, tak płonęły! ich lica szatańskim szyderstwem promieniały. — Kapitan i trzech koledzy oficerowie, wychylili do dna swe czary ja nie mogłem. — Wstręt mój spostrzegł Hidalgo, i głosem który dotąd jeszcze, mimo lat trzydziestu pięciu ubiegłych, brzmi mi w uszach, wykrzyknął:

— Dalej Poruczniku, pij czempredzej, przysięgam ci, że to ostatni!

— Tak, ostatni — pomruknął bełkotliwym językiem kapitan, i ciężko potoczył się na przyległe krzesło.

Wychyliłem do dna mój kielich.

Co było dalej, niewiem, niepamiętam; to tylko przypomnieć sobie mogę, że zaledwie napój przeszedł mi przez gardło, dziwny dreszcz wstrząsnął ciałem, język i nogi skostniały, głowa o ciężała, a chęć snu straszna, okropna, przymknęła powieki.

Usnąłem.

Przykry to był sen, okropne jego marzenia; wszystkie w młodości słyszane powiastki o strachach, upiorach i widmach stanęły widomie przed okiem duszy. Rozmawiałem z umarłymi, czułem ich zimny oddech, zwiedzałem groby i piekło: wszystkie kiedyś czytane fantastyczne włoskie i hiszpańskie legendy, urzeczywistniały się niejako dla mnie; ostatnie szczególniej widziadło, utkwiało w pamięci. — Przed kilku dniami wpadł mi w rękę rewolucyjny francuski utwór, dzieło pełne przesadzonych obrazów i obelg dla kastylińskiego duchowieństwa, pod tytułem: „Historja Inkwizycyi hiszpańskiej“. Otóż mnie się zdawało, że posadzony o bezbożność, stałem przed straszliwym sądem.

Przy okrągłym stole, czarnym kirem pokrytym w sali także czarno przystrojonej, przy mdłym blasku pochodni, na ogromnych krzesłach, zasiedli moi sędziowie, a na ich czele Don Ambrosio, ze swoim wzrokiem jaszczurezym, groźnemi licami i szyderskim uśmiechem. — Obok niego stał Hidalgo Don Juan, i pełnił oskarżyciela powinność: straszne okropne zarzucał mi zbrodnie, morderstwo, zdradę, złamanie przysięgi a szczególniej obrazę wiary i Boga! — Chciałem bronić się, odpowiedzieć na owe ciężkie zarzuty — niesposób — dech zamarł w piersi, język niby martwy kamień zapomniał swej powinności bełkotał niezrozumiałymi tylko dźwiękami. Rozpacz gnioła duszę, a spoglądając w szpetne lica sędziów, wejrzeniem błagałem litości; widziałem jasno, bacznie, że nadaremno; uśmiechali się oni, ale to był uśmiech czartów nad swym łupem, potępioną duszą; szeptali coś z cicha, ale ten szept zapowiadał mi zgubę, śmierć. — Kilka chwil tak zeszło, wydały się one tysiącem lat nieszczęśliwemu, aż Don Ambrosio wstał i ponurym głosem wykrzyknął:

— Porucznik S* jest zbrodniarzem, krzywoprzysięcą, bezbożnikiem, mordercą, powinien umrzeć!

— Powinien umrzeć! — powtórzyli kolejno sędziowie, wstając jeden za drugim; Hidalgo do ich słów dodał: — Śmierć mu!

Śmierć mu! — odbiło echo murów komnaty — śmierć mu! — zabrzmiał głos straszny, okropny w głębi mego serca, mej duszy, mych piersi. — Zadrżałem, pobladłem, — ach! jak to strasznie umrzeć, kiedy życie wrze w piersi, kiedy świat tak miły, piękny, rozkoszny!

Don Ambrosio skinął ręką i z za czarnego obicia komnaty, niby jakieś widma grobowe, niby szatany czyhające na dusze grzesznika, czterej weszli siepacze. Obnażone były ich ramiona i piersi, krwią zaszcze oczy, śmierć w ich spojrzeń, szeptali pomiędzy sobą:

— Zanim umrze, popróbujemy tortur.

I przynieśli tortury — okropne one były: pasy nabite gwoździemi, (miano niemi krępować me ciało:) sznury na wyciąganie rąk i nóg z ich stawów; wrząca oliwę; straszliwe buty hiszpańskie.

— Boże! — wołałem w rozpacz — czyliż nikt nie przyjdzie z pomocą, nikt o mojej nie zaświadczy niewinności!

A ledwie wyrzekłem te słowa, młoda piękna dziewczyna do komnaty wbiegła; włos jej był w nieładzie, lica blade, w oku przestrah. Poznałem ją odrazu, była to donna Fabianna; wstrzymała siepaczy, i wołała ze łzami:

— Na Boga, na zbawienie dusz waszych, zaklinam was, miejcie litość, on niewinny, on równie dobry chrześcijanin, jak wy, jak ja!

I osłoniła pięknem swem ciałem me ciało, i gdy siepacze odepchnąć ją chcieli, objęła mnie słabemi ramionami i jęczała.

— Zabić go chcecie, zabijcie więc i mnie, bo ja go kocham, bo jego życie mojem życiem.

— Dla Boga Fabianetto, co czynisz, co mówisz! — ozwał się wtedy głos chropowaty i silny, znajomy mi dobrze, głos Don Juana: — Ty Hiszpanka, ty moja siostrzenica, miałabyś kochać Francuza, bluźniercę, wroga kraju naszego?

— On nie Francuz, on nie nasz wróg, on dziecię stron dalekich, chrześcijanin: czyliż zapomniałeś stryju, że w obronie naszych świętości wy dobył oręż, chciał życie poświęcić; śmierć jego padłaby na twe sumienie, byłaby ci zakałą na ostatecznym sądzie, duszy zamknęła zbawienie!

Hidalgo wahał się co czynić, siepacze odsunęli tortury i o kilka cofnęli się kroków, gdy z okiem palającym gniewem, wściekłą zemstą, Don Ambrosio przyskoczył i krzyknął!

— On zginąć musi, on nie chrześcijanin kiedy śmie służyć w pogańskich zastępach, Antychrystowi bić czołem*). On renegat, nie broń go niewiasto, jeżeli sama słusznej karze uledez nie chcesz! Słudzy sprawiedliwości, pełnijcie waszą powinność, śmierć mu!

Siepacze znowu przystąpili do mnie, straszna walka powstała: dziecię słabe i nieudolne w groźną przemieniło się lwicę, piękną dłonią odpychało siepaczy, odpychało Don Ambrosia, gardziło prośbą i gniewem stryjowskim.

Ale siły nieszczęsnej wyczerpały się wreszcie, osłabiona, znękana, upadła do nóg Hidalgo i wołała rozpacznie.

*) Hiszpanie w owym czasie dawali Napoleonowi Antychrysta nazwisko, a nawet wierzyli, że nim jest istotnie; podobnież wszystkich Francuzów uważali za poganów, ludzi bez religii i jakichbądź zasad.

— Stryju, przysięgam ci na zbawienie duszy mojej, na ród Hiszpanki, na matkę moją, jeżeli on zginie i ja zginę. Znasz mnie, wszakże mam twój charakter, twoją silną wolę, twą duszę. Pozwolisz wytoczyć krew jego, ja własną moją wytoczę. Śmierć dwóch niewinnych istot, obciąży wtedy sumienie twoje, Bóg sprawiedliwy pomści nas.

Don Juan, wzdrygnął na te wyrazy, ujął rękę Patra i rzekł mu:

— Ojciec wielbny, posłuchaj mej prośby, jak jest pierwszą, tak będzie ostatnią: znasz moją gorliwość w służeniu krajowi, znasz przywiązanie do naszej świętej wiary, wiesz, że bez wahania się przyjąłem twój projekt, i ułatwiłem zgubę całego oddziału Francuzów; dla pomsty, dla przyniesienia drobnej usługi kościołowi i krainie, wszakże poświęciłem bezpieczeństwo własne, majątek i życie. W nagrodę tego wszystkiego błagam cię, zmiłuj się nad nim, dość już krwi popłynęło, cały oddział zginął, on niechaj ocalonym będzie.

Don Ambrosio przetarł ręką swoje nagie i szerokie czoło, w oku jego błyszczały wyraźnie, żądza krwi z odbłyśkiem reszty uczuć człowieka, litością — Fabianna jęczała:

— Zmiłuj się, zmiłuj, ocal go, niegub mnie!

— To być nie może — wykrzyknął nareszcie po chwili walki wewnętrznej okrutnik: — to być nie może, poprzysięgliśmy śmierć wszystkim Francuzom, i on zginąć musi.

Nagi sztylet błysnął w jego rękę, zbliżył się — a oko jego zatopione w mojem, paliło, piekło mnie niejako. Dreszcz przebiegł po wszystkich żyłach, chciałem wołać o pomoc, o ratunek, nie mogłem — chciałem ocalić się ucieczką — niesposób — nogi moje były niby

przykute do posadzki komnaty. — Ach! widzieć zgon przed sobą, zgon straszny i pewny, i niemódz ocalić się, bronić — to okropne!

Ostrze sztyletu było tuż — tuż przy mojej piersi, czułem prawie jego chłód, jego dotknięcie. Boże zmiłuj się nad moją duszą, szepnąłem w sobie. — Lecz nie zginałem — Don Juan wstrzymał rękę okrutnego Patra i rzekł mu do ucha:

— Pół majątku jaki posiadam, klasztorowi zapiszę, lecz ocal go!

Żrenica Don Ambrosia, chytrą zabłysła radością... Usunął sztylet i Hidalgowi szepnął pospiesznie:

— Czy możesz poprzysiąc ofiarę?

Hidalgo wznosił oczy ku niebu, rękę położył na piersi i wyrzekł uroczyście: Przysięgam!

— Lecz cóż z nim zrobimy? — rzekł wtedy Pater — ocalając go narażamy się sami, zawiadomi swoich o śmierci kolegów.

Te słowa Don Ambrosia, nasunęły mi dopiero wspomnienie o kapitanie i trzech oficerach kompanii: oko moje obiegło wokoło i znalazło ich zimne, krwią zbluzgane trupy, tarzające się na posadzce komnaty, tuż przy stole Inkwizytorów. — Drżałem febrycznie, pomimo tego przecież, odpowiedź Hidalgi nie uszła baczego ucha; mówił:

Znam dobrze skutek trunku, którego czaszę do dna wychylił; przeszło dzień cały uspienie trwać będzie, a przez ten czas łatwo, przeniesić go możemy na drogę do Mocha wiodącą. Choćby go znaleźli towarzysze broni, cóż się od uspiętego dowiedzą? Będziem mieli zawsze dość czasu udać się w góry, z Castannosem się złączyć gdyż tu, na żaden sposób pozostać nie możemy. Alboż Francuzi nie zechcą dowiedzieć się o losie kolegów?

Z resztą ocalenie tego Polaka, może przynieść dla nieszczęśliwej naszej krainy, dla świętej wiary, korzyść niezrównaną: rozniesie postrach między kolegów, zwątpienie, wstrzyma niejednego od urągania kościołom i świętościom naszym.

Don Ambrosio, ostatnim dowodem zdawał się być przekonany zupełnie. — Masz słuszość — odparł Hidalgo; i wzięwszy mały świstek papieru, skreślił na nim kilka wyrazów, i włożył w boczną kieszeń swojego munduru.

Przejsście od rozpaczego wysilenia, od okropnej a bezsilnej walki ze zgonem, do pewności bezpieczeństwa i ocalenia, odurzyło do reszty me zmysły i w dziwne zamieszanie w prowadziło, nie czułem ani słyszałem nie więcej: przypominam sobie tylko nieco radosne wykrzyki Fabianny, przypominam sobie jej pożegnanie, uścisk dłoni, pocałunek złożony na ustach, potem stukot niby jazdy gwałtownej i spiesznej; dalej sen mnie opanovał, sen prawie śmiertelny bez marzeń pamięci i uczucia.

* * *

Gdym się ocknął nareszcie, ujrzałem się w jakiejś nieznaney komnacie, na miękkim łożu, przy którym stało kilku oficerów sztabowych francuskich, i doktor trzymający w ręku flaszeczkę z trzeźwiącym eterem.

— Co to jest, gdzie jestem? — przecierając oczy, wyrzekłem — gdzie kapitan, gdzie moi towarzysze?

Oficerowie domyślne między sobą zmienili spojrzenia, a doktor wyrzekł:

— Wstrzymaj się Pan na godzinę lub dwie od wszelkich pytań, bo najmniejsze wzruszenie, łącno może ci zaszkodzić.

Okropny sen, który starałem się choć w części określić, nasunął się wtedy mojej pamięci. — Mundur, gdzie mój mundur — wołałem:

Podano go — szybko sięgnąłem do bocznej kieszeni; istotnie była w niej kartka w trąbkę zwinięta, a na niej wyrazy, nieznaną mi ręką skreślone.

„*Vivat Polonus unus Defensor Mariae!*“

— A więc to prawda, straszna okropna prawda! krzyknąłem. Oni wszyscy zginęli, cała kompania, ja tylko jeden pozostałem!

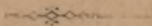
Gwałtowne wzruszenie, jak to słusznie lekarz przewidział, istotnie szkodliwe mi było; zemdlałem, i kilka dni bez przytomności ciężką gorączką trawiony musiałem w lazarecie pozostać.

Przyszedłszy nieco do zdrowia, poznałem dopiero pewniej szczegóły całego zdarzenia.

Patrol według zwyczaju z głównej kwatery wysłany, znalazł mnie bez sił leżącego o milę drogi Macho na trakcie do Salto di Labos. Oficer nim dowodzący, zadziwiony bytnością moją w tem miejscu, zawiadomił natychmiast dowódcę pułku, mającego leże w wiosce pobliskiej, mnie odesłano do głównej kwatery Marszałka, a zarządzono śledztwo. Wynik jego był straszny i smutny — wszyscy mieszkańcy wioski na wiadomość o zbliżaniu się Francuzów, uszli w góry, ślad przecie ich okrutnego czynu pozostał, a to zwłoki okropnie pokaleczone, rozdarte, wszystkich oficerów i żołnierzy kompanii. — Żaden z nich, wyjąwszy mnie jednego śmiereci nie uszedł.

Czy sen, który opowiadałem przed chwilą, we wszystkich szczegółach był prawdziwy? — zapewnić nie

moę; — początek jego bez wątpienia, musiał być tylko odbiciem sennem dziełka które niedawno czytałem; lecz reszta — szlachetna obrona Fabianny, dlaczegóż istotnie niemogła mieć miejsca? — Przekonałem się o tem później — lecz to już inne zdarzenie, — które później opowiem.



ZDOBYCIE TARRAGONY

r. 1811.

Było to dnia 20 czerwca 1811 roku — daty niezapomnącej nigdy — wieczorem, otoczony oficerami pułku, którym dowodziłem, spoczywałem w małym domku wioski Xantejo, o pół mili od Tarragony odległej. Koledzy moi w dobrych byli humorach, szczęście im bowiem sprzyjało; od dwóch miesięcy oblężenia Tarragony, pomimo krwawych i bezustannych walk, trzech tylko poległo, a prawie wszyscy od generała Sucheta publiczne zyskali pochwały, kilku nawet do legii podanych zostało. Rozmowa nasza skakała z przedmiotu na przedmiot, naturalnie zajmując się najwięcej teraźniejszą wyprawą.

— Jutro lub pojutrze będziemy w fortecy — wyrzekł major pułku, Francuz nadsekwański, żwawy i ruchliwy człowiek; — mój stryj generał zapewniał mnie o tem dziś rano; Hiszpanie stracili wreszcie nadzieję angielskiej pomocy, głód też im dokucza, niezawodnie poddadzą się.

— Tak, i mnie się zdaje też samo — rzekł podpułkownik — żywności nie a nie nie mają. Jeńcy, których przed trzema dniami pojmałiśmy, jednomyślnie o tem mówili, zresztą, dość było spojrzeć na ich blade, wynędznione twarze, aby się o prawdzie przekonać; rad jestem że już się oblężenie skończy; kosztuje ono, jeśli nie nasz pułk, to armię niemało.

— Tarragona piękne i zamożne miasto — wtracił z oficerów inny — wynagrodzi nasze trudy, odpoczniemy w niem zapewne czas jakiś.

— A kobiety jakie piękne — śmiejąc się major wykrzyknął — wszakże znacie tutejsze przysłowia: „Trzy cuda znajdziesz w Hiszpanii, Alhambrę Grenadzką, Prado Madryckie i Tarragońskie kobiety“...

— Ależ sztylety, majorze, sztylety w zanadrzu i u podwiązek, to strach — rzekł podpułkownik — katalońskie kobiety zręcznie niemi władają; uścisk krwią zapłacić nie bardzo przyjemnie.

— Lecz któż im zostawi sztylety, kolego? czy nie wiesz, że mieszkańców zdobytego miasta rozbrajać się zwykło? Generał Souchet zapewne nie zapomni o tem, choćby też dla bezpieczeństwa własnego.

Żarcik majora pobudził nas do śmiechu, sypnęło się tysiące dowcipków i uwag, gdy drzwi otworzyły się, i wszedł mój brat młodszy, adjutant generała Hugo, do którego brygady mój pułk należał.

— Cóż nowego? kiedyż w Tarragonie będziemy? — wykrzyknęli chórem przytomni.

— Nie wiem — odparł lakonicznie zagadniony, podając mi rozkaz dowódcy; przeczytałem go pospiesznie. Generał Souchet zawiadamiał, że gdy układy z powstańcami hiszpańskimi zerwane zostały, gdy owszem wieść go doszła, że junta miejscowa kilkudziesięciu jeńców naszych, wbrew wszystkim prawom wojennym, rozstrzelać kazała, cała armia do szturm generalnego uderzy; mój pułk szczególnie miał być gotowym, gdyż jeden z pierwszych do walki był przeznaczony. Przy końcu rozkazu Souchet własnoręcznie następne wyraził dopisał:

„Nadewszystko żadnej litości dla zuchwalców. Każdy z bronią w rękę ujęty, ma być rozstrzelanym;

„podobnej karze ulegają wszyscy, znajdujący się
„w domu, który jakibądź opór stawiać będzie;
„przykładu potrzeba, pół środki nie zdadzą się na
„nie, ni wiek, ni pleć, ni stan, niechaj zasłona nie
„będą. Nadto dla zachęty żołnierzy i ukarania mie-
„szkańców, zdobyte miasto wyjmuję się z pod
„opieki prawa, cały dzień pozwalam w nim ra-
„bunku. Rozkaz ten, przez pułkowników, ma być
„całej armii ogłoszonym“.

Jakkolwiek zapowiedziane środki nie trafiały do
mego przekonania, i z charakterem nie zgadzały się, isé
przecie wbrew nakazowi dowódcy nie mogłem, wolę jego
ogłosiłem przytomnym. Przyjęli ją z radością i zwykłym
okrzykiem: *Vive Napoleon!* — Kilkonastoletnia wojna
bowiem, stępiła w ich sercach wszystkie uczucia ludzko-
ści, nadto walka na półwyspie, tyle była wszystkim
przykra, tyle dotykała nietylko ogół, lecz i indywiduala,
Hiszpanie — jak to wie każdy z historii — wiedli ją
z tak bezprzykładną zaciętością, pogardą wszelkich przy-
jętych praw i okrucieństwem, że nawet najlitościwшему,
najszlachetniejszemu, srogość generała, tylko słuszną po-
mstą doznanych krzywd się zdawała.

A więc panowie, znacie waszą powinność wyrze-
kłem do oficerów: — ogłóście żołnierzom rozkaz, za-
chęćcie do boju, opatrzcie broń i ładunki, a jutro skoro
świt, niech wszystko będzie gotowe; spodziewać się bo-
wiem należy że głównodowodzący, nie cofnie się w sło-
wie, a nie chcę, by mój pułk, w tak stanowczym razie,
na jego wyrzuty zasłużył.

Koledzy rozeszli się z pośpiechem, znałem ich
waleczność, męstwu ufałem, a więc spokojny byłem
o wypadek walki jutrzejszej, owszem rad z niej by-
łem: dwudziestoośmioletniego, pełnego pięknych marzeń

laurów, zaszczytów i chwały miałab ona straszyć? A jeżeli rozsądek, podszeptał co o kuli, o ranie, o śmierci; były to bagatele które mi myśl nie chciała się ni chwili zajmować. Gwiazda szczęścia, czemuż jak Napoleonowi tak i jego podkomendnym pięknie błyszczeć nie miała? Jemu przyniosła tron, czyż mnie dać nie mogła szlif generalskich, wysokiego tytułu, a może marszałkowskiej buławy? — Szalone były to marzenia, uśmiecham się dzisiaj sam, gdy je myśl na pamięć przywodzi, ale wówczas, ach te marzenia, tak podobne do prawdy, tak blizkie nawet pełnemu życia, łakomemu chwały młodzieńcowi były.

Zajawszy się wydaniem drobniejszych poleceń i urządzeniem pułku do jutrzejszej walki, zapomniałem całkiem o bytności brata w mej kwaterze, dopiero w półgodziny później, gdy już ułatwiłem co ważniejsze czynności, zwróciłem na niego uwagę; był blady, widocznie cierpiący zmarszczki na czole, w oku jakiś smutek niezwykły.

— Dla Boga Leonie, co ci jest, jesteś słaby, tak źle wyglądasz?

— Nie, nie mi, zdrów jestem zupełnie.

— Lecz to niesposób, cóż ci jest, widocznie cierpisz?

— To nie, to przejdzie.

— Zmiłujże się, w wilią szturm, ty zawsze ochoczy, otrząśże się, pojutrze możesz chorować.

— Pojutrze, — jęknął cicho i wzdrygnął się cały, — pojutrze kto wie, czy ja żyć będę!

Co znowu, co mówisz, — odparłem zdziwiony: — dalipan, nie pojmuję cię wcale.

Uniósł się z sof, oparł na przyległym stole i mówił:

— Tak, masz słuszność, ja nie ten, co zawsze, co wczoraj jeszcze, sam nie pojmuję, nierozumiem siebie, tęskno mi, smutno mi, i — tu wzdrygnął się silnie i czoło przetarł ręką — i ja, boję się.

— Boisz się? ty Leonie!

— Tak, boję się — mówił dalej posępnym lecz gwałtowną walkę uczuć znamionującym głosem — bo jestem pewny, przekonany, jutrzejszy szturm, śmierć mi przyniesie.

— Nie wiedziałem, co odrzec, wyznam nawet, pusty śmiech mnie napadł, słyszeć podobne wyznanie z ust dwudziestoletniego młodziana, który w ciągu trzechletniej służby, w kilkunastu bitwach odznaczył się zaszczytnie, względy dowódców pozyskał, którego pierś zdobiła gwiazda honorowej legii a ramiona szlify kapitana. Czyż to nie było istotnie rzeczą nadzwyczajną i dziwną?

— O nie śmieję się, nie śmieję — wyrzekł mi głosem ponurym: — nie wiesz, co się ze mną dzieje, przecucie rzadko myli, a ja mam pewność prawie. Czy przypominasz sobie ostatnie słowa matki, gdym się do wojska pomimo jej odrad i łez oddalał. Jest temu półtrzecia roku. Pamiętasz, co mi mówiła? Nie chodź, bo nie ujrzysz mnie więcej, umrę daleko od ciebie: niechodź, bo zginięsz; — ona umarła i ja zginąć muszę...

Chęć śmiechu odeszła mnie na to wspomnienie. Odparłem jednakże:

— Wyrzuć z serca dziwaczną obawę. Bóg dobry, przez trzy lata wojny chronił cię, wszakże pomimo tylu walk, w których udział wzięłeś, nawet ranionym nie byłeś, czemuż jutra masz się lękać? Jest to, wierzaj mi, przestroch dziecinny, sam mu ulegałem kiedyś, rozstrojenie naszych władz duszy, tęsknota dziwna i straszna, najdzielniejszych niekiedy napadająca żołnierzy; lecz to przejdzie, i jak śmiałem się przed chwilą, tak ty jutro śmiać się będziesz sam z siebie, gdy wieczorem zejdzien się w jakim pałacu lub klasztorze zdobytej Tarragony...

— Tak, to być może, Bóg by dał, odparł, jednak

mnie tak duszno w piersi, tak smutno, jak nigdy, jak wówczas może, owego dnia, gdy ona, kochana matka, daleko, kilkaset mil od nas, Bogu oddawała ducha!

Oko walecznego młodzieńca zrosiła łza, potem błysnęło ono dziwnie przenikliwie, że prawie zdrząłem, gdy się skierował ku mnie, gdy powstawszy, ujął mą rękę i mówił:

— Czy uwierzysz Stanisławie, jam ją widział, dziś, niedawno temu widziałem!

— Kogo, dla Boga, Leonie?

— Ja, naszą matkę, lecz zmiłuj się, nie drwij, nie śmiej się ze mnie, opowiem ci rzecz całą. Wczoraj, jak wiesz, było wieczorem zgromadzenie u generała, ty oddaliłeś się wcześniej, lecz ja z innymi oficerami zostałem. Graliśmy w karty do rana, nieszczęśliwiliśmy burgunda, byłem więc utrudzony i gniewiony snem. W południe dopiero mogłem mu się oddać, bo całe rano strawiłem na służbie. Otóż zaledwie usnąłem, zobaczyłem ją. Była piękna, jak zawsze, jak zawsze miła, przycisnęła mnie do piersi. Wierzaj, wyraźnie czułem ten uścisk. Potem jej łza skropiła me czoło, — mówiła coś, lecz co? nie pomnę, ostatnie tylko wyrazy, utkwiły mi w pamięci, rzekła: „Bądź zdrow, zobaczymy się jutro, jutro;“ i znikła! — A w tej chwili nadbiegł ordynans i zbudził mnie abym się stawił do generała. Właśnie powrócił z głównej kwatery, doniósł o zerwaniu układów z Hiszpanami, o mordzie naszych jeńców w Tarragonie, i o szturmie jutrzejszym. Ach! Niepróżny był to sen, niedaremnne widziadło, naznaczyła mi ostatnią życia godzinę, przyjdzie ona, czuję, wiem to niezawodnie! A przecież, och, to boleśnie, przykro żegnać się ze swoim bytem ziemskim, umrzeć tak młodo! — Oparł znów blade czoło na stole, i jęczał głucho, boleśnie.

Cóż miałem czynić? tak zdawał się być przejęty, przerażony czezem zapewne marzydłem, tyle bolał, że pojąłem, iż napróżno będę z nim walczył zimnemi słowami rozsądku, rzekłem więc:

— Lecz cóż cię skłania do wzięcia udziału w walce jutrzejszej? Jesteś słaby, to będzie dostateczną wymówką; żadne przypuszczenie ubliżające honorowi twemu nikomu na myśl nie przyjdzie, i generał i wszyscy koledzy znają twe męztwo, wszakżeś go w tylu okazyach chlubnie pokazał, będą wierzyć, że nie dla braku jego uchylasz się od szturmów. Radzę ci szczerze, pozostań w obozie, za chorego podaj się, tyle innych czeka nas bitew, że opuszczenie jednej, małą stratą winno być dla ciebie.

Młodzian szybko łzę otarł, dumnie głowę podniósł i mówił:

— Tyż to Stanisławie taką dajesz mi radę, ty brat mój starszy, mój przewodnik i opiekun? Nie, to być nie powinno, oszukam być może mniemaną słabością generała i kolegów, ależ siebie, własne sumienie i honor, czyliż oszukam? Nie, powtarzam ci, to być nie może, los mój padł, pójść do walki muszę, zginę, wiem to, lecz zginę z nieskalanem imieniem, z odwagą jak na Polaka, jak na twój brata przystoi.

Uściskałem dłonie szlachetnego młodzieńca nie śmiejąc żadnych uwag więcej czynić. Ujął on nawzajem mą rękę i smutnym, przenikliwym głosem tak mówił:

— Jedną przecież prośbę zaniosę do ciebie Stanisławie, nie odrzucaj jej, pozwól, niech ja jutro walczyć przy tobie. Generał gdy się za mną wstawisz, uwolni mnie niezawodnie na ten jeden dzień od obowiązków adjutanta, kto inny chętnie moje miejsce zajmie, lecz ja koniecznie pragnę, chcę być przy tobie, to mi będzie pociechą, doda sił i odwagi, inaczej nie ufam sobie.

Z radością przystałem na ten projekt brata, i tego samego jeszcze wieczora, odwiedziłem generała. Dobry i waleczny starzec, chętnie przychylił się do mego żądania, lubo żał mu było, jak mówił, pozbawiać się oficera, na którego pilność i gorliwość w służbie wiele rachował, zwłaszcza w dniu tak ważnym, jak nim miał być jutrzejszy.

W tym dniu, skoro świt, cały pułk stanął gotowy do walki: serce moje pałało radością, którą każdy pojmie, kto był, lub wyobrazi się na mojem miejscu; dowodzić dwutysięcznym orszakiem wojowników, przewodniczyć ludziom, których ramiona silne, oręż doświadczony, męztwo nieposzlakowane; to zaszczyt i rozkosz zarazem. Ach, w owej chwili pojmowałem Napoleona, nie dziwiłem się owej dumnie, pragnącej świat cały pod swe władanie zagarnąć, owej nienasyconej chęci nowych coraz podbojów i wojen; jam tylko drobną garstką, dwoma tysiącami takich rycerzy dowodził, jakich on krocie miał na swoje rozkazy, a przecież ile nadziei, ile marzeń przebiegło po mej głowie! — Wszysey oficerowie tym samym zapalem przejęci być się zdawali, co ja, każdy z niecierpliwością czekał hasła bitwy, każdy łakomie wzrok swój pograżał w najeżone działami Tarragony okopy, jakby tam było jego życie i szczęście. Niebezpieczeństwo nie zrażało nikogo: stopnie, dostojenstwa a co nadewszystko, ozdoba legii honorowej, były wśród murów nieprzyjacielskiego miasta. Trzeba znać Napoleona wojowników, aby zrozumieć, jak należy, co za powab miała dla nich gwiazdka ośmiokańczasta na kawałku czerwonej zawieszona wstążeczki; dla niej niejednen śmiało uderzał w nieprzeliczone wrogów zastępy, łamał je lub ginał, lecz ginał bez skargi bez utyskiwania!

Artylerya rozpoczęła grę swoją — odpowiedziały

jej armaty fortecy; my staliśmy jeszcze na miejscu, dalszych czekając rozkazów, gdy na spienionym rumaku, swiątą swoją otoczony, przybiegł przed front pułku, głównodowodzący armią, generał Souchet, bacznie okiem zmierzył linie nasze, wyraźne zadowolenie poznać było w nim można, zwrócił się ku mnie i wyrzekł:

— Brawo pułkowniku, pospiesznie, czysto i dzielnie, to lubię, ufam że nie ostatni będziesz na Tarragony okopach. Czas tych przeklętych Hiszpanów rozumu nauczyć. Czytałeś mój rozkaz, wiernie zastosuj się do niego.

Odjechał po tych słowach na kilkanaście kroków, wstrzymał się przecie, lunetę skierował na okrag, coś z cicha do otaczających oficerów poszepnął, powrócił przed front mego pułku i mówił:

— O ważnej przepomniałem rzeczy. Jeden tylko pułk naznaczyłem do obrony obozu. To zamało, Gerillasy, włóczący się po okolicach, mogliby z zaniedbania skorzystać; wreszcie na ostrożności nikt nigdy nie traci, większą załogę wypadu zostawić, cały pułk nawet z waszej brygady być tam musi; wybieraj zatem Panie S* chcesz pójść do szturm, lub pozostać?

— Machinalnie spojrzałem po żołnierzach i oficerach moich batalionów, w każdym oku chęć boju, zapal rycerski; już chciałem wyrzec prośbę, o atak, gdy wzrok mój upadł na brata. Stał on o kilka kroków odemnie na koniu, mógł był zatem posłyszeć generała wyrazy. Jakaś niespokojność, obawa, trwożna niepewność, w bładem jego przebijały oku, spojrzenie które mnie rzucił, było tak błagające, osłabienie ducha tak widoczne, że chęć walki odeszła, dzikie przeczucie i w mojem sercu się odezwało, niby głos jakiś tajemniczy wołał do ducha, do duszy: — Nie chodź, zabijesz go, zamordujesz! — i przyjąłem pozostanie.

— Zawsze miej się pan na baczności — wyrzekł wtedy generał! — być może, że twej pomocy w ciągu dnia potrzebować będę. Wydał jeszcze kilka rozkazów do okoliczności stosownych, wspiał ostrogą rumaka i odbiegł, aby dać hasło do boju.

Oficerowie posłyszawszy niespodziewany rozkaz pozostania na miejscu, szemrać z niezadowolenia zaczęli, toż samo żołnierze! — chodźmy, chodźmy, to żarty! — kilka głosów wśród szeregów zabrzmiało, mój brat zbliżył się do mnie.

— Stanisławie — rzekł — nie chciałeś pójść do szturm.

— Na ten jeden raz, mój bracie, i bez nas miasto zdobędą.

Głos mój był smętny, ofiara widocznie bolesną. Poznał to młodzian, wzdrygnął się, uściśnął mą rękę i wyrzekł:

— Pojmuję cię, lecz zmiłuj się, nie dawaj na mnie baczności, wszystko, co wczoraj mówiłem, to żart, przywidzenie tylko. Proś generała, jeszcze czas, chętnie rozkaz zmienię.

Spojrzałem na młodziana, wyrazy jego nie były w zgodzie ni z dźwiękiem głosu, ni z wyrazem lic. Odparłem więc:

— Nie, znasz mnie, postanowienia nigdy nie zmieniam; czyż to ostatnia nasza bitwa, czyż tylko pod murami Tarragony sława się nam uśmiecha?

W tej chwili z szeregów pułku, wystąpił stary wiarus grenadyer; twarz jego w różnych kierunkach nakieroszowana szramami, śniada od słońca Włoch, Egiptu i Hiszpanii; Położył na bermiecy rękę i mówił:

Panie pułkowniku, cała armia spieszy do szturm, czyż my tylko sami pozostaniemy bezczynni? To by źle

było, czterdziesty pułk nigdy nie został w odwodzie, nie pilnował bagażów; co o nas powiedzą koledzy, co cesarz! Dalipan pułkownika, daj hasło, a my, jak zawsze, pójdziem za tobą, i tego hiszpańskiego gniazda pierwsi dostaniem.

Krew uderzyła do mych lic, przemowa starego żołnierza duszą i sercem wstrząsnęła. Pozostać bezczynnym, pilnować bagaży, kiedy bitwa wrzała, istotną było hańbą dla Napoleona żołnierzy. Odpowiedziałem jednakże:

— Główno dowodzący taki dał rozkaz, wypełnić go winienem. Znasz subordynacya, nie może być inaczej.

— Ej co tam subordynacya: Gdy wedrzem się na wały, fortecę zdobędziem, o nieposłuszeństwie wszyscy zapomną. Owszem, cesarz pochwali, krzyż jeden i drugi przyśle, w rozkazie dziennym umieści. Dalipan, panie pułkownika, posłuchaj mej rady!

Armaty silniej zahuczały w tej chwili, dano hasło do boju, kilka pułków rzuciło się do szturm, rumak mój rżał, rył ziemię kopytem, niby niecierpliwie oczekując walki.

— Chodźmy, chodźmy, wyprzedzą nas — szeptał wiarus.

Wahałem się co czynić. Oficerowie okrążyli mnie wiankiem, każdy z nich prosił, błagał, dawne przypominał walki: była to okropna dla mnie chwila, cierpienia, rozpaczy: brat pojął wyraźnie, co się w głębi mojej piersi działo, bo za rękę uchwycił i ponuro szepnął:

— Stanisławie, gdy ich nie posłuchasz, nie zechcesz pójść, to ja sam pójdę — zawrócił konia ku stronie Tarragony gotów uskutecznić co wyrzekł:

— Stój, stój — zawołałem wtedy gwałtownie, walka uczuć bowiem, miotających mą duszą rozstrzygniętą była w tej chwili: — Jesteś pod moim dowództwem, pełnić

zatem me rozkazy winienesz. Panowie zaś — dodałem zwracając się do oficerów, i żołnierza, — na swe miejsca wszyscy, znacie służbę, pełnić rozkazy, jakie one są bez szemrania winniście.

Ze zwieszonemi głowami, smutnie rozeszli się wszyscy, na swe stanowiska, ja kilka chwil jeszcze pozostałem na miejscu; w piersi mej było duszno, serce krwawiło się, w oku łza polysnęła: ach, po raz to pierwszy w życiu bezczynnym widzem musiałem być walki, po raz pierwszy, i z własnej woli!

Cały dzień prawie trwała uporczywa walka, znaną ona zapewne wam z dziejów. Kilkakrotnie pułki francuskie odparli Hiszpanie, kilkakrotnie zwątpienie i bezład armią wstrząsnęły; lecz Souchet dowodził, waleczny między walecznymi*) prędko do ładu przywodził szeregi: gwiazda Napoleona nie zgasnęła jeszcze, i Tarragona zdobytą została.

Zdobyte przecież były tylko mury fortecy, jej okopy i szanice. W mieście wrzała walka zacięta, każdy dom w cytadelę się zmienił, każdy mieszkaniec broń ujął: walki tej nie mogliśmy dojrzeć, lecz skutki były dla nas widoczne, co chwilę bowiem przybywały do obozu znaczne rannych orszaki, a około trzeciej z południa nadbiegł adjutant generała z rozkazem, abym pułkiem moim zastąpił znużonych i dodał:

— Dosyć wam jeszcze do czynienia zostało panowie. Cała jedna strona miasta, część jego przymorska, broni się zacięcie, lecz to już tylko igraszka przy walec, którą dzień cały musieliśmy toczyć. Co najwaleczniejsi z naszych żołnierzy polegli, Hiszpanów zaś tyle, że jak

*) Tak zwał Napoleon generała Soucheta, później marszałka państwa i księcia d'Albufera. Marszałkiem mianowany został w 1811 roku.

wkrótce ujrzycie, ich trupami nietylko okopy fortecy, lecz całe miasto pokryte. Lat dziesięć służy w wojsku, kilka kampanii odbyłem, lecz podobnej rzezi nie widziałem nigdy.

Istotnie straszny to był widok, jaki przed oczyma mieliśmy, przebiegając ulice Tarragony. Na lewo i prawo, gdzieś tylko okiem zasięgnął, wszędzie rudera, zniszczenie. Z rozpaczliwym mężstwem bronili się Hiszpanie; żądzą zwycięstwa i chęcią pomsty ległych towarzyszy wiedzeni, walezyli Francuzi; ni jeden dom prywatny, świątynia lub gmach publiczny, ocalonym nie został w wojennej pożodze; mury były rozerwane od kul karabinowych i armatnich, dachy zerwane, okna rozłuczone, a gdyś spojrział przez które, to w wnętrzu budowli dojrzałeś niezawodnie stos trupów, okropne krwawej wojny ślady, zniszczenie barbarzyńskie okrutne: jęk, przekleństwa lub ponure konających wykrzyki, rozlegały się wokoło. Lecz któż na nie zważał? Kto z pomocą cierpiącym pospieszył? Tłumy maruderów francuzkich, całe kompanie nawet, zawładnęły zdobytą częścią miasta, rabowały ją do ostatka, niszczyły. Nieraz trzeba się było z bronią w rękę przez te niesforne tłumy przedzierać; nieraz stapaliśmy po stosach poległych, co więcej, deptaliśmy bez litości rannych pasujących się ze zgonem, kierując pochód nasz ku tej stronie, skąd dobiegające wystrzały armatnie i karabinowe, szczełk oręża, straszliwe walczących wykrzyki, zwiastowały, że tam jeszcze w całej okropności wrzała bitwa, los jej jeszcze zdecydowany nie był.

Brat mój był przy mnie. Świeży ślad boju, huk armat, dym prochu, otrzeźwiły go całkiem. W oku błyszczała chęć walki, lica płomieniły rzeźwym rumieńcem; był to znów żołnierz, jak dawniej, żołnierz dzielny, waleczny, dla którego niebezpieczeństwo bodźcem do rycer-

skich czynów, wojna żywiołem; błyszczał naga szablą i wołał:

— Zaiste bracie, prawdę mówiłeś, że to próżne mary, czezy przestрах wczorajsze i dzisiejsze przeczucie. Istotnie wstydzicie się muszę, wstydzicie tem więcej, że nie tylko ja sam lecz i ty przezemnie straciłeś piękną porę odznaczenia się, zyskania pochwał naczelników i cesarza. Ależ nie wszystko jeszcze stracone, jeszcze i dla nas robota znajdzie się, miarkuję to po gęstych, tam rozlegających się wystrzałach. Dalej żwawo naprzód, każ spieszyć się bracie!

Na głównym rynku Tarragony, wśród ruin domów, wśród trupów i rannych, na dzielnym swoim rumaku stał generał Souchet, w jego rękę szablą błyszczała, a że nie tylko dla ozdoby służyła, pokazywały to świeże ślady krwi i szecerby na niej. Skoro ujrzał nadbiegający pułk mój, zbliżył się przed front i żwawo, jak to miał w zwyczaj, przemówił:

— Bywajże pułkowniku, w sam czas przybyłeś. Świeży twój lud dopomoże nam wielce. Z tymi przekłętymi Hiszpanami przyjsć do końca trudno. Rozdziel pułk na trzy części, każdy batalion niech inną weźmie ulicę, artylerya was wesprze: resztę miasta zdobędziesz.

Rozkaz głównie dowodzącego w jednej chwili uskuteczniłem, a krótką przemową zachęciwszy żołnierzy do boju, pospieszyłem do szturmu.

Cała ulica, którą wypadło nam zdobyć, zapełniona była zbrojnym ludem, łącno pomiędzy nim nawet, dojrzałe kobiety lub dziecię, przewodniczyli zaś księża, w jednej rękę dzierząc krzyż, w drugiej szablę lub broń palną. Dachy pokryte były walezącymi, z okien domów błyszczały ich rusznice, ich ogorzałe, zbluzgane krwią twarze, ich oczy, w których jasno dziką rozpacz i zemstę

czytałeś. Toczącym bój na ulicy, za barykady służyły, potrzaskane meble, sprzęty domowe, stopy kamieni i cegieł a niekiedy trupy poległych towarzyszy. Nasze armaty w krzyż rozstawione, bez ustanku dawały ognia, nie mogły przecież rozproszyć, ani zastraszyć powstańców, zwłaszcza że ulica zygzakująca się w różnych kierunkach, strzały na małą tylko odległość skutecznymi czyniła. Francuzi tu walezący, niezwykłą obroną zrażeni, kilkunastogodzinnym osłabieni bojem, widocznie upadli na duchu, ich ataki były słabe i mało decydujące, ja sam nawet wahałem się puścić naprzód, spotkać się twarzą w twarz z groźnym rozpaczą wrogiem, i już miałem dać rozkaz kolejnego szturmów domów, gdy mój brat wykrzyknął:

— Tym sposobem końca nigdy nie będzie, a przynajmniej Bóg wie kiedy, moim zdaniem, karabiny do ręki i śmiało na bagnety, uprzątnąwszy z czerni ulicę, domy same zdać się muszą na łaskę.

Rada choć niebezpieczna i zbyt zuchwała, dobrą była jednakże; zeskoczyłem z konia, ująłem karabin jednego z żołnierzy i krzyknąłem:

— Hej bracia! któryż za mną pójdzie! Hiszpanom oko w oko spojrz. Kto chce zwyciężyć lub zginąć?

Żołnierze wahali się widocznie co czynić, poglądali to po sobie, to w tłumy Hiszpanów zapełniające wnętrze ulicy, aż stary wiarus egipski śmiało naprzód wystąpił i wyrzekł:

— Dalipan, kiedy niema innego sposobu, to naprzód, bagnetem zdobywało się przecież, ważniejsze od tej fortece: *allons!*

— *Allons!* — jednozgodnie cały batalion wykrzyknął, huk rozległ się jednego i jedynego wystrzału, bagnety na karabinach błysnęły, poskoczyliśmy w tłumy Hiszpanów.

Kwadrans przeszło trwała nasza walka. Nie znam więcej nad nią morderczej; zewsząd, z boków, z góry i przed nami bój śmierci, z szczytu dachów zrzucono masy gruzu, kamieni i cegieł, tysiące strzałów świszczalo oknami i drzwiami domów; napastowani na ulicy powstańcy bronili się zacięcie. Była to okropna wrzawa, huk, chaos. My postępowaliśmy, waleczyliśmy prawie na oślep, bo gęsty tuman prochu i kurzu wązką ulicę zapełnił, a co chwila nowa zawada, to stosy kamieni, sprzętów domowych, powozów i belek, to świeży zastęp Hiszpanów. Cofać się przecież sposobu nie było: chociaż więc co chwila który z żołnierzy poległ, inny ciężko raniony potoczył się na zbluzganą krwią ziemię, szliśmy ciągle naprzód. Mnie kule świszczaly nad głową, nieraz krew opryskała obok poległego, nieraz zaczepiło żelce Hiszpana, i cudem prawie stało się, że raniony nie byłem; toż samo waleczny mój brat, przykładem i słowem zachęcał żołnierzy, pierwszy dał się w nieprzyjaciół szeregi, pierwszy niósł im śmierć i zniszczenie. Wątpię przecież czybyśmy zwyczajko z nierównej zdołali wyjść walki, gdyby w trop nasz zachęcenie przykładem nie pobiegli Francuzi, oddział artylerji nawet, z sześciu czy ośmiu dział złożony, pospieszył oczyszczoną ulicą; strzały jej powiększały okropność bitwy, dalej rumot padających domów, łamanych bram, jęki ranionych, tełnące rozpaczą i zemstą wykrzyki Hiszpanów. Batalion mój do połowy zmniejszył się, wszyscy oficerowie polegli lub ciężko ranieni zwrócili się nazad, ja tylko z bratem pozostałem, a przed nami występując swojemi murami w ulicę dumnie wznosił się jakiś klasztor. Obwarowany on był jak żaden inny w mieście, prócz tego w załamkach filarów, w oknach, tysiące powstańców. Krzyżowały się ich strzały

okropne, brzmiały wykrzyki, najdzielniejsi z żołnierzy wstrzymali się w pochodzie.

— Kto wie, czy nie lepiej będzie cofnąć się lub odpocząć nieco — wykrzyknąłem do brata.

— A to czemu? mnie się zdaje, że już nam mało zostaje, ten klasztor narażonym być musi, wyraźnie czuję dowiewające chłodne morskie powietrze.

— Tak, ma pan kapitan słuszność — wyrzekł jeden z żołnierzy obok stojących — znam Tarragonę, stałem w niej kwaterą przed trzema laty, ta ulica wiedzie do portu, za klasztorem jej koniec, dwa tylko czy trzy domy zostają i pałac jakiegoś hrabiego.

— A więc naprzód — brzęknawszy karabinem, donośnym zawołałem głosem: — jeszcze chwila walki i wszystko będzie skończone, zwycięstwo z naszej strony. Naprzód bracie!

Morderczy bój znowu się zaczął, moi żołnierze z rozpaczem wysileniem rzucili się do niego; nagły atak pomieszał i o strach wrogów przyprawił, rzadko który chciał choćby na chwilę jaki opór stawiać, sta ich ginęło w ucieczce. Wąską ulicą w całym znaczeniu tego wyrazu, po stosach trupów, stapać musieliśmy. Za klasztorem jak żołnierz wyrzekł, istotnie kończyła się ulica, dalej był obszerny plac i port, tłumy to ku niemu, to w różne rozbiegały się strony.

Mój brat wykrzyknął radośnie:

— Otóż koniec już boju, Tarragona w naszym ręku, ulica którą zdobyliśmy, najważniejszą nieomylnie w tej stronie miasta. Odpocznijmy nieco, artylerya i Francuzi dokończą reszty, domy zdobędą.

Staliśmy wówczas na obszernym placu portowym, przed nami okiem niezmierzone morze, obok, dopiero co z takim trudem przebyta ulica a szczególnie dwa domy

przy klasztorze i obszerny pałac. Jakiś czas spokojnie. głucho w nim było, lecz nagle w oknach zaczęły pokazywać się dzikie twarze Hiszpanów, jedna i druga rusznica zabłysła.

— Ba! — wyrzekł śmiejąc się mój brat — nie-bardzo tu spokojni będziemy, Hiszpanie szukają zaczepki, gradem kul, ręczę, powitają nas w krótee.

— Trzeba ich uprzedzić — odparłem, i już chcia-łem dać znak do szturm i zajęcia pałacu, gdy mnie wstrzymał i mówił:

— Daj pokój, i tak już dosyć krwi było, pobró- bujemy łagodności, może się dobrowolnie poddadzą.

— Lecz któż pójdzie do nich, zaniesie propozycye, jak im zaufać?

— Ja pójdę — rzekł — uniem nieco po hiszpań- sku, zresztą na życie parlamentarza godzić nie będą. — Wydobył białą chustkę z kieszeni, przywiązał ją do krwią zbroczonego bagnetu, i tak wystąpił z szeregu.

— Dla Boga — wyrzekłem — zatrzymaj się, czyż ty koniecznie iść musisz, zastąpi cię sierżant, lub który z żołnierzy.

— Dlaczegoż niepotrzebnie ich trudzić — zawołał i nim zdołałem wstrzymać go, już był pod bramą pałacu.

Jedno z okien pierwszego piętra głucho zabrzękło otwarte, dwie twarze pokazały się w niem, twarze dzi- kie, groźne, czysto hiszpańskie: jedna osłonią była ro- gatym oficerskim kapeluszem, druga burym mniszym ka- pturem. Dreszcz mnie przejął, gdym poglądał na nie, bo było w nich coś tak przykrego, odrażającego, szatań- skiego istotnie, a znałem je, przypomniałem sobie, lecz gdzie, jak i kiedy, tego pamięcią nie mogłem zasięgnąć. Były one jak owe senne mary straszne i przykre, których

pojąć niezdołasz a przecież w ich byt wierzysz o rzeczywistości niewątpisz.

— Poddajcie się! — wołał im młodzian — całe miasto zdobyte, wasz opór na chwilę, tylko morderczy bój może przedłużyć. Poddajcie się! jeżeli dbacie o własne życie, o los waszych krewnych i ziomków.

Szyderycy uśmiech jednomyślnie przebiegł ponure lica obu Hiszpanów; mnich wyrzekł:

— A gdy się poddamy, co nas czeka młody rycerzu?

— Od śmierci uwolnieni będziecie, to zapewnić mogę, pułkownik weźmie was pod swoją opiekę.

— Nie ujdzie nas przecie niewola, sromota, więzienie, jeżeli twój dowódca wiernie słowa dotrzyma, śmierci naszej nie zapragnie. Nie, nie, raczej zginąć; idź do swoich, my się bronić będziemy.

— Lecz reszta mieszkańców pałacu co myśli, czyż wy za wszystkich odpowiadać chcecie? Mieścież litość nad nimi, gdy jej nie macie nad sobą! Kwadrans zaledwie kosztowało nas zajęcie całej ulicy, czyż ten dom długo atak wytrzyma?

— Ach tak! zdobyliście całą ulicę — mruczał, jęczał mnich rozpacznie. — Najdzielniejsi nasi bohaterzy polegli, najpiękniejsze serca, najsilniejsze ramiona katolickie technienie zgonu owiało; lecz jeszcze dość ich, aby wam stawić opór, zbluzgać waszą krwią tę ziemię, dość ich aby zginąć bez sromu, zginąć pomściwszy choć w części siebie i nieszczęsnych współbraci. Niech się dzieje Najwyższa wola, ja i mój kolega gotowi jesteśmy umrzeć jak żyliśmy: idź więc do swoich, powiedz coś słyszał, niech przyjdą, krew, której tak łakną znajdują tutaj.

W oknach obszernej budowli tymczasem, coraz więcej pokazywało się twarzy. Były pomiędzy niemi i dzie-

cinne i kobiece, a na każdej przestrach i zwątpienie z bolesną nadzieją zmieszane. — Uważałem nawet, że w głębi komnaty, przez której okno z mym bratem ponury mnich rozmawiał, utworzyła się grupa nieszczęsnych; widocznie słowa młodzieńca wpływ swój wywarły, obrona dalsza nieszczęsnym niepodobną się zdała; przystąpili ku dwóm rozmawiającym i coś żwawo przekładać im zaczęli. Może to była prośba o poddanie się, o układy z nami. — Brat mój dojrzał także ów ruch, może nawet jakie słowa bliżej stojąc uchem zachwycił bo wołał:

Zapewniam wam bezpieczeństwo i życie, lecz spieszcie się, pułkownik niecierpliwi się, kilka minut bowiem tylko, do namysłu wam pozostawił.

Nikt nie odpowiedział na to wezwanie, oficer wsparłszy się na oknie milczał ponuro, mnich z towarzyszymi rozmawiał ciągle, gesta jego coraz stawały się żwawszemi, namiętniejszemi, głos silniejszym; nagle zwrócił się do okna, na jego twarzy malował się widocznie wściekły gniew, rozpacz, zemsta.

— Chcę zginać, musicie także zginać odstępcey — wykrzyknął niby w odpowiedzi na przedstawienia i prośby tłumu, w rękę jego pistolet zabłysnął, skierował go na ulicę, w oku była krew, dotknął cyngla, huk się rozszedł — i (było to dziełem jednej strasznej i okropnej chwili) brat mój zachwiał się, pobladł i upadł. — Kula przeszła pierś jego!

W całym szeregu moich żołnierzy rozległ się wykrzyk bólu, żalu; bez rozkazu nawet z mojej strony, nabitobroń, skierowano w okna pałacu, huk rozległ się ponuro, szyby zabrzękły; lecz jaki był skutek strzału, nie wiedziałem, niepatrzyłem, bo byłem przy nieszczęsnym mym bracie; oko błędne, na licach blade śmiertelna, silnie ścisnął dłoń moją, przycisnął do piersi i jęczał:

— Ach! przecucie więc próżne nie było! Umieram, bądź zdrów Stanisławie — zimno mi, duszno — matko, koehana matko! Stanisławie pomścij mnie, to strasznie, okropnie! ach pierś tak boli!

Umarł!

Co się działo w mem sercu, w mej głowie, tego niesposób wyrazić, zemsta krwawa, okropna, po raz pierwszy w życiu wszystką krew wzburzyła, zawładnęła chęciami, rozumem: pomścić się lub zginąć, było jedynem mojem życzeniem, jedyną wolą.

— Śmierć zdrajcom! — do żołnierzy krzyknąłem. — Koledzy! Pomścijcie mnie, pomścijcie go! — wskazałem na trupa.

Nie trzeba było zachęty. Cały batalion w mgnieniu oka, mimo gradu kul Hiszpanów, pobiegł do ataku, w kilka minut brama pałacu silnemi ramionami podparta z lukiem wypadła. Daremna była obrona zuchwalców, daremne błagania o litość. — Są chwile w życiu człowieka, kiedy niesposób podać jej ucha. Wszędzie byłem na czele, wszędzie niosłem śmierć, krew z komnat w komnaty, z piętra na piętro, niosłem je bez litości, łaknąłem ich, one tylko choć w części pozwalały mi zapomnieć świeżą a dotkliwą stratę.

Wiedziony rozpaczą i zemstą ciągle na przodzie nie zważałem, czy żołnierze postępują za mną; rozbiegli się oni po obszernych salach pałacu, a przy mnie dwóch pozostało tylko! stary wiarus egipski i młody rodak z nad Wisły. Na końcu kurytarza, na drugim piętrze, zamknięte drzwi ściągnęły naszą uwagę. Wyłamać je, było dziełem jednej chwili. Serce moje zadrżało radością, chęć zemsty sownie zaspokoić miałem, o kilka kroków przedemną stało dwóch brata morderców. Oficer hiszpański i mnich. Poskoczyłem ku nim, lecz wyprzedził mnie

młody rodak. To mi ocaliło życie, lecz zgubiło młodziana; dwie kule z pistoletów Hiszpanów przeszły pierś jego; chwilę pasując się ze zgonem, padł na mnie i krwią obluźgał. Wiarus wtedy przyskoczył, jednym cięciem pałasza głowę mnicha rozstrzaskał, ja cofającego się oficera dobiegłem; jego szpada wątła i drobna nie wytrzymała silnego ciosu ciężkiej mej szabli, rozprysła w kawałki.

— Giń zbrodniarzu! — krzyknąłem podnosząc me żelazo. Już ono spaść miało, gdynagle ręka moja zatrzymała się. W czarnej mantyli, z rozpuszczonym włosom, blada, drżąca, lecz piękna dziewczica, cios morderczy wstrzymała jęcząc:

— Stój, stój, on niewinny, on twój obrońca, wstrzymaj się, zmiłuj się!

Spojrzałem na dziewczicę i dreszcz me obiegł ciało: Mimo bladeści lic, obłąkania w oku, mimo trzech lat rozłąki, poznałem ją odrazu. Była to moja zbawicielka z Salto di Lobos, Donna Fabianna, a Hiszpan stojący przedemną, Hidalgo Don Juan jej stryj!

* * *

Cóż dalej mam ci mówić?

Cały wieczór, noc prawie całą strawiłem w owej komnacie; co mi była wojna, pułk mój, obowiązki służby? zapomniałem, o wszystkim ujrawszy Fabiannę.

Nie śmieć się, nie drwij ze mnie — ja ją kochałem.

Ona była moją zbawczynią w Salto di Lobos; nigdy nie wątpiłem o tem a teraz przekonałem się dowodnie z jej słów, że na jej prośby tylko upojonego opium, Hidalgo od pewnej śmierci mię ocalił.

Ale mniejsza o wdzięczność; nietylko ona łączyła mnie z Fabianną.

Może przypominasz sobie jedną książkę, cośmy kiedyś w dniach naszej młodości czytali pospołem. Jej tytułu niepamiętam wcale, ale treść dobrze. Pomnę, była to historia różnych, często dziwnych marzeń rozumu ludzkiego. Jeden ustęp szczególnie zajął uwagę naszą a to mniemanie jakiegoś indyjskiego ludu, że bóstwo w niebie stwarza mężczyznę i kobietę jedną osobą, w przelocie na ziemię dopiero, te dwie płci, rozdzielają się; ale pomimo dziwaetwa losu, co je daleko w różne strony i stany rozdziera, serce jednej tęskni za drugą połową, istotne szczęście ich wtedy tylko, gdy się mogą złączyć, skojarzyć

Otóż ową moją połową, duszą marzeń i chęci była Fabianna! Czujęm to, wiedziałem,

Trzy lat rozłąki, po jednej krótkiej chwili ujrzenia w Salto di Lobos, niezatarło jej obrazu z serca, z pamięci, wszystkie moje marzenia były za nią, chęć, dusza, nadzieja. Różnie los rządził, z walk w walki mnie przrzucał, niejedna piękność hiszpańska zaszła mi drogę, niejedna miłośćka na chwilę zajęła, ależ to na chwilę tylko; najponętniejsze oko, najpowabniejszy uśmiech, najwięcej miłosne oświadczenia, były mi czeze, nudne, bo brakło im życia, ducha; jeżeli kiedy kochałem, to tylko Fabianny wspomnieniem...

A nadto wspomnij sobie, że byłem młody, ognisty, namiętny, że słońce Hiszpanii wrzące, płomieniące, burzyło krew, upajało zmysły! Byłem szalony, wiem to! Lecz szaleństwo moje niebyłóż szczęściem?

— Ach, ja byłem szczęśliwy! I ona kochała mnie! Wyznała to.

Wyznała zaś z całym zaufaniem dziecięcy, bez pró-

żnych wzdragani, czezej kokieteryi, wyznała niejako grzech, występki, ale że miłość była w jej duszy, w jej sercu, zataiła ją owszem, wydałoby się dla nieszczęsnej świętokradztwem, obelgą.

Mówiła do mnie:

— Ach ty nie wiesz, nie pojmujesz mój drogi, że od pierwszej chwili naszego widzenia się, — czy pamiętasz tam w Saldo di Lobos, — tyś mi odkrył niebo, tyś stał się wszystkim dla serca; Być twoją lub zginąć, to był cel mojego życia. Biedna matka gniewała się, stryj gniewał się; lecz czem dla mnie były ich gniewy, ta miłość tylko dodawała mi sił, znieść cierpienia pozwalała: nadzieja bowiem mówiła do duszy, że cię ujrzę, że cię zobaczę jeszcze, że będę twoją, a ty nie pojmujesz, ile ja przez te trzy lata wycierpieć musiałam, ile nędzy, tułactwa! Och — wzdrygnęła się — ile krwi popłynęło przed mem okiem! To okropnie! Straszna to wojna, którą wy z nami toczyście. Biedna moja matka zginęła, cały ród zginął, rodzina wioska zniszczona do gruntu; trzeba było mieć serce żelazne, wolę żelazną, aby nie upaść pod brzemieniem nieszczęsć, pod ogromem tylu trosk....

— Och, drogi mój, ty mnie kochasz, ty mnie miłość przysiągłeś, jeszcze jedno przysiądz musisz: opuścimy tę ziemię. Ten kraj, to kraj krwi, potępienia; będziemy żyć daleko, w twojej ojezynie, tam niebo chłodne, słońce zimne, lecz co mi to; twoja miłość stanie za niebo, za słońce. O! ja cię Kocham...

Lecz dosyć tego! Aby pojąć Hiszpankę nie drwić z jej oświadczeń, trzeba ją znać, kochać i być od niej kochanym. Dosyć tych moich słów, znudziłem cię już niemi, być może, kiedyż bowiem tajniki uczuć naszych,

nasze świętości, to co krwawi serce lub wabi, znajdzie w cudzem odbicie, pojęcie, litość...

Godziny za godzinami upływały pospiesznie, północ nadeszła, przeszła wreszcie, już pierwszy brzask ranka purpurą światła ozłacał śniade ściany komnaty, gdy ciężki stukot, niby kilku uzbrojonych osób, na korytarzu się rozległ, i przerwał nasze rozmowy, marzenia.

Pospiesznie wybiegłem. Na korytarzu napotkałem jednego z adjutantów generała Hugo; mówił mi jakiś papier oddając:

— Szukam pana już od godziny, głównie dowodzący, nadesłał mu rozkaz, chciej się zastosować do niego.

Czytałem:

„Pułkownik S* ma zabrać wszystkich jeńców hiszpańskich w wczorajszej bitwie ujętych, i pod dobrą strażą do mej kwatery odesłać, szczególniejszą zaś baczność dawać powinien i zająć się odkryciem następnych członków Junty tutejszej“.

Tu następowała lista, a na jej czele był zakonnik Don Ambrosio i Hidalgo Don Juan di Ribeira y Nieves!

Gdym wrócił do komnaty, bladeść lic i chmura czoła nie uszły baczного oka Fabianny, ukrywać jej prawdy nie mogłem; pobladła, zadrżała, ujęła mą dłoń i głucho szeptała:

— Ty mnie kochasz Stanislaó, ty go ocalisz! Nieprawda, że go ocalisz? Ja go Kocham także, on mi przez te trzy lata był jedynym opiekunem, dobrodziejem, ojcem, jego śmierć, to moja śmierć, po tobie Kocham go pierwszego.

Zwróciłem się do Hiszpana, aby go obudzić. Zapomniałem bowiem wspomnieć ci, że Hidalgo już w pierwszej godzinie zajęcia przezemnie komnaty, czy to wysiłony całodziennym bojem, czy zwalczony aż do zwie-

rzękości nieszczęściem, z obojętnością do niewierzenia, z lekceważeniem na los swój, na życie, nie badając mnie nawet, jak go zechę uważać, czy podam go na zgubę, czy ocalić pragnę, rozwinął płaszcz swój na świeżo zbroczoną posadzkę, rzucił się na niego i spał. A to był sen czysto zwierzęcy, martwy, bezwładny, sen w którym i dusza i ciało śpią pospołem; a spał choć go budziłem, tylko kiedy niekiedy z ust jakieś przerywane wydobywały się dźwięki, pojedyncze słowa, w których nadaremnie szukałbyś myśli, rozumu. Jąkał:

— Dajcie pokój — jeszcze czas — broń ją — ratuj — mój los, śmierć — Fabianno, pułkowniku — o jeszcze czas...

Nieszczęsny marzył oczywiście i wrażenia tych marzeń machinalnie wydawał językiem. Kto wie, może i on miał blizkiego zgonu przeczucie!

Mój plan był gotów! Przestałem budzić uśpionego i umyśliłem pójść do Soucheta; rozkaz jego bowiem naturalnie skutecznie musiałem, a znając pośpiech naszych sądów wojennych, bałem się, aby ułaskawienie, jak się to często zdarzało, nie wyszło dopiero po wykonaniu wyroku.

Gdym wychodził, Fabianna uchwyciła mą rękę, oko jej dziwnie się iskrzyło, głos drżał, gdy mówiła wskazując na Hidalgę:

— Stanisławie, jestem twoją, należę do ciebie; jeżeli niezecheesz mnie nazwać żoną, to jak ci mój honor, los i szczęście oddałam, tak ci będę niewolnicą ostatnią z sług, lecz jego musisz ocalić, musisz, on ostatnim z mojego rodu, on mi ojcem! — Stanisławie! ty niewiesz, co się ze mną dzieje; moja głowa płonie, tracę rozum! Tyle strat zniosłam, tyle krwi widziałam, ale ta, czuję, byłyby nad me siły!

Głucho jęczała...

Uspokajałem ją jak mogłem, i aby ci wyznać prawdę, miałem nadzieję, bo Souchet mnie lubił; pierwszą dopiero prośbę niosłem mu, jakżeby miał ją odrzucić? Srogość jego była znana, postrachem była nietylko Hiszpanów lecz i podkomendnych; lecz przecież towarzyszy broni będzie go błagał, człowiek który do laurów, wieńczęcych skroń jego, niejednym listkiem dołożył, który krwią własną okupywał mu blask, znaczenie, nieśmiertelność; mogłemże wątpić? Nieszczęsny!

.

W obszernej sali ratusza, wczoraj jeszcze głównym miejscu obrad katolickiej junty, spotkałem generała. Żelazny człowiek, pomimo całodziennej walki, jej trudów i niebezpieczeństw, od których wcale nie stronił, ani pomyślał o spoczynku: był bowiem w tym samym mundurze, w którym widziałem go wczoraj, na nim jeszcze pył zaciętego boju, jedna szlifa oderwana, może ją karabinowa kula uniosła, palone buty obryzgane krwią. Siedział przy małym, okrągłym stoliku, w rękę trzymał zwój papierów, i odczytywał je pilnie, a w ślad jego zatrudnienia, oko ponuro błyszczało, na szerokim czole rozbiegły się zmarszczki gniewu, oburzenia, ściągnęły się gęste czarne brwi; rozchmurzył je nieco przecież, gdy mnie ujrzał, i pospiesznie przemówił:

— Jak się masz pułkowniku! Wiem o twojej stracie, smuci mnie ona, lecz zgon brata pomściłeś. Zresztą zginął on śmiercią walecznych, na polu sławy; w raporcie do cesarza, nie zapomnę jego nazwiska, równie jak i twojej dzielności, przyłożyłeś się niemało do całkowitego uśmierzenia miasta; lecz co mi powiesz?

— W walce dzisiejszej, między innymi dwóch jeń-

ców zdobyłem, ich los obchodzi mnie mocno, o ich życie błagam cię, generale.

— Dwóch, to wiele, przeklęty naród, nieutrzyma go tylko postrachem, lecz mniejsza o to. Panie adjutancie, wydaj pułkownikowi karty bezpieczeństwa dla jeńców ależ jakież ich nazwiska?

— Jest to Hidalgo Don Juan di Ribeira z sio, strzenicą.

— Hidalgo Don Ribeira, naczelnik Ajuntamiento tego miasta, najzaciętszy z naszych wrogów, przewodca bezprawi i mordów w tej krainie, rzezi w Salto di Lobos, człowiek na którego sam cesarz najsurowszą kazał zwrócić bacność, od którego śmierci całej Katalonii bezpieczeństwo zależy? Nie, nigdy! On musi zginąć!

Zadrzałem na te słowa, przecież odparłem:

— Winienem mu życie generale, przed trzema laty od pewnej ocalił mnie śmierci.

Generał powstał z krzesła gwałtownie, ujął zwój papierów, uderzył po nich ręką i mówił:

— Patrz pan, czytaj, przekonasz się łatwo, czy kto w całej Hiszpanii, nie wyłączając Minów, Castannosa: La Romana i innych, winniejszy od twego Hidalgi; przynajmniej stu naszych, lecz co mówię, to mało! tysiąca, śmierć ciąży na nim; najkrwawszym wyrokiem, najwyższymi męczarniami on przewodniczył, on jeden z mnichem, przyjacielem swoim, zerwał przedwczoraj układy poddania się miasta, on winien, że krew nasza potokiem płynęła, że brat twój poległ. Pułkowniku, gdybyś zażądał ocalenia wszystkich mieszkańców Tarragony, zachowania ich przy wolności i majątkach, łatwiejbym pozwolił, niżli na przebaczenie temu mordercy. Śmierć mu, śmierć!

Drżał gniewem, oko jego błyszczało strasznie, groźnie, był to tygrys strzałą Araba rażony, błagać go wtedy o litość, to było błagać zimny glaz o strumień wody! ze wszystkich dowódców francuskich w Hiszpanii, Souchet był najsurowszy, i kto wie, czy pomimo licznych zwycięstw, mimo doświadczonej odwagi i niezaprzeczonych talentów wojskowych, on nie był jedną z najważniejszych przyczyn przedłużenia krwawej i morderczej na półwyspie wojny. Napoleon posyłając go tam, równy błąd popełnił, jak wtedy, gdy uważając Hiszpanów za lud niedołężny i słaby, odebrał im prawego monarchę i wiarę, chciał dworować ich przesądom i wrodzonej dumie; pomimo tego gniewu jednak, którego lękali się najzautaisi przyjaciele i ulubieńcy generała, nie straciłem odwagi, i nie ustępowałem w mej prośbie. Odpowiedź rozjątrzonego wreszcie stała się cierpką, rażącą nawet moją miłość własną i stopień: młody, tysiącem uczuć miotany, hamować nieumiałem gniewu, wzruszenia, wyrazy, które generałowi poniosłem, wzburzyły więcej jeszcze gniew jego: z ściśnionymi w kłębek dłońmi, z okiem gorejącem, zwrócił się do przytomnych w komnacie oficerów i wołał:

— Słyszeliście panowie! Cesarz dziwi się i gniewa, że Hiszpanów pokonać nie możemy. Jakto ma być, gdy władza głównodowodzących, w lekcważeniu w podwładnych, gdy subordynacya wojskowa, ezczem tylko nazwiskiem; lecz potrafię wszystko zwrócić do dawnego stanu, potrafię, na piekło i niebo. Pan pułkownik aresztowanym będzie, jutro przed sądem wojennym zda rachunek ze swoich wyrazów: Hidalgę, natychmiast do więzienia zamknąć, dziś jeszcze rozstrzelanym być musi...

Co się działo w mem sercu, jak mi schodził czas w więzieniu, tego ci nie mam powodu określać: są cier-

pienia, na których wyrażenie słów by nie stało, które można pojąć, lecz wymówić, niesposób.

Wreszcie, około południa, wszedł ulubiony generała adjutant, mówiąc:

— Jesteś pan wolnym: niebacznym jego słów dowódca nie chce pamiętać. Masz się udać natychmiast do pułku, którym na teraz major dowodzi...

Powtórzył kilka zaleceń Soucheta.

Lecz co mi one znaczyły! Nie słuchałem, nie pamiętałem ich nawet. Moja myśl, dusza, była za Fabianną, za Hidalga. Pytałem gwałtownie:

— Dla Boga, co się stało z Don Juanem, z jego siostrzenicą, zmiłuj się pan, mów mi.

— Słyszałeś postanowienie Soucheta. Nie zmienię go; Nieszczęsny rozstrzelanym będzie, razem z innymi jeńcami. Sąd wojenny ich los przed godziną rozstrzygnął.

— Lecz Donna Fabianna, jego siostrzenica?

— Nie była na strasznej liście potępionych, uwolnioną zatem została; lecz jaki jej los, Bóg to wie.

Ach ją przynajmniej ocalić myśl sercem wstrząsnęła. Opuściłem szybko więzienie, pobiegłem do pałacu Hidalgi, szybko przebiegłem jego komnaty. Wszędzie w nich zniszczenie, krew, miasto na dzień cały oddane było samowolności żołnierzy. Któż nie wie, jak oni umieli z tego korzystać! Roztrzaskano meble, odarto ściany z obić, gdzie niegdzie jaki ranny Hiszpan, lub mój żołnierz dokonywał życia w cierpieniach, bez pomocy lekarza, bez słów pociechy kapłana. Gdym dobiegł komnaty w której wczoraj napotkałem Hidalgę z Fabianną, lekki szmer doszedł moich uszu, szeptał jakiś głuchy, ponury. Nadzieja w zbolełe serce wstąpiła: ach może wiarus egipski, któremu straż nieszczęśliwych, śpiesząc do Soucheta powierzył, wiernie dopełnił mojego zlecenia, i jeżeli Hidalgi

przed okrutnym nie mógł ocalić losem, to przynajmniej Fabianny strzeże: może też ona sama tu czeka na mój powrót, na moją pomoc. Wszakżeż na całej ziemi nieszczęśliwej ja tylko jeden pozostał!

Wszedłem, lecz jakiż widok!

Na środku komnaty, złożone na karabinach, czarnym całunem pokryte, spoczywały jakieś zwłoki, obok nich jarzące świece, gorzały w srebrnych świecznikach — zdobycze zapewne z poblizkiego klasztoru: naga szpada i gwiazda honorowej legii o swej krwawej wstążeczce, spoczywały na całunie; kilku żołnierzy z mojego pułku, a między nimi wiarus egipski, wsparci na karabinach, otaczali mary.

— Co to jest, co znaczy? — wykrzyknąłem zdziwiony.

Zamiast odpowiedzi wiarus uchylił nieco całunu. — Zadrzałem, zwłoki pod nim spoczywające, były to zwłoki mego brata.

O jego zgonie, tylu innymi uczuciami miotany, zapomniałem do szczętu!

Żołnierz szeptał:

— Zrobiliśmy, co można było pułkowniku: Zwłoki walecznego oficera przecież, bez wojskowych honorów, niby to trup hiszpańskiego gierillasa, pogrzebanym być niemógł.

Miłość starła przywiązanie braterskie; chwilę jedną zaledwie poświęciwszy modlitwie za duszę zmarłego, odciągnąłem pocziwego żołnierza na stronę i pytałem gwałtownie:

— Lecz gdzie ona, Hiszpanka?

Wiarus zdziwionem okiem spojrzął w moje:

— Alboż ja mogę wiedzieć, odparł: zabrano ją

dziś rano z starym dowódcą gierillasów. Przecież pan pułkownik wiedzieć musi o tem.

— Czemużeś ich nie bronił człowieku, nie bronił do ostatniej kropli krwi twojej, wszakże ich straż ci powierzyłem!

— Musiałem przecież adjutantowi ustąpić: Dziś znowu miałem gonić za nimi, dowiadywać się o ich losie, gdy trup kapitana leżał bez pogrzebu, wśród innych na ulicy!

Chciałem wybiec z komnaty, zatrzymał mnie.

— A z ciałem, panie pułkowniku, z trupem, cóż mamy robić?

— Pogrzebiecie! Cóż mnie to obchodzi.

— A pan pułkownik nie będzie?

— Nie! daj mi pokój, niemogę...

Żołnierz lekko skinął głową, rzucił mi spojrzenie: w niem tyle było wyrzutu, podziwu, pogardy nawet, że mimowolnie się wzdrygnąłem, uściśnąłem dłoń jego i rzekłem:

— Och, przebacz mi, on przebaczy także. Ty nie wiesz, nie pojmujesz, ile nieszczęśliwy jestem: tę Hiszpankę...

— Ach teraz rozumiem! Pan pułkownik ją kochał. Czemuż wprzód nie wiedziałem o tem. Adjutant nie byłby ich dostał.

— Ona żyje, żyje jeszcze, krzyknąłem, lecz jaki jej los! Koniecznie muszę iść szukać, ocalić ją.

Żołnierz chwilę mileżał, nareszcie karabin na plecy zarzucił. Koledzy, strzeżcie ciała kapitana, za kilka chwil powrócimy.

Wybiegliśmy z pałacu. Na ulicy pusto i głucho, tylko w różnych kierunkach przechodzą francuscy żołnie-

rze, tylko stosy trupów, wczorajszej morderczej bitwy pamiątka, nie uprzątnione jeszcze tarzają się wszędzie.

— Lecz gdzie szukać, jak ją znaleźć? — zawołałem w rozpacz.

— O, ja, wiem — odparł wiarus — co można było ująć Hiszpanów, co ich pozostało tylko, spędzono na główny rynek miasta Campo grande, jak tu zwa, aby przyrzekli się rozstrzelaniu swoich dawnych dowódców. Hiszpanka, musi być tam także.

Na rynku istotnie, jak to wiarus przewidział, kilka tysięcy nieszczęsnych miasta mieszkańców, kobiety, dzieci, starce, rzadko gdzie jaki w sile wieku młodzian — w wczorajszej bitwie każdy życie położył — okropny jęk, płacz, wykrzyki rozpacz, rozlegały się w około: nieszczęśliwi na zgon braci, ojców, przyjaciół, wszakże mieli spoglądać. Straszny był to widok, tem straszniejszy, że wszystko z wyrachowaniem barbarzyństwem czyniono, że gwałtem ostremi bagnetami żołnierzy, napedzano nieszczęśliwych do przyglądania się okropnej karni rodaków, że owszem tą samą karnią im grożono. Na środku rynku, cały jeden batalion w potrójne rozwinął się szeregi, okrążył wiankiem ośmdziesięciu potępionych na śmierć: ci jednak, chociaż ich życiem była już jedna chwila tylko, chociaż ku ich piersi morderczą broń wróg kierował, oddali się okropnemu losowi z całą obojętnością, dumą nawet wspólną wszystkim południowym ludom, szczególnież też Hiszpanom; ni z jednej piersi nie wyszedł jęk bólu, a tem mniej prośby. Wielu z nich klęczało; kilku kapłanów bowiem, znajdujących się między skazanymi, niesło im słowa pociechy, wiary, nadziei w niebo, zbawienia. — Z trudem tylko przez tłum mogłem się przedrzeć, przerwać szpaleru żołnierzy niesposób. W moich żyłach przecież krew ścinała się lodem, w uchu

był szum dziwny, straszliwy: chciałem koniecznie widzieć Hidalgę, wywiedzieć się od niego o losie Fabianny, i jeżeli nie ocalić nieszczęśliwego, to przynajmniej ponieść mu słowa pociechy, nadziei. Już byłem blisko mego celu, już przez trzeci szpaler żołnierzy przedrzeć się miałem, gdy nagle oficer okropnemu przewodniczący mordowi, dał znak fatalny: grzmot kilkuset wystrzałów rozległ się w strasznym zjednoczeniu: dwa wykrzyki zarazem zabrzmiały, jeden pochodził z tłumu widzów, drugi z wianka potępionych,

Za kilka chwil byłem na miejscu egzekucyi. Ośmdziesiąt nieszczęśliwych Hiszpanów jeńców leżało na bruku pokotem, żaden nie uszedł strzału; lecz że to było ogólne, nie pojedyncze rozstrzelanie, połowa zaledwie śmiertelnie ugodzoną była, druga pokaleczona dogorywała w mękach strasznych, okrutnych.

— Do tej liczby należał Don Juan. Jedna kula przeszła jego ramię rozstrzaskała nogę, pierś nawet świeżym postrzałem dotknięta, bluzgała krwią. Życie, wyraźnie zwałnione, opuszczało ciało.

Poznał mnie przecież, i gdym się schylił ku niemu, silnie za rękę uchwycił — oko jego błyszczało, głos drżał:

— Pułkowniku, czy ty ją kochasz?

Domyśliłem się, o kim mówił. Uścisnąłem ziębnącą już dłoń nieszczęśliwego, przycisnąłem do piersi; w jego żrenicy radość błyszczała, jęczał.

— I ona cię kocha! Obroniła ci życie, bądźże więc jej zbawcą, opiekunem, kochaj ją, ona godna tego! Przysięgnij!

Czyż nie miałem przysiądz?

— Mogę więc umrzeć, Boże zmiłuj się nad mą duszą!

Ciężko westchnął, śmiertelny dreszcz obiegł jego ciało, raz jeszcze przecież uchwycił mą dłoń, raz jeszcze rzucił mi spojrzenie. Ach! pomnę go dotąd, ustami poruszał, czy to w modlitwie, czy chcąc mi przynieść słowo podziękii, zaleceń, — i skonał.

W tej chwili żołnierze złamali swoje szeregi, część ich na rozkaz oficera zbliżyła się ku nieszczęsnym, aby tym, którzy dawali jeszcze znak życia, ponieść bagnetem cios ostateczny: za nimi lud się potoczył, rozpaczny tłum odsunął mnie na chwilę od trupa Hiszpana a gdy mógł znowu przybliżyć się do niego, to...

Zinne, świeżą krwią zbroczone zwłoki, okryła swem pięknem ciałem Fabianna.

Dreszcz przeszedł me ciało, przetarłem oczy, wierzyć im nie chciałem, ach, zaledwie poznać ją mogłem.

Czarna mantyla nieszczęsnej poszarpaną była, rozdarta w szmaty, jedwabny włos spadał w nieładzie na obnażone ramiona, na twarzy zwykle bladej, teraz dziwny jakiś dziki rumieniec, nie płakała przecież, nie łkała.

— Fabianno, droga Fabianno — szeptałem.

— Niesłyszała.

Ująłem jej dłoń, była rozpaloną, drżącą — oderwałem ją silnie, rozpacznie od martwych zwłok, wtedy musiała zwrócić i zwróciła na mnie spojrzenie.

Wyobraź sobie jej oczy, jej piękne oczy Hiszpanki, dziecka południa słońca, żywe, namiętne, ogniste; teraz błyszczały, ale to nie życiem, nie myślą, nie duszą — było w nich coś strasznego, coś okropnego.

— Fabianno! Fabianno! — w rozpacz wołałem.

Roześmiała się — śmiała, a to tym śmiechem pierśiowym, dzikim, jaki tylko z piersi szaleńców wyjść może.

— Co ci jest, dla Boga czy mnie nie znasz, nie poznajesz? — wołałem dalej — ja twój Stanisław, twój

maż, kochanek, pomnij dzisiejszą noc, twoje przysięgi. Ty mnie kochasz? nieprawdaż?

Na chwilę przecież rozum i pamięć zdało się, że wstąpiły w głowę, w duszę nieszczęsnej, oko jej zwróciło się w moje, silnie dłoń swoją wyrwała z rąk moich, odepchnęła gwałtownie i krzyknęła:

— O idź precz, precz, tyś go zabił, ja cię nie kocham, nie kocham zbrodniarzu. Krew na twym ręku, precz, precz odemnie; złamałeś twoje przysięgi, twoje przyrzeczenia. Nie wierzę ci, gardzę tobą, nie kocham!

Przycisnęła śnieżną dłoń do czoła, niby myśli zbierała, niby pamięć wwozila w ład, ale to było ostatnie wysilenie człowieczeństwa, walki z zwierzęcością, obłąkaniem; obłąkanie przemogło, ukłękła znowu przed trumfem Hidalgi, złożyła martwą jego głowę na kolano, niby dziecię piastunka, bawiła się skostniałą dłonią, a śmiała się, śmiała!

* * *

Tego samego dnia wieczorem, dobry mój przyjaciel, lekarz dywizyjny, baron G* mówił mi:

— Ona obłąkana!

Wiedziałem o tem, nie wyrzekłem więc nic, lecz co się działo w głębi serca, Bóg to jeden wie!

Lekarz mówił dalej:

— Czy przyjdzie do zdrowia, czy nie, powiedzieć ci także nie mogę. Choroby duszy bowiem, daleko mniej są nam znane, niż choroby ciała: Widzimy tylko ich symptomata i podług nich leczymy; zajrzeć, że się tak wyrażę, w głąb, w istotę choroby, niepodobieństwem jest dla nas; łatwo więc pojąć możesz, że kiedy sztuka tajników nie przenika natury, staje się czeza, ślepa, a przynajmniej bardzo mało korzystna.

Pozwoliłem mu prawić, nieprzerywałem, więc prawił.

— Są przecież pewne przesilenia, nie mówię moralnego, lecz fizycznego stanu tej okropnej choroby. Znamy je, i wtedy jaką taką radę przynieść możemy, zawsze ma się rozumieć ciało, nie duszy, dla duszy bowiem nie ma lekarstwa. A gdybym je miał dać chorobie czysto moralnej, moralne podawałbym środki, nie jestem bowiem przyjacielem tych, jakie są powszechnie używane w zakładach publicznych, np. zlewania głowy zimną wodą, zamykania w klatce, odosobnienia i t. p. Jest to prawie to samo, jak gdyby kto chciał leczyć febrę, lub ospę ewinczeniami moralnemi, kazaniem, muzyką.

— Otóż co do ciała, gdy dowiedziona jest rzeczą, że duch, dusza, to, co nas ożywia, co nami włada, przeważny na niego wpływ wywiera: gdy przesilenie jednego, lub drugiego stanu, złe skutki na zdrowie mieć może, owszem niszczy je i rujnuje, starannie baczny lekarz względ na wspomniane przesilenie dawać powinien i gdy nie może duszy, ciało przynajmniej ratować musi...

— Jak to? — rzekłem — obłąkanie zabić więc może! Niesposób! Widziałem po rozmaitych zakładach europejskich tylu nieszczęśliwych cieszących się zdrowiem tak dobrem, jakiego by człowiek o najsilniejszym rozumie pożądał.

Medyk wstrząsnął głową i odparł:

— Tak jest, dobrem cieszą się zdrowiem ci, co ósmy dzień tej okropnej choroby przecierpieli szczęśliwie.

— Ósmy dzień mówisz?

— Jest to przesilenie.

W milezeniu, wydobyłem z szkatułki pistolet, opatrzyłem starannie i świeżo nabiłem.

— Dla Boga, co to znaczy mój pułkowniku? — zawołał zdziwiony i przerażony lekarz.

— Nic, lekarstwo na przesilenie, dla mnie ma się rozumieć.

Doktor zadrżał, chwilę bacznie popatrzył w me oko, potem ujął za rękę i pytał.

— A więc ją kochasz jeszcze pomimo...

— Pomimo obłąkania? tak jest — odparłem.

— Musi więc żyć, albo wyrzeknę się na zawsze mego zawodu.

— Tak więc umarlibyśmy obydwaj, ty moralnie ja fizycznie: czyli podług twojego poprzedniego rozumowania dwóch nas tworzyłoby obłąkanego jednego, mnie się zdaje pozostaw nas losowi, jaki Bóg naznaczy.

Śmiałem się.

I w drugiej izbie śmiech rozszedł się także, śmiech okropny, dziki; wszedł tam żwawo doktor, a ja mu towarzyszyłem.

Ona, Fabianna, siedziała na posadzce, bawiła się wrywaniem wełny z dywana, układała ją w małe zwiłki, potem dmuchała, a gdy podmuchał rozniósł lekkie płatki, śmiała się.

A była piękną! ach piękną!

Doktor ujął jej puls.

— I cóż mój kochany? — spytałem po chwili.

— Nic, jak zazwyczaj.

— A gdyby przesilenie przeszła, gdybym ja żył i ona: jestże, może być jaka nadzieja?

— Bóg ją nam dał, tu ona w Nim jednym, lecz...

— Cóż... lecz?

— Czas, zajęcie się pilne nieszczęśliwą, baczne śledzenie każdego symptomu rozumu, przypadek nareszcie...

— A więc mam dwie drogi, po ośmiu dniach.

— Jakaż druga?

— Wezmę dymissyą.

— I po ośmiu dniach istotnie do dymissyi podałem się. Souchet sprzeciwiał się temu, między innymi mówił:

Tracisz pan piękną sposobność zrobienia karyery. Cesarz w ostatnich depeszach wspomina, że wszystkim oficerom sztabowym w Hiszpanii służącym, szczególnie też w moim korpusie, chce nadać tytuły i majoraty.

— Cesarz bardzo łaskaw, pomimo tego przecież nie mogę w służbie pozostać.

— Jest więc jakiś powód, który cię ciągnie do domu; czy chcesz się żenić?

Wzdrygnąłem się, i — nie, nigdy — odparłem.

— Nie, moim majątkiem była dotąd i jest szabla i względy cesarza, gdy zaś otrzymam dymissyą, mam prawo do pensyi retyretowej, z nią przy tysiącu franków dochodu z szczupłej mojej posiadłości ojczystej, żyć będę spokojny.

— A więc razem, na całą resztę życia liczysz na dochód dwóch tysięcy franków?

— Tak jest generale.

— *Mort-bleu* pułkowniku, przebacz, tyś szalony.

— Nie generale, tylko szalonej będę opiekunem...



TRZEJ BRACIA.

Powrót z kampanii 1812 roku.

Wieczorem dnia 12 grudnia 1812 roku, armia francuska z nieszczęśliwej rosyjskiej wracająca wyprawy, zajęła wieś Białą niedaleko od miasta Jarosławia położoną.

Nie była to już armia, lecz jakaś ogromna banda ludzi, zwalczonych głodem i zimnem, utrudzonych pochodem, którego niebezpieczeństw i okropności, niesposób wyrazić słowami.

Była to gromada istot bez nazwy i cechy, istot bez serca, ducha i woli, skołatanych nieszczęściem, piętnem nieochybniej naznaczonych zguby, istot samolubnych, dzikich, występnych, nie chęcia, lub rozkazem czyim bądź lecz musiem bezpieczeństwa własnego i długiem przyzwyczajeniem połączonych i skojarzonych jeszcze ze sobą.

A owo mrowie rozsypało się na obszernych wspomnianej wioski równinach, jak tylko okiem dosiędz zdołałeś, zaległo je, niby szarańcza i poniosło przestрах, zniszczenie i trwogę.

Wieś sama była dość obszerną, przynajmniej sto zagród liczyła, a przecież w mgnieniu oka prawie, wszystkie zabudowania gospodarskie, chaty wieśniaków, i domy dworskie zniknęły: rozerwano je, roztracono, spalono.

Zeschłe zimną liście i życia pozbawione drzewiny ogrodów i sadów ten sam los spotkał, nawet plecione płoty, rozgraniczające szczupłe posiadłości rolników, poszły na zniszczenie na ogień.

Bardzo mało mieszkańców wioski chciało i mogło oczekiwać na przybycie niesfornej gromady; biedni, bez zapasów na ciężką i długą zimę, zgrzybiali starcy, lub drobne dzieci, a przecież świętokradzka dłoń, nie wahała się wydrzeć im ostatniego kęsa chleba, reszty łachmanów pozbawić.

Lecz wejdźmy we wnętrze tego niszczącego mrowia.

Dziwna, okropna mieszanina ubiorów, języków i gantków broni uderzyła cię zaraz.

Mieszanina rodzaju broni i stopni, również była dziwaczną; dawno już karność wojskową i ową machinalną, że się tak wyrażę, jednostajność ruchów i porządek, bicz i podziw Europy całej, zaprowadzone w armii olbrzyma Korsyki, rozstroiły i zniweczyły głód, zimno, mus, lub przypadek.

Tu postępował dzielny ułan z lancą a bez konia, tam piechór bez karabina a szeroką, niewiedzieć jakim przypadkiem pozyskaną szablą — artylerzystę uzbrojonego karabinkiem jeźdźca, wiódł wąsaty szasser piechotny dźwigający sztandar wojak starej gwardyi pociagowcowi rękę podawał, żołnierz oficera potrącał, z młodym furierem, lub sierżantem szedł w parze generał, hrabia, lub baron, zwycięzca nie w jednej bitwie, przyszły może marszałek, lub książę.

Ależ trzeba było znać rodzaj broni nieszczęsnych, aby go po ich ubiorze rozpoznać; jeśliś napotkał jaki uniform, to tak był podarty, poszarpany w kęsy, że zupełnie stracił pierwotną swą barwę i cechę, cóż dopiero świetność.

Ogólne przystrojenie było tyle dziwaczne, tak dziko rozmaite, że poglądając na nie, śmiech brał mimowolny.

Jakoż wyobraźmy sobie, siwego, ogromnego wzrostu

żołdaka, w kobiecej salopie przepasanego tywtykowym szalem.

Inny na mróz trzydziesto stopniowy obwijał się w płócienny kaftan, do stanu zachodzący ledwie, w letni tużurek, lub krótki, ceratowy płaszczyk.

Ten straciwszy, lub dobrowolnie zrzuciwszy włosatą grenadyerską bermycę, ciężki kask lub stósowany kape-lusz, pokrył głowę niby zawojem jakim szmatem chustki, łańchmanem, w którym daremnie gatunku, lub koloru starałbyś się dopatrzeć, albo nawet zasadził poduszkę, a że ta przetała się, to wiatr co chwila, unosił z niej kęs pierza, lub puchu.

Ów pokrył się grubym kudłatym wołłokiem, niby kobieta drogocenną chustką; ten zarzucił na siebie czaprak, jedyną pamiątkę po lubym towarzyszu nie jednej wyprawy rumaku; inny w baraním kożuchu, przykrywszy nim świetny generałski uniform, puszył, niby kokietka, świeżą i modną jedwabną sukienką.

Byli i tacy, którzy przebrali się w szaty duchowne, ornaty, i kapy, inni w kobiece stroiki, ci obwinęli się watomemi koldrami, owi niby dzieci, powijaki zatoczyli w okrag ciała całe sztuki płótna, lub sukna.

A ei byli szczęśliwsi, nie drżeli od zimna jak inni.

Chętka śmiechu przecież jeżeli cię naszła, omijała zaraz, dość było jedno rzucić w ów tłum spojrze-nie.

Tu widać się mara, widmo istotne, znękanie głodem i zimnem; tam szkielet, który, niepojmowałeś jak mógł jeszcze siłę rąk i nóg zachować; ten idąc grzęźnie w śniegu po pas, szamocze się chwilę, aby się wydobyć, a nie mogąc podostać, utkwil w nim i tak pozostał, pozostał bo zmarł; ów znękany kilkodziowym pochodem wypocząć chce, siada, zdrzemnął się, a zdrzemnął snem nieprzebudzonym, śmiercią. Bohater Piramid, Włoch, Nie-

miec, ów gwardzista, który zginać potrafi, a nie umie poddać się, wypuszcza z osłabłych rąk karabin, ręce skostniałe od mrozu, nie mogły go dłużej piastować, a ten karabin, towarzysz jego młodości, towarzysz dojrzalszego wieku, jak go ujął, aby generałowi Bonapartemu dać zwycięstwo, uszczknąć laury pod Mondowe, Mantua, tak służył Bonapartemu konsulowi, i służył cesarzowi Napoleonowi pierwszemu pod Austerlic, Jena, Ulmem i Wagram; płakał rzewnymi łzami stary żołnierz, przeklinał ciężki los swój; porzucić broń tylu lat pamiątkę, tylu lat cacko, kochankę, niebyłóż to okropnie, niebyłóż zerwać z całą przeszłością, a w przyszłości niewidzieć nic, jak sromotę, hańbę...

Owdzie za działem swoim postępował artylerzysta. Czemu dla gwardzisty karabin, temu dla niego owa armata. Z niej siał śmierć i postrach w bitwach trzydziestu, z niej niedawno, dwa lata dopiero, wiwatowemi, radośnemi grzmiał chwałami, kiedy potęga cesarza i przyszłość Francji, ustalona być się zdawała urodzinami księżęcia, którego kolebka już królewską koroną ozdobioną była. A teraz konie działa ciągnące ustały na siłach, z trudem tylko przez zaspę śniegów przetłoczyć się mogły, jeden i drugi upadł, dwa tylko zostały. Niesposób ciągnąć im dalej, dowódca rozkazuje odprządz, do innego przyczepić. Biedny żołnierz ociera łzę, wijącą się w oku: ja cię nie porzucę, szepece do siebie, osłabłemi ramionami zimny bronz obejmuje, siada przy nim, tuli się w nędzne odzienie i tak ginie, ginie, bo mróz przejął ciało, skostnił go, bo rozpacz resztę sił rozprzegła. Szczęśliwy przecież, zginał bez sromu, nie widział ukochanej broni w ręku wroga.

Jak to już rzekłem, obozu okiem nie przejrzysz. W nim ogniska suchemi szczapami i belką świeżo roze-

zebranych domów buchają kłębamii płomieni i dymu, roznoszą nieco ciepła na okół. Tuli się, popycha do nich tłum zziębły i głodny, im kto bliżej, tem szczęśliwszy. Ach to rozkosz, którejby nie oddał niewiem za jakie skarby, tytuły, cóż dopiero gdy kęs strawy znajdzie się. A jaka ona! Zraz z niedawno co padłego konia, suchar przy ogniu z trudem rozmięczony, garść maki rzucona w miedziany kocioł, napelniony śniegiem. Żar go topi choć z trudem, żołnierz dosypuje prochu on sól zastąpi, leje kilka kropli wódki, co jakimś trafem jeszcze w manieree została, i ma potrawę, zupę: co mu inne wykwin-tne paryskiego stołu! Niema porównania. Delektuje się, smakuje; szczęśliwiec, nędzne życie na dzień jeden przedłużył, oszukał głód na dzień jeden!

Ależ nie cała olbrzymia armia jest tu zebrana. Szerokim traktem — bo traktem step cały, a granicą jakie niedostępne mokrzadła, ezahar, lub dwie kolumny armii Płatowa, lub Witgensztejna — sypie się w obozowisko, coraz więcej ludzi. Jest to nieprzebrany potok, groźny, niszczący, łoskotliwy; przy ogniskach jeżeli nie walka wręcz, to przekleństwa, spory i wrzawa. Przybysze dawniej osiadłych chcą miejsca zająć. Niesposób, tamci bronią się, ustąpić choć na cal jeden od ogniska, wydaje się dla nich cięższą od samej śmierci ofiarą. Trzeba więc biednym tułaczom, nowe zakładać ognie. Jakoż rzucają się na resztki domów nieszczęśliwej wioski, rozrzucają je, podwalają belki, lub całe zapalają chaty. Tak jeszcze cieplej będzie; mniejsza o przekleństwa, łzy nieszczęsnych mieszkańców, któż na nie daje baczenie? Każdy myśli o sobie, siebie na względzie i pamięci ma tylko.

W krótkce ani śladu zamożnego siola, tylko pożar trzaska tylko dym gęstym tumanem wznosi się pod mgliste, chmurne, bezgwiezdne niebo. Poswarki ustały, za to

wrzawa wzmogła się i dzikie różnorodne wykrzyki, gdzie niegdzie i piosenka zabrzmi, piosenka francuska, bo Francuz tylko jeden mógł nucić wśród owego okropnego zniszczenia, mógł zapomnieć o swych dolegliwościach, o głodzie i chłodzie, rozterce armii, wśród trupów towarzyszy, przyjaciół i krewnych.

Wiatr świszeczy, mroz wzmaga się, tula się nieszczęśliwi silniej do ognisk, już i wrzawa powoli ucichła, gdy na trakcie znowu łaskot, rżenie koni, brzęk szabli, rozhorow żołnierski, jeden i drugi oczy od ognia w owe strony odwróci, popatrzy chwilę i obojętnie poszeźnie:

— Marszałek Ney z tylną strażą powraca. Ha głodno i zimno być im musi, nie zazdroszczę.

Ale dodaje zaraz:

— Na szatana, bracia na ostrożności mieć się potrzeba, oni nas zechcą wyrugować od ognia.

— A toż do szabli, do karabinów, pokażemy im ostrze bagnetów, tu miejsca niema, niech idą gdzie chcą.

— Tak, tak, niech idą gdzie chcą, co nam do nich, mamyż dla nich zmarznąć? — jednomyślnie odezwał się tłum cały.

Straż tylna jedyna nadzieja armii, nadeiagnęła w tej chwili, na jej czele sam Ney, waleczny z walecznych jak go Napoleon nazywał; grube futro go pokrywało, stosowany kapelusz przewiązany chustką, na głowie druga chustka pokrywa twarz do oczu prawie, a te oczy błyszczą, pieką, tą samą dumą, tą samą potęgą wzniesłego talentu, w upadku, w nieszczęściu, jak kiedyś u szczytu fortuny pod Wagram, Austerlie i Jena.

Przywołał adjutanta, dał rozkaz. Adjutant poniósł go w orszak dzielnych — groźne *Vive l'Empereur* zabrzmiało, bo ten rozkaz wszystkim po myśli, po sercu,

mają zsiąść z koni, mają odpocząć, ogrzać się, nabrać sił do jutzejszych trudów i walki.

Lecz gdzie ogrzać się, gdzie odpocząć, otóż kłopot; miejsca nie ma przy ogniskach, a na nowe ogniskach nie ma drzewa. Marszałek temu zaradził. Kazał ująć szable do ręki, usunąć tłum od kilku silniejszych płomieni. Powstaje znów kłótnia, spór, kłątwy, jeden i drugi wystrzał zabrzmiał; lecz stało się, jak chciał Ney, garstka jego walecznych żołnierzy odpoczynek mieć będzie, ogień, ciepło, zasłużyła na nie — co mu reszta tłumu, niech ginie, lub ratuje się, jak może.

Rugowani od ognisk nieszczęśliwi rozchodzą się po obozie licznemi bandami, tulą się, gdzie mogą, rozkładają na śniegu, silniejsi walczą ze zgonem, słabsi giną bez pomocy lekarskiej, bez ostatniej pociechy kapłana.

Ale i z armii marszałka Ney'a wielu przy ogniskach nie znalazło miejsca, szczególnie ci, co później przybyli, osłabieni ranami, straciwszy konie lub na znużonych nie mogąc w pochodzie wydołać reszcie towarzyszy. Los ich okropny: głodnym strawy, znużonym bez tehu, zmrożonym ożywczego ciepła zabrakło.

Do tych nieszczęśliwych, należało dwóch oficerów jazdy, znać to było po szerokich lampasach pantalionów i ostrogach brzęczących u butów; ubiór ich był dziwny: mieszanina wojskowego z cywilnym, długie wasy i brody szronem pokryte. Przechodzili obóz w różnych kierunkach, daremnie przytułku szukając. Głód i mróz dręczyły ich zarazem, nie zdoławszy przemódz wrodzonej wesołości i rubasznego dowcipu.

— No i cóż panie Janie? Przeklęta sprawa, dostać się do ognia, niesposób — rzekł jeden.

— Poprobujmy przecie, — rzekł drugi — tam na prawo widzę sute ognisko, zapach pieczeni dolatuje. *Allons!*

Gęsty szpaler kilkuset różnej broni żołnierzy i oficerów otaczał łoskotnie palące się belki i dach przed godziną z pobliskiego zerwane budynku, gromada szczęśliwców piekła przy buchającym czarnym dymem żarze, konia dopiero co zabitego, a gdy którą jego stronę pożar przypieklł trochę, z łakomą chciwością ocinała je na wyścig, nożem, szablą, jak kto mógł.

— Hej koledzy, ustąpcie na chwilę, pozwólcie ogrzać się. Jesteśmy oficerami ułanów, dopiero co z tylną strażą marszałka Neya przybyliśmy.

— Nie ma miejsca kolego.

— Ależ za minutę odjedziem.

— Choć by i za sekundę, i tak nie.

— Chcecież ażebyśmy zmarzli?

— Nie pierwsi i nie ostatni będziedzie, ognia mało, dość mrozu.

Dwaj oficerowie przecież gwałtem pchać się zaczęli, tłum ściszał się, miotał przekleństwa: biedni przybysze podeptani poszturkani, musieli się cofnąć.

Szli dalej, wszędzie podobne przyjęcie.

— Źle panie Michale, — rzekł brat do brata, bo oficerowie byli braćmi a nawet rodzonymi: — ani nadziei ogrzania się.

— Gorzej jeszcze, że mnie rana zaczyna dolegać. Lekka prawda ale zawsze rana. Dzisiejszego poranku znalazła się ot tam na ramieniu. Musiał Kozak Płatowa lancą poskrobnąć, mróz był więc nie czułem.

— Mnie nogi całkiem skostniały.

— Właśnie jak u mnie twarz i prawa ręka biała: dalipan nie żart, odmroziłem.

— Trzyj śniegiem, może przyjdzie do siebie.

Oficer tarł co siły, odmrożenie całkowite nie było, ustąpiło nareszcie, rzekł wtedy:

— Wyborna rzecz śnieg, gdyby tego nie stało, bieda zupełna, służy za ogień i wodę zarazem.

— Lecz cóż dalej zrobimy? jak przepędzić noc?

— Dalipan nie wiem, sądzę że bardzo trudna rzecz, abyśmy tylko doczekali jutra, zawsze cieplej przy słońcu.

— Tak, a zwłaszcza przy słońcu włoskiem.

— Przy hiszpańskiem cieplej jeszcze.

— A przeklinałem je nieraz.

— Jak ja hiszpańskie w Sewilii, tam to upały!

— W Neapolu większe jeszcze, wyobraź sobie Si-rocco, dusisz się.

— A w Sewilii Solano! Nie do wytrzymania.

— Ach, nie do wytrzymania: dla Boga! nogi nie-czuje, zmarzła.

— Stąpaj a mocno.

Brat Michał stapał co żywo, zawsze nieczuł, wreszcie zimno zaczęło być, dobra nadzieja.

— Lecz nie tylko zimno, ale i mokro. Mój drogi, wyraźnie czuję śnieg. — Poszedł do rewizyi buta, więk-sza połowa podeszwy odpadła.

— Co robić, zmiłuj się?

— Alboż ja wiem.

— Skąd dostać innego obuwia?

— Na ulicy Saint Honore w Paryżu, mieszka Sa-kowski nasz rodak, gdy nie masz pieniędzy, da na kre-dyt: trzydzieści sześć franków; szkoda tylko że trochę daleko.

— Eh, ty żartujesz, a ja nogę stracę.

— Wielka rzecz, nasz generał niema nogi a żyje.

— Lecz ma konia, ma własny furgon, gdy ja...

— Ty, zostaniesz tu, wielka rzecz, będziesz obser-wował gwiazdy lub śnieg, do wyboru.

— Ależ panie Janie, znów zimno, butów! butów!

— Ja mam całe, lecz wiesz co, idź w obóz, o sto kroków stąd leży zmarzły Szwoleżer, po lampasach poznałem, właśnie twego wzrostu, może zdadzą się ciżmy.

— Chodź ze mną.

— Dobrze. — Poszli.

Zmarzłego Szwoleżera znaleźli istotnie, chcieli ściągnąć z nóg jego obuwie, niesposób, zdało się, że przywarło do ciała, zrosło się z niem.

— A mnie zimno okropnie, zimno znów.

— Przeklęty upornik, buty mu się nie zdadzą na nic, a włożył je, niby chciał do dnia sądnego zachować.

— Co raz zimniej, teraz szczypie, kostnieje.

Pan Jan podumał chwilę, — to źle: — Potem spojrział: — ach, jakże ty sobie nie umiesz dać rady, zmarzłbyś, gdybym nie był tu, masz dwie chustki na szyi.

— A tak, lecz cóż?

— Zdejm jedną, obwiń nogę.

— Ach prawda.

I biedak dla ocalenia nogi, ogołocił szyję, zdjawszy chustkę, kaszmir prawdziwy, niemodny francuski wiotki tywytyk, ale kaszmir dziecię istne Tybetu, miękki, puchowy. Niedawno może on zdołał toczną kibić młodej jakiej piękności, jakiej milionowej księżniczki lub hrabianki, budził poklaski mężczyzn, zazdrość kobiet, teraz grzął w śniegu, darł się, kalał, jako powijak nogi wąsatego żołdaka.

Bracia odeszli na kilka kroków od zmarzłego żołnierza, nagle wstrzymał się pan Jan:

— Ach! ba! myśl dobra.

— Co za myśl?

— Ten zmarzlec ma na sobie pas skórzany, szeroki.

— A więc?

— Mój płaszcz nie przystaje do ciała, wiatr go

poddmuchuje ciągle, gdy się opasze, wyborna rzecz.

— Prawda.

Odjęli pas z trupa, ciężki był, kilka funtów ważył przynajmniej.

— Co on tam ma? ręczę ze trzydzieści ładunków, a może miedzianych *Su*, kilka garści.

— Zobaczmy.

Odjęli pas, potrzęsneli, wytoczyło się złota przynajmniej trzy kwarty, samymi luidorami.

— Ha, ha! Jegomość był dobrym gospodarzem, niezawodnie płatnik, lub kwatermistrz pułkowy, myślał o przyszłości nie żartem, uprowidował się na nią i zmarł.

— Tyle złota! toż to fortuna.

— I jaka! gdybym je miał w Paryżu.

— A ja w domu.

— Mógłbym żyć hucznie jak Junot, przynajmniej pół roku.

— Jabym miał na całe życie, kupiłbym wieś.

— Wiwat dobra myśl, chodźlibyś za pługiem i doglądał młocki. Piękne dla żołnierza zatrudnienie.

— Jak komu do gustu. Każdy ma swoje widzimi się; dobra rzecz wojna, lecz dalipan milszy pokój. Ja zawsze marzę o wsi, własnej, ma się rozumieć.

— I o tuzinie dzieci, i o żonie, i... lecz na co czas tracić! Potem pomówimy o tem; chodźmy.

— A złoto?

— Gdyby to była kasza, lub przynajmniej suchary, wziąłbym; lecz one próżny ciężar, ziębi też...

— Masz słuszność, *allons*.

Zostawili złoto, które się w śnieg potoczyło i poszli. Wieczór był coraz ciemniejszy, wiatr dał coraz silniej, obaj bracia chodząc od ogniska do ogniska, od tłumu do tłumu, odpychani, gnieceni kułakowani, stracili

do szczętu nadzieję pokrzepienia się tyle im potrzebnem ciepłem, a tak chodząc zaszli aż w dawne opłotki wsi i ugrzęźli w śniegu po pas.

— A cóż teraz panie Janie? — zagadnął wąsaty brat Michał.

— Alboż ja wiem, przyjdzie zmarznąć jak innym.

— Fi, brzydka sprawa zmarznąć, gdy się całą hiszpańską kampanią odbyło, Somo-Sierre przeszło. Czy wiesz, jestem mianowany baronem?

— Doprawdy?

— Razem z Chł* i Kl* mam nominacją: sam cesarz własnoręcznie podpisał.

— A toś ty szczęśliwy, mnie tylko dodał kokardę do legii.

— Kiedyż?

— Tam, po tej bitwie — wskazał ręką na wschód; — och biło się; wyobraź sobie, kule sypały się niby grad cały dzień; trzy razy szliśmy na reduty, za czwartą dopiero wzięliśmy. Połowa oficerów zginęła. Cesarz przyjechał, po ramieniu poklepał mnie, i rzekł: — Dzielny jesteś, wszyscy Polacy dzielni, lubię was, dostaniesz legię.

— Sam cesarz! To pięknie, możesz być pewnym awansu, niezawodnie na majora postąpisz zazdroścę ci, szkoda tylko że takie zimno.

— A zimno, wróćmy do wsi, tu śnieg po uszy.

— Przynajmniej grób nie będzie ciężki. Sterta śniegu; zakonserwujemy się do wiosny.

Kopali się w zamieciach, co raz dalej, co raz głębiej, wreszcie braknęło sił, pan Jan został trochę na miejscu, wąsa podgłasnął, wąż był cały szronem i lodem pokryty.

— Ależ to nadaremnie — rzekł wreszcie — do wsi trudno dojść, do ognia trudniej jeszcze; wiesz co?

— Cóż?

— Mam pełną manierkę starej tegiej wódki, mnie się zdaje tu nasz grób, tak los chce, napijmy się na wieczne dobranoc.

— Hm! masz słuszność, dziesięciu już kroków dalej nie zrobię, przyjdzie zdrzemnąć się i zmarznąć. Otóż ci powiem, wczoraj na cesarskiej kuchni zdobyłem piękną rzecz, szynkę, całą szynkę w serwecie. Zabawna facecya! Kucharz w kociołku gotował; ach! pomyślałem sobie — zapach miły dolatywał — gdyby można mieć ten przysmak. Zbliżam się, patrzę, wydobyć z miedziaka niesposób. Myślę, rozważam, przyszedł koncept: — Panie kuchmistru, wyrzekłem, chceszże widzieć jak my, Polacy, przyrządzamy szynki, że spulchnieją i ugotują się w pięć minut? — No jak? pytał ciekawie. — Pozwól niech ci pokażę. — Dobrze. — Naprzód trzeba wyjąć. — To wyjmij. — Wydobywam. A teraz patrz. — Patrzy zawiązują się we dwie serwety, nie w jedną: — Masz tu drugą serwetę? — Jest gdzieś — odwrócił się na lewo by poszukać, ja w prawo w nogi. Zaczął krzyczeć, wrzeszczeć; przytomni gwardjacy zamiast gonić, w śmiech, uciekałem dobrze i uciekłem i szynkę mam.

— Wybornie, lecz gdyby cię złapano, gdyby gwardziści zamiast śmiać się, obowiązek swój pełnili, nie uszedłbyś tuzów a może i kul; rabować cesarza!

— Prawda, grzech, zbrodnie. Pan Bóg przecież dopomógł i nie chciał, abyśmy z pustymi żołądkami poszli na drugi świat.

— Tak, masz słuszność. Co nam prawić, jakim sposobem pozyskałeś twą szynkę, dość, że jest, pomyślmy raczej, jak ją spokojnie zjesz.

I śmiejąc się zziębli i drżący, szukali ochrony przed wichrem i coraz więcej ostrym, więcej przenikliwym.

nagle pan Michał wstąpił na jakiś krązkowaty wzgórek, potoczył się i upadł.

— Bah, cóż to — pomruknał brat Jan — już się do wieczności zabierasz; fi, głupstwo, jeszcześmy szynki nie zjedli.

Dopomógł do powstania upadłemu, dotknął ręką wzgórek, oko radością zabłysło, wykrzyknął:

— A to co! a na honor, drwa czuję, drwa, całą polepę.

Odkrycie nowej ziemskiej półkuli nie mogło tyle ucieszyć Kolumba, jak dwóch braci wynalezienie owej lepianki. Zaczęli ją baczniej obchodzić i odkopywać, a pan Jan zawołał:

— Wyśmienita rzecz, szczęśliwa gwiazda powiodła nas tu, wszakże tu suszarnia konopi. Istotnie była tu suszarnia: piec, jaki w niektórych stronach Litwy, mieszkańcy do międliwa i suszenia lnu i konopi używają. Kлетka kilku łokci kwadratowych w przestrzeni, wyłożona kamieniem i cegłą, z ogniskiem na środku.

Nadzieja chwilowego ocalenia, wróciła choć w części siły i energię oficerom. Wydobył szablę, zaczęli kopać śnieg. Odkryli drzwi do lepianki, weszli do niej.

Pan Michał wykrzyknął radośnie:

— A doprawdy panie bracie, marszałek Ney, co mówię sam cesarz lepiej od nas nie przepędzą noey! A toż to wszystkie wroty, ciasno i nisko, lecz za to ciepłej.

— Patrz, je^ś komin, są drzazgi, ba i lnu pozostało nieco, ogień się łatwiej roznieci. — Dzięki Panu Bogu i Matce Boskiej.

— A Matce Boskiej? a więc tyś nie mason?

— Nie.

— Ja trochę, chciałem poznać, co to jest — hm —

niewiele nauczyłem się. Ależ co nam do tego, rozpalmy ogień. Maszże pistolet?

— Rozumie się.

— Zapal len.

Pan Michał strzelił w stos suchego międliva, zajęło się odrazu, dorzucili szczap i ogień był bujny.

— A to rzecz przewyborna. Ktoby się był spodziewał, że tak przyjemnie noc tę przepędzimy. — Zaczęli się grzać na wszystkie strony, potem zbytnią z siebie odzież zrzucili, pierwszy raz mogli to od opuszczenia Moskwy uczynić; a gdy się ogrzali do woli, apetyt i pragnienie upominały się o swe prawa.

— No, teraz popróbujem szynki cesarskiej.

— A dobrze.

— I napijem się.

— Wybornie.

Jeden wydobył szynkę, drugi manierkę; szynka była dość duża, manierka prawie pełna.

— Będziem mieli bankiet książęcy, niech żyje nie-dbały kucharz cesarski, a za twą wódkę komu podziękować?

— Mnie samemu, albo raczej przypadkowi, co mnie trzy dni temu poprowadził do piwnicy jakiegoś karaima. Wyobraż sobie, był tam cały okseft tego trunku.

— Cały okseft! *Vive l'Empereur*, mogłeś być pić.

— Piłem też, ale i o przyszłości pomyślałem i manierkę napełniłem, nie tak jak szwoleżery króla Hieronima.

— Ach, więc oni byli tam.

— A jakże, gdzież ich nie znalazles. Nieboracy...

— Czemu?

— Pili do niepamięci, rozbili okseft i usnęli w pi-

wnicy, granat Czyczagowa przyszedł, dom zapalił i spalił z mymi szwoleżerami zarazem.

— A ty jakżeś się wy dostał?

— Ja? — O! miałem jakieś przecucie złęgo. Może na dwie minuty wprzód, wyszedłem; do ciebie...

Łyknął z manierki, podał ją bratu, ten łyknął raz, potem drugi, już się do trzeciego zabierał, gdy go wstrzymał pan Michał.

— Słuchaj panie Janie, to nazbyt, tak być nie może, trzeba schować na jutro

— Na jutro? A to na co?

— Na co? czemże się posilim. Do Wilna jeszcze mil piętnaście, trzy dni najmniej maszerować będziemy.

— Doprawdy masz słuszność, ależ taksamo będzie i z szynką.

— Zgoda.

— Podzielimy ją na trzy części, codziennie kęs, lecz dziś zjemy połowę.

— Wybornie, ostatni dzień pościć możemy; w Wilnie już biedy nie będzie; a więc i wódkę na dziś, że to uroczystość naszego cudownego ocalenia, odkrycia tej lepianki, do połowy manierki wypijem.

I pili, i jedli, i grzali się rozprawiając to o tem, to o owem.

* * *

W chwili nadągnięcia do obozu strażniczego korpusu marszałka Ney'a, przy jednym z ognisk na samem wejściu do wioski założonem, grzało się przeszło sto osób. Był to zbior ludzi, niby wzorek całej armii, mieszanina dziwna straszliwa różnych narodów, języków i gatunku

broni. Wszysecy skostniali od zimna, przejęci niem, drżący i głodni.

Na wyścig zaś darli się do ogniska, które podsycone suchymi belkami wieśniaczej, niedawno rozrzuconej chaty, buchało czerwono żółtym płomieniem i gęstymi tumanami dymu.

Najbliżej zaś ognia i w najdogodniejszym miejscu, umieściło się osób trzy, dwóch mężczyzn i jedna kobieta.

Ta kobieta liczyła najwięcej lat dwadzieścia wieku, była piękna, bardzo piękna, lecz odrazu poznałaś, że to nie dziecię północnych stron, lodów i śniegu, lecz innych, miłszych, ciepłych, południa.

Włos jej był kruczej czarności, połyskujący, cienki, jedwabny, oko pełne, czarne, iskrzące — usta świeże, barwne, niby kwiecie sewilskiego granatu — twarz piękna, ponętna, lecz pod tą miłą powłoką, w każdej niebieskawej żyłce na skroni i licach, zdaje się śmierć kraży, ostrym żądłem grozi duszy, cierpkiemu, ziemskiemu bytowi.

I oko też było dziwnego blasku, i uśmiech, co wił się na ustach, a wił się bez przerwy, jakiś straszny, dziki Mimowoli zadrzałaś poglądając na niego. Było w niem niby jakieś szyderstwo, urągowisko zimnu, głodowi, przeznaczeniu nawet; albo raczej nie było w niem urągowiska, nie było szyderstwa, myśli żadnej, tylko ból duszy, tylko nadmiar cierpienia, coś z przyzwyczajenia obłąkanie może — i z tym uśmiechem, z tym wzrokiem jasnym, dzikim, tłoczyła się do ogniska, wyciągała ku niemu blade, suche swe dłonie i grzała się, grzała radośnie, niby nieudolna, bezmyślna dziecina, nieraz nawet głownie ujęła, a gdy ból dokuczył, sparzyła się, odrzucała ją precz. W oku był wtedy podziw jakiś, dąs, lecz zapominała o przykrości wkrótce, i znów się grzała i znów się bawiła...

A tuż przy niej, obwiązany szeroką chustką, drogocennym szalem, w podartym, poszarpanym płaszczu, siedział mężczyzna lat więcej trzydziestu.

Twarz jego blada, widno nie tylko skutkiem głodu i zimna, lecz i fizycznego innego cierpienia. Przekonałeś się o tem przyjrawszy się baczniej, bo na czole młodziana dojrzałeś plamy, skorupę brunatną w strumieniu rozchodzącą się, niby nieobmytą skrzepłą krew, pod futrzaną czapką, którą pokrył głowę, biały płat bandażu wyglądał, a on był już widocznie krwią zboczony, krwią niezbyt nawet dawną.

Młodzian ten rozsiadł się przy ogniu z niedbałą obojętnością na wszystko, jaką spostrzegamy u bardzo cierpiących, skazanych więcej od przeznaczenia, niż od lekarzy, na nieomylny zgon — grzał się nie dlatego, żeby pragnął grzać się, lecz że ożywcze ciepło dochodziło samo — wzrok jego był przygasły, duch upadł równie głęboko, jak ciało było zwątlone. — Strasznie było istotnie poglądać na niego, i dziwiłeś się jak ten człowiek blady i drżący od zimna, głodu i ubytku krwi, mógł życie dotąd przedłużyć, wycierpieć trudy długiego pieszego marszu, przez zamiecie śniegów, o mrozie trzydziestu stopni i więcej.

Tę zagadkę rozwiązałeś przecież, spojrzawszy na trzecią osobą do tej drobnej grupy należąca. Był to żołnierz wysokiego wzrostu, silny, barczysty, długi wąs, w złączeniu z dawno niestrzyżoną brodą, pokrywał jego podbródek, wił się prawie aż na pierś; oko było pochmurne, czoło jedną i drugą nakiereszowane blizną, na barkach dźwigał, on jeden tylko z całego tłumu okrążającego ognisko, nieuszkodzony karabin, ostrym nasróżony bagnetem. Ten bagnet a zarazem i marsowata postać wojaka, imponowały wszystkim. — Gdzie on stał,

nikt się zbliżyć nie ważył, i dlatego i cierpiący młodzieniec, i owa młoda kobieta mieli spokój i ciepło, bo żołnierz ich strzegł, bronił, i gdy jaki śmiałek odepchnąć zachciał, aby do ogniska dostać się, marszczył brwi, zuchwalcowi ostre żelazo do piersi przykładając, opierającego się za kołnierz brał, herkulesowską siłą odtrącał i mówił:

— Ach Pekin, nauczę ja cię rozumu, czy nie widzisz, że to miejsce zajęte? Chce ci się ognia, idź poszukaj dalej, tu wara mości; stary sierżant piętnastej półbrygady egipskiej, nie da igrać ze sobą.

Biedak przerażony i bagnetem i groźnemi słowami żołnierza, mrużąc odchodził. Stary wiarus mało na siebie dając baczenia, zajmował się wyłącznie dwoma towarzyszami niedoli, usadzał ich tak, aby cieplej im było, przybliżał do ognia, opatrywał, nakrywał, niby dziecię piastunka, a poświęcenie owo było wielkie, tem większe że ni młodzian, ni kobieta za te starania i opiekę ni słowem, ni spojrzeniem nawet nie dziękowali. — Młodzian milczał, lub głucho jęczał od czasu do czasu sięgając ręką ku czołu, lub sercu, niby stamtąd szedł jego ból — podwójny, moralny i fizyczny. Ona, bawiła się, śmiała, bez myśli, bez ducha!...

I tak biegł czas, nagle szept wyszedł z piersi młodziana.

— Ach, głodno mi, mam pragnienie.

— Głodno, mam pragnienie — odszepnął wiarus, czoło pochmurzyło się, brwi ściągnęły ku sobie. Nie mam nic — sięgnął w zanadrze: — ostatni pszenney suchar wczoraj oddałem.

Jeść mi się chce, sierżant, jeść daj.

Głos jego był tak przenikliwy, tak ostry, pełen bólu, cierpienia, że biedny wiarus zadrżał, błędne spojrzenie rozpacznie powiódłszy na okrąg.

— Nagle — rozpogodziło się oko i czoło, o kilkanaście kroków dalej, po drugiej stronie ogniska ujrzał mały miedziany kociołek, garstka szczęśliwców gotowała w nim coś.

— Zaraz, mój pułkowniku, w tej chwili będziemy mieli jadło. Sekunda cierpliwości, musimy mieć.

Założył karabin na plecy, rozepchnął tłum, jednego i drugiego w same zarzewie ogniska potrącił — dobiegł do kotła.

— Koledzy, mój pułkownik chce jeść.

— Twój pułkownik? patrzcie go, żartowniś: a nam co do twojego pułkownika.

— Pokażę wam zaraz — silną ręką ujął miedziane naczynie, dźwignął z żaru, chciał z sobą wziąć.

Kilkanaście pięści groźnie wzniosło się — okrzyki powstały.

— A patrzcie, czego mu się chce, naszej kaszy i mąki: wara, strzeż się, daj pokój.

I otoczyli śmiałka — jeden i drugi ciężki raz poniosł. Żołnierz kociołek stawiał na ziemi, kolbę karabinu wznosił, powstała walka, wypadek jej był przecież łatwym do przewidzenia. — Ciężkim karabinem uzbrojony sierżant, miał przewagę. Z dziesięciu właścicieli smacznej potrawy, jeden tylko bez szwanku pozostał. Był to żołnierz równie w lata zabiegły, równie zdający się być silnym jak nasz wiarus, na czole kieresz głęboki, czerwona wstążeczka legii na poszarpanym, błotem i śniegiem powalonym płaszczu.

Gniew gorzał w jego oku pochmurnem, zmarszczki bruzdowały czoło.

— Ha! zdrajco, wykrzyknął, kraść nam kociołek, odbierać strawę: *mortbleu*, nauczę ja ciebie.

Ścisnął pięści w kułak, zabierał się do walki.

Sierżant bacznie zmierzył go okiem, karabinu do odparcia napaści nie wznosił jednak, odskoczył tylko na bok, tak, aby i gotowym był na wszelki przypadek do walki i zabezpieczył kociołek. — Wyrzekł przytem!

— Na biesa, nie myślę się, toś ty, Jakóbie:

Groźny zapaśnik cofnął się także, ręce gotowe do boju opadły, znany głos wyraźnie ucho uderzył:

— A tak, ja Jakób z Abbeville z Prowancyi, starszy sierżant w ósmnastej półbrygadzie strzeleckiej.

— Alboż nie wiem? Poznałem cię odrazu: a ty mnie, Marcina Granata, także z Abbeville, przypominasz sobie?

— Doskonale, tyś mój stryjeczny brat.

— Duszą i ciałem ten sam.

— Razem poszliśmy do wojska, na ochotnika do korpusu Jourdana, w czwartym roku rzeczypospolitej?

— Ma się rozumieć, i biliśmy się we Włoszech a potem...

— Ciebie wysłano do Egiptu, ja zostałem w korpusie Masseny.

Vive l'Empereur! niech żyje nasze spotkanie się, daj rękę...

Uścisnęli się nawzajem, przyjacielsko, serdecznie.

— Nie widzieliśmy się już lat czternaście.

— Z okładem: ostatni raz, gdzie to było?

— Czekał, mnie się zdaje pod Mantua.

— Wzięliśmy Alwinzowego do niewoli.

— Nie, starego Wurmsera.

— A prawda, starego Wurmsera, dzielny człowiek, bił się dobrze.

— Napoleon lubił go, za rękę uścisnął, sam szpadę oddał, i wiesz co rzekł:

— Nie wiem, byłem w asekuracyi armat.

— I ja nie byłem przy tem, ale mi mówiono. Chwat z ciebie generale: choć Austryak, bijesz się nie-źle, manewrowałeś wybornie, masz twą szpadę oddaję ci ją! *Vive la France! Vive la Republique!*

— *Vive l'Empereur!* lecz bądź zdrów.

Zabrał kociołek, chciał odejść:

— Jak to mój bracie? z kociołkiem?

— A ma się rozumieć.

Stary wiarus wąsa na dół podkręcił:

— Nie mogę dać.

— Ja muszę wziąć

— Czemuż?

— Mój pułkownik z głodu umiera, biedak ostatni suchar oddałem mu wczoraj: ciężko raniony, i jego żona chce jeść, i ja też.

— Wiesz co bracie?

— No cóż?

— Dać nie mogę, na szatana nie mogę dać.

— Eh, uparty jesteś, co ci tam kwarta kaszy.

— Bić się więc musim.

— Ha! gdy inaczej nie może być...

— Albo słuchaj, zostań tu, co tam pułkownik, zjemy do spółki. Jestem, mówiłem ci, już sierżantem, biedacy, których roztraciłeś kolbą twego karabina, to reszta moich wiarusów, reszta kompanii. *Mortbleu*, mnie się zdaje, że i batalionu całego, inni, szatan wie gdzie; jedni gryzą śnieg pod Smoleńskiem, drudzy pod Możajskiem, niemało też zachciało spróbować, jak smakuje berezyńska kapiel.

Sierżant wąsa pogłasnął — bez namysłu odparł:

— Zła rzecz, nie zgodzimy się tym sposobem. Pułkownika nie mogę odstąpić; gdybyś go znał, pocziwa dusza! przyłóż do rany, dzielny żołnierz, byłem pod nim w Hiszpanii, do Tarragony pierwszy wszedł, zdobyliśmy;

teraz umiera, ciężko ranny raz nad Berezyną drugi raz przedwczoraj, ratował swą żonę Hiszpankę; — lecz będzie sposób.

— Jakiż?

— Bić się z tobą nie chciałbym, bracia stryjeczni, to niby rodzeni, mała różnica, nadto służyliśmy razem, schodzimy się po czternastu latach, więc tak: ty weź połowę krup, ja drugą, i wilk będzie syty i owca cała.

— Hm! — Jakób zadumał się, głową wstrząsał. — Nie mogę.

— Dobry jednak projekt.

— Dałem słowo moim wiarusom, że bronić ich będę, czyli raczej że będziemy się bronić jeden wszystkich, wszyscy jednego, że nie pozwolimy sobie krzywdy uczynić; kaszy ledwo kwarta, gdybym się z tobą podzielił, cóż nam zostanie? wreszcie byłoby przeciw umowie, ja zaś, nie Pekin, muszę słowa dotrzymać.

— A ma się rozumieć, lecz co czynić? Pułkownik woła jeść. Czy słyszysz?

Istotnie cierpki, bolesny, straszny głos z drugiej strony ogniska rozlegał się:

— Sierżant chleba! Sierżant wody!

Obaj bracia parę chwil popatrzyli na siebie, w duszy żal był, cierpko, niemiło, wstręt do walki w oku widoczny.

Pierwszy nasz wiarus przerwał milezenie:

— No, bracie, strach pomyśleć, ależ zwlekać nie sposób, gdy się obejść bez bitwy nie może.

Wzniesieniem karabina myśli dokończył.

— A tak; lecz wiesz co Marcinie?

— Cóż?

— Ty masz karabin, walka nie równa, bez niego dawno kociołek byłby w naszym ręku. Gdy się mamy

bić, bijmyż się jak poczciwi ludzie, siła na siłę, nie więcej.

— Masz słuszość, złożę karabin, lecz i ty swoim zakaż do walki mieszać się; kto będzie z nas miał górę, kociołek mieć będzie.

— Toż się samo przez się rozumie — wyrzekł Jakób, i do kolegów, którzy po ciężkich razach przyszedłszy nieco do siebie otoczyli ciekawie dwóch braci, zawołał:

— Hola wiara! ja i mój brat, co go tu widzicie, sierżant z piętnastej półbrygady egipskiej, chcemy się sam na sam o jadło rozprawić. Rozumiecie, sam na sam; ten będzie Pekin, głowę mu pierwszy rozplątam, co się nieproszony wmieśza między nas, słyszeliście? Zróbcież, jak chcę...

Zawinał nieco rękawy munduru, silny raz przeciwnikowi poniósł.

Była to walka zacięta, straszna, ledwie trzy minuty trwała przecież; zrazu ciosy leciały jak grad, zwycięstwo było wątpliwem, lecz wreszcie nasz wiarus taki potężny raz stryjecznemu bratu poniósł, że biedny zachwiał się, a chcąc poprawić, posztergnał się o kawał drewna, i potoczył w samo zarzewie, w upadku zaś uderzywszy głową o belkę zakrwawił ją, zranił i opalił żarem.

Przytomni żołnierze głucho jęknęli, jęknął i poczciwy wiarus, przyszedł bratu z pomocą.

— *Mortbleu*, cóż ci?

— Co? — odparł zwalczony głosem cichym i słabym — nic, albo mała rzecz, *Vive l' Empereur!* Pięść twoja silna, tak samo jak kiedyś w Abbeville, zawsze był odemnie zręczniejszy. Ach! krew upływa, głowa boli.

— To przejdzie.

— Bah, przejdzie gdy umrę, bo umrę, wiem nieza-

wodnie, miałem dzisiaj sen, szkoda, że nie mam czasu opowiedzieć ci, strach.

Zwiesił głowę przez ramię brata, drżał i szeptał:

— Ach tak, nie ma rady, umrzeć potrzeba.

— Czekaj, co tam takie smutne myśli, będziesz żył, to tylko mała rana, zadraśnięcie; zaniosę pułkownikowi jadło i przyjdę, może gdzie chirurg znajdzie się.

Ujął nieszczęsny krwią bratnią okupiony kociołek, chciał odejść, umierający wstrzymał go.

— Czekaj, czekaj, zanim zdołasz przyjść, już mnie nie będzie, cios był zanadto silny, rana głęboka, raczej zważaj, o co prosić cię będę.

Zebrał wszystkie siły ducha i ciała, oderwał czerwona wstążeczkę legii od płaszcza, wtłoczył ją w rękę brata — jęczał.

— Ot weź, dał mi sam Berthier, rozumisz mnie, sam Berthier, marszałek, książę Neufchatel, w oczach Napoleona: mówił, cesarz ci daje, dzielny jesteś, zasłużyłeś: to było tam, daleko, pod Wagram...

Siły wyraźnie odstępowały nieszczęśliwego, kilku żołnierzy ratunek chciało dać, opatrywało ranę, odepechnął ich lekko i dodał słabym głosem:

— Dajcie pokój, na co się zda męczyć, alboż wy cyrulicy? *Vive l'Empereur!* Czyż to umrzeć co wielkiego? Ot, niby usnąć, zupełnie toż samo, tylko że pierś gniecie, w oczach dziwny blask, świerkot, łoskot w uchu: umrzeć, ha umrzeć — żal przecie — chodź tu bracie.

— Och, przebacz mój Jakóbie — szeptał umierającemu do ucha pocziwy wiarus.

— Za co, alboż ty winien co? gdyby mnie los był posłużył, tak samo musiałbyś umierać. Słuchaj — porzuć łzy — jęk-ki — żołnierz nie powinien płakać, coby rzekł on — Mały Kapral. — Dałem ci legię, słuchaj więc.

Gdy powrócisz do Abbeville, bo wróc, inaczej zginiesz — od — kuli — zginiesz, odnieś mojej starej matce, żyje, wiem, pisała do mnie, gdy tu szedł — powiedz, że Jakób był chwyt, dobry żołnierz, bił się dobrze — i — i umarł...

Umarł zaś w istocie, prawie nagle, bo gdy Marcin chciał coś odrzec, już on nieżył, ciało skostniało, skrzepło, krew tylko z rany strugą płynęła — broczyła szeroko śnieg przy głowie trupa...

* * *

— Wody, chleba! Sierżant — jeść — umieram.

— Ach tam! on woła.

Biedny wiarus otarł łzę w oku wijącą, nie łzę, ich strumień — zwrócił się do przytomnych:

— Bracia, on był dzielny żołnierz.

— A tak, dobry żołnierz, miał legię.

— Strzeżcież ciała, wrócę za chwilę, sam mu w śniegu wykopię grób, pochowam — jam go zabił — Boże mój, stryjecznego brata...

Dzika rozpacz błyszczała w oku nieszczęśliwego, rozpacz bez granic, straszna, okropna...

— Sierżant gdzie jesteś, niegodziwczę...

Nieszczęsny ujął za kociołek, odbiegł.

* * *

— Ach! ty niedbalcze, tyś zapomniał o mnie, opuścił, mój żołnierz — jęczał pułkownik, błąd niby trup, tylko oko iskrzyło się gniewem i gorączką febryczną.

— Przebac, mój pułkowniku, przebac, zabiłem brata, stryjecznego brata, jego trup jest tam.

Pułkownik nie rozumiał słów nieszczęsnego żołnierza; echiwie, łakomo ujął za kociołek. Parzył on jego ręce, usta, ale pił, pił — nagle wypuścił go przecież z rąk, zadrzał:

— Dla Boga człowieku, co ty robisz, ty jej nie pilnujesz.

Chciał powstać — sił nie było — upadł na dawne miejsce — ale przecież do ogniska toczył się — czułgał.

Wiarus jednym skokiem był przy żarze: piskliwe, przeraźliwe wychodziły stamtąd jęki; młoda kobieta, bawiac się z ogniem, przybliżyła się do niego nazbyt, — pożar zajął sukienkę watową; łachman palić się począł.

Nieszczęsna nie wiedziała, co począć — niby instynktem zwierzęcym, nie rozumem ludzkim, wiedziona, rwała suknię w kęsy; rwąc spaliła sobie białe delikatne ręce i piszczała owym przenikliwym głosem.

Przydusić pożar nie trudno było dla sierżanta — silnem ramieniem lekką kobietę złożył na śniegu, potoczył po nim parę razy — ogień do ostatniej iskierki wygasł, ale ręce bolały jeszcze, czerwone plamy na nich krwisto się malowały.

— Ratuj ją, ratuj! — wołał pułkownik.

Nieszczęsna, nieudolna kobieta, od nieochybnej ocalała śmierci, oglądała bolejące swe ciało, dziwić się ranom zdawała, ale umykała już od ognia, niby dziecię raz świecą sparzone. Wiarus odniósł ją o parę kroków dalej, przy pułkowniku posadził.

— Ona drży, sierżant, chceszz ją zmrozić, zabić — mruzczał ten, otulając bezmyślnie śmiejącą się, ale od mrozu drżącą niewiastę.

Sierżant zrzucił płaszcz z siebie, obwinał nim starannie kobietę, przepasał szalem zdjętym z siebie, sam

drżał, bo został tylko w mundurze, — a mundur podarty był na kęsy — mruczał jednak:

— Ech co tam, zimno mi, prawda, ale Bóg poszczęści, znajdę może jaki gałgan, zdejme płaszcz z którego trupa, w obozie ich mnóstwo, gdzie spojrzysz, wszędzie są.

I stanął przy ognisku o krok od tych, których pielęgnował tak starannie, zwrócił ku nim łzawe rodzicielskiej bacznosci spojrzenie.

Tak zeszło kilka minut. Zrazu pułkownik całkiem był zajęty młodą swą żoną, tulił ją do siebie, obwijał płaszczem podanym, coś po cichu szeptał; powoli jednak gdy silne wrażenie przeszło już, wrócił do dawnej obojętności nieudolnego zaniedbania, — zwierzęcość tylko zmysłów została, — niespokojne oko ku sierżantowi odwrócił, jęczał:

— Mówiłem ci, że chciałem jeść.

Sierżant pobladł — okropne przypomnienie wstrząsnęło całym — spojrzał na ziemię — przy jego nogach właśnie taczał się nieszczęsny kociolatek próżny już. Krwią bratnią pozyskana strawa, przy nagłym, niedawnym poruszeniu pułkownika rozplynęła się strugą po ziemi.

— A jam go zabił, zabiłem dla niej — głucho, rozpacznie wyszeptał.

— Daj mi jeść — wołał pułkownik — i mnie i jej daj jeść, ona głodna też.

— Ach!

Zwrócił się na okrag, żadnej nadziei. Spojrzał przez ognisko, tam trup brata — zaćmiło się w oku — w uchu był dziwny dziki szum omdlenia...

*

*

*

W tej chwili nadeiagnęła tylna straż armii, przez marszałka Neya dowodzona.

— Ustąpić, ustąpić od ognia — zakrzyknęło wrzawą kilkaset głosów zarazem.

Nieszczęśni przy ognisku będący bronić się chcieli, napróżno. Przewyższającą parci siłą, zmuszeni byli w różne strony odstąpić. Kilku upornych lub zbyt słabych, aby odbiedz pospiesznie, pchnięci w ognisko, zostało w nim na wieki, ich popioły przynajmniej.

Sierżant z karabinem na ramieniu, z okiem pełnem łez, obłąkania, w stronę, gdzie leżał trup brata zwróconem; nie słysząc, nie widząc nic, cały tylko straszny myślom oddany, stał przy ognisku jak dawniej.

— Ach Pekin, czy nie słyszałeś rozkazu, od ogniska precz! — wykrzyknął jakiś oficer, silną ręką gwałtownie odpychając żołnierza.

Sierżant się wzdrygnął, niby z głębokiego snu przebudzony nagle, oko rękawem mundura przetarł, spojrzął wokoło siebie, zadrżał; dziwna zmiana, pułkownika nie było, już nie było młodej jego żony — wszędzie żołnierze z karabinami, szablą, lancą, co który mógł dźwignąć.

— Dla Boga, co to jest! — przerażony zawołał.

— To znaczy, żeś już dość ogrzał się, trzeba ustąpić innym, zostawić nam miejsce — śmiejąc się i gniewając zarazem, odparł wspomniany oficer.

W tej chwili dwa okropne, zgrozy, bólu, cierpienia wykrzyki, wśród tłumu jednocześnie zabrzmiały: ratuj! ratuj! — jeden męski, drugi niewieści. Żołnierz poznał je; był to głos pułkownika, głos jego żony. Przedarł się przez tłum, pobiegł na miejsce, skąd wychodziły.

Napastnicy odepchnawszy nieszczęsnych od ognia, odrzucili ich na kilkanaście kroków daleko w śnieg. Niedość

jeszcze na tem; jakiś wąsaty Westfaleczyk odzierał ich z łachmanów, któremi byli pokryci.

Pułkownik chciał bronić się — ale silna dłoń napastnika zwała go na ziemię, w upadku spadła czapka, odwiązał się bandaż przewiązany przez głowę, krew broczyła czoło i twarz poczęła. Ten widok zdał się ocucić jakąś myślą dziwną, straszną natchnąć młodą niewiastę. Z krzykiem gwałtownym, przeraźliwym, piskliwym, stanęła w obronie męża, rzuciła się na napastnika, jej oko dziko błyszczało.

— Ha! Zabić go chcesz! Ha, tyranie okrutniku. zabić go chcesz, zamordować! To ty, o, mam cię — wołała.

Poskoczyła ku Westfalecykowi, przyczepiła się do jego ciała, zębami gryzła, drobną dłonią drapała twarz, ręce.

Niespodziewanym napadem przerażony żołnierz chciał się oswobodzić, przeraźliwie klął, lecz dopiero po kilku chwilach zdołał rozpaczającą niewiastę odepchnąć.

* * *

Gdy nadbiegł sierżant, pułkownik obalony na ziemię głucho jęczał, krew broczyła jego czoło, napastnik stał przed nim na niedawno pozyskanym płaszczu, młoda niewiasta dopiero co odepchnięta, z pałającym okiem, zarumienionem obliczem, zwinawszy drobne dłonie w pięści, do nowej zabierała się walki.

— Zmiłuj się, ratuj ją — wołał pułkownik, któremu niebezpieczeństwo żony gdy nie siły ciała, to przytomność umysłu wróciły — ratuj ją Marcinie!

— Ha, kolego, co ty tu robisz? — groźnie Westfaleczyka zagadnął.

— *Donner und Wetter!* — odparł ten — czy nie widzisz? Umiera, a nie chce mi dać płaszcza. Co mu po nim? A ta szalona kasze mnie, drapie — i ciężki raz nieszczęśliwej poniósł.

Nie miał czasu powtórzyć go przecie, bagnet sierżanta utonął w piersi zuchwalca. Z głuchym jękiem potoczył się na ziemię, twarz się wykrzywiła, usta zsiniały, oko raz dziko zabłysło i zamknęło się, dreszcz wstrząsnął ciałem — i nie żył.

A marszałek Ney z dobytą szablą w ręku na dzielnym rumaku, stał o parę kroków tylko. Widział mord, brwi ściągnęły mu się groźnie, do otaczających siebie żołnierzy i oficerów wykrzyknął:

— Widzieliście, zabił go, jednego z naszych zabił! Ha. zuchwalec, kto on jest? Przywiedźcie go!

Kilkunastu różnej broni żołnierzy otoczyło nieszczęśliwego sierżanta, odebrało mu karabin.

— Kto ty? — pytał groźnie marszałek.

— Dawny wiarus egipski, sierżant piętnastej półbrygady, mój marszałku.

— Zabiłeś mego żołnierza, śmierć ci — zwrócił się do adjutanta, a przynajmniej do oficera na ów raz ten obowiązek pełniącego, wykrzyknął:

— Rozstrzelać go!

Żołnierz czoło pochmurzył.

— Mój marszałku!

— Czego chcesz?

— Tam leży mój pułkownik, kilka kroków stąd ranny umiera, i jego żona także; mnie każ zabić, gdy musi być tak, lecz jego ratuj.

Marszałek nie odparł nic, konia ostrogą wspiał, przez tuman śniegu poskoczył — nie chciał tu zatrzymać się dłużej, bo przy niedalekiem ognisku kilka wy-

strzałów zabrzmiało. Wyraźnie dawniej osiedli bronili przybyszom ciepła i stawy, a on chciał ich widzieć posilonych i zdatnych do nowej walki, do walki jutrzejszej, pojutrzejszej i dalszych.

— Prawdę Jakób powiedział — mrucał obojętnie żołnierz — zginę od kuli, krew za krew, brata zabiłem, to słusznie. Pozwólcie, niech się z pułkownikiem pożegnam.

Do żołnierzy zwrócił się, ci nie wiedzieli co czynić, poglądali po sobie niby nieme zadając pytania. Oficer-adjutant wykrzyknął:

— Eh, co tam marudzić, skoro marszałek kazał, tak być musi. Śmierć za śmierć — gniewne biednemu zwrócił spojrzenie — czy się lękasz śmierci?

— Ja, lękać się śmierci? Wiarus piętnastej półbrygady egipskiej? Tak źle nie jest, zobaczymy, mój komendancie.

— Kto ma nabój? — pytał mało na odpowiedź bacząc oficer.

— Ja — wyrzekł jeden z niemieckich żołnierzy: — Zabił mego krewniaka, słusznie by zginął odemnie.

— Strzelaj więc.

Żołnierz opatrywał panewkę — Sierżant mrucał:

— Zabiłem jego krewniaka, to nie to, inna przyczyna. Zabiłem mego brata, krew za krew, prawdę powiedział, zginę od kuli. Lecz pułkownik, Boże mój!

Niedokończył swych uwag — Westfalczyk do piersi jego lułą karabina przyłożył, pociągnął cyngiel — głuchy łoskot wystrzału zabrzmiał, nieszczęśliwy wiarus upadł krwią zbroczony na ziemię. Wszystko było skończone.

Jednocześnie z wystrzałem, dwa przeraźliwe, okropne, bólu, zgrozy wykrzyki zabrzmiały. Wyszły one z piersi pułkownika i jego żony.

* * *

Dwaj bracia w suszarni jedli, pili grzelię, żartowali, opowiadając stare dzieje swych wojennych wypraw, gdy od zewnętrznej strony drzwi pochodzący jakiś szmer, nagle doszedł ich uszu, chrupot śniegu, głuchy jęk, cichy szept.

Ach! — wyrzekł brat Michał — ktoś wypatrzył naszą kwaterę. Nie dobra rzecz, jak się od natrętników uwolnić, miejsca mało, o szynkę i wódkę strach też.

— Na cóż ich puszczać? ty weź szablę, ja pistolet, bez pardonu, kto drzwi otworzy, bijmy.

— Masz słuszość, czyż to dla nich odkryliśmy suszarnię?

Za nim przecież zdołali wyszukać jeden szabli, drugi pistoletu, ukrytych pod odzieżą, drzwi zaskrzypnęły, tuman śnieżnej kurzawy wichrem popędzony część suszarni zawiał; za tumanem wsunęła się albo raczej upadła, powstać jakaś człowiecza obwiniona szerokim płaszczem żołnierskim.

— Precz albo strzele! — wykrzyknął groźnie brat Michał.

Odpowiedzi nie było.

Zbliżył się, płaszcz odjął, zadrzał.

Niespodziewany ani pożądaný gość był to trup, a przynajmniej człowiek pasujący się ze zgonem, zemdlony, głęboka rana broczyła jego czerep, twarz była blada, ubiór wojskowy, na jednym ramieniu pozostała nawet szlifa pułkownikowska.

Pan Jan zamykał drzwi suszarni, chcąc ją od śniegu wiatrem pędzonego uchronić, Pan Michał głową wstrząsał i mruczał.

— Doprawdy nie myślę się to on.

— Kto on? — zagadnął pan Jan.

— Chodź, zobacz, przypatrz się.

Pan Jan zbliżył się, wzdrygnął trochę.

— A tak, masz słuszość, to Stanisław, nasz brat Stanisław; lecz skąd się tu wziął. Umarł?

Przyłożył rękę do piersi nieszczęśliwego. — Nie umarł jeszcze, serce bije, zemdlał tylko, skostniał od zimna, co z nim zrobić?

— A cóż? trzeba orzeźwić; nakrop ranę wódką, przetrzej nią skronie i wlej kilka kropel w gardło, może przyjdzie do siebie.

Istotnie po owym leku, zemdlony otrzeźwił się, rozpięto jego odzież, przysunięto do ognia.

— Co ci jest?

— Skąd się tu wziąłeś? — były jednoczesne obu braci pytania.

Nieszczęśliwy błędnem okiem potoczył, czy rozeznał dwóch braci trudno było odgadnąć. Szeptał:

— Ach zimno mi, głodno, pić.

— Masz tu wódkę, otrzeźwij się.

Zemdlony manierkę przysunął do bladych ust, pił, pił, przestał wtedy dopiero, gdy blaszanka, do dna wypróżnioną została.

— I cóż lepiej ci teraz panie Stanisławie?

— A tak, lepiej, tylko zimno, tu — wskazał na pierś — ale za to — poniósł ręką do czoła — tam piecze.

— Poznałeś nas?

Chory oko swe powiódł od jednego do drugiego brata, wstrząsał głową — nie, nieznam.

— Toż ja Michał, on Jan, bracia.

— Ach, Michał, ach, Jan — jęczał cierpiący machinalnie powtarzając usłyszane wyrazy — bracia.

Zwiesił głowę na piersi i szeptał.

— Lecz gdzie ona, gdzie Sierżant?

Rękę przyłożył do czoła, niby zbierał rozpierchłe myśli — ach ona — wzdrygnął się — ona tam, a on, zabili go.

Oko dziwnie roziskrzyło, dźwignął się z ziemi, lecz sił nie stało, upadł głucho jęcząc.

— Może chcesz jeść — zagadnął któryś z braci.

Wyraz jeść dziwne wrażenie na nieszczęsnym wywarł, zdawało się, że poprzednie cierpkie dał zobaczyć myśli.

— A, tak, jeść, o jeść, zmiłujcie się; sierżant chce jeść, ona też chce jeść.

Ujął podaną sobie szynkę i z łakomstwem zwierzęcem pożerał ją do ostatniego kawałka.

Brat Michał głową wstrząsnął — otóż ma apetyt, od dawna musiał pościć; ależ panie Janie...

— Cóż?

Jutro naczecz w pochód pójdziemy.

— Ach co tam, aby on żył.

— Ja też o tem nie mówię, weale nie żałuję, wszak on brat rodzony, krew nie woda, aby żył tylko.

Gdy chory zjadł szynkę, zaspokojony apetyt, a co nadewszystko wódka i ciepło rozmarzyły go widocznie, lica zarumieniły się.

— Niezawodnie już ci lepiej.

— A tak, bardzo dobrze.

— Poznajesz nas teraz?

— Trochę, lecz gdzie oni?

— Co tam oni, myśl o sobie naprzód, oni będą tu

zaraz — mruzczał pan Jan — rana nie dolega ci, gdzieś ją dostał.

— Gdzie? niewiem, ale nie boli nic.

— Jesteś znudzony, może prześpisz się.

— Spać, tak, oczy kleją się, tu dobrze i ciepło, o ciepło Fabianno, Fabianno, tu ciepło nieprawdaż?

I uśmiechał się i ustami coś ruszał, niby z kimś rozmawiać chciał, kogoś widział przed sobą, i rękami machał, potem mówił na głos:

— Ach, ty słyszysz, ty mnie widzisz, żyjesz, nieprawdaż? kochasz mnie, kochasz twego męża, tyś nie obłąkana, moja Fabianno.

Dalej był już tylko głuchy szept i uśmiech dziki radosny, mruzczał coś jeszcze i usnął.

* * *

— Czyś ty go rozumiał panie Janie?

— A któżby mógł rozumieć.

— Co mu jest?

— Co ma być, widzisz, głęboka rana przez głowę, potem zimno, potem pragnienie i głód, to wszystko nie posila człowieka, energii nie daje; biedak.

— Cóż?

— Mnie się zdaje, że on nie będzie żył.

— A kto wie, szkoda, dzielny człowiek.

— Tak, pułkownikiem już, choć młodszy dwoma latami od ciebie.

— I ma gwiazdę urzędnika legii, w Hiszpanii bił się dobrze, ale dziwak; czy wiesz czemu dymisyę wziął?

— Bóg to wie, różnie różni mówili, podobno się z Souchetem pokłócił, bo ten niesprawiedliwie aresztował go.

— Doprawdy?

— Było to po wzięciu Tarragony; jeden Francuz co tam był, powiadał mi, nie wiem, czy prawda.

Pan Jan zadumał się trochę.

— Być pułkownikiem i wziąć dymisya, to nie bagatela, trzeba szaleństwa, jeszcze gdy kto nie ma jak on i my majątku.

— Osiadł na wsi niedaleko od Warszawy, wziął jakąś wioskę w dzierżawę, byłem u niego w przechodzie pół dnia.

— A byłeś? Jak cię przyjął?

— To druga historia, dziwak człowiek. Wystaw sobie, wina nie pił, zamyślony, roztargniony ciągle, przyjął nie jak brata, ale jako obcego, zdało się nie był rad z odwiedzin. Nie długo mu też siedziałem na karku, nie miłym ci gościem panie bracie, mniejsza o to, koń przed ganek, ja na konia i *allons* do Warszawy.

— Ależ on był zawsze taki uprzejmy, pocziwy człowiek, dobry brat. Pamiętasz, przecie przed wymarszem do Hiszpanii lubiłeś tracić pieniądze, on ich nie oszczędzał także, a przecież dzielił się z toba, gotów był ostatni kawałek chleba odjąć od ust, aby tobie dać. Cóż mu się stało?

— Bóg wie, zdziwiło mnie też nie mało, pytałem tego i owego. Wyobraź sobie, nikt go nie zna, lub prawie nikt, największe nawet w okolicy plotkarki. Zawitał ten lub ów, przyjął grzecznie lecz chłodnie, że ciekawiec, jak ja, nogi za pas i do powrotu. Nazywano go też odludkiem, dziwne rzeczy rozprowadano.

— Cóż takiego? Ja wiedzieć nie mogłem. Los kłatał to tu, to tam, nawet idąc na tę wojnę nie mogłem być w Warszawie, służyłem w armii północnej Makdonalda, maszerowaliśmy na Gdańsk, Królewiec i Tylża.

— Co mówiono? Powiadam ci dziwne rzeczy — zakochał się.

— Doprawdy?

— Tak, w Hiszpanii, długa historia. Jego kochanka dostała pomieszania zmysłów, ojca jej kazał Souchet w Tarragonie rozstrzelać. Straszna była to wojna, mnie się zdaje, że od niej początek wszystkich naszych kłopotów a raczej kłopotów cesarza; kasować klasztory, męczyć ludzi, prawego króla w czasie pokoju mimo istniejących traktatów do niewoli brać, toż Bogiem a prawdą nie pięknie; Bóg, niech tam mówi co kto chce, jest i nie pardonuje, gdy miarka grzechów dojdzie do wrębów.

— A tak, prawda, masz słuszość i ja byłem w Hiszpanii, służyłem w pułku Konopki. Ho! Bracie, toż wojna nie jak inne, ale jeżeli cesarz źle zrobił, to i u Hiszpanów grzechów nie brak, na wołowej skórze nie spisałbyś, co oni dokazują, ich Gerillasy; lecz co tam o wojnie, powiedz mi, co wiesz o Stanisławie: więc się zakochał?

— I dla kochanki wziął dymisya, osiadł, jak ci wspomniałem, we wsi, zamknął się w swoim folwarku, starym gracie, w którym za wszystkie grzechy nie chciałbym mieszkać, cztery kąty a piec piąty, żył z nią sam tylko.

— Widziałeś, piękna?

— Widzieć nie mogłem, nikt jej nie widział, rzadko kto przynajmniej, nawet z ludzi służebnych, przypadkiem chyba; on tylko z nią był, a i stary wiarus sierżant, którego z Hiszpanii z sobą przywiózł. Z tym zabrałem znajomość, milczał długo, wreszcie opowiedział wszystko, jak ją pułkownik kocha, pielęgnuje starannie, leczy, bo jak ci wspomniałem, od czasu rzezi w Tarragonie cierpiała na pomieszanie zmysłów, i to kompletnie, wszysecy

doktorzy zgodzili się na to, gdyż pułkownik opuściwszy Hiszpanią woził ją po całej Europie, zrujnował się dla niej. Wyobraź sobie, gdym go odwiedził, trzymał dzierżawą mały folwarczek, dwa tysiące rocznie płacił tylko, a jednak w ratach zalegał. Szczęściem znalazł dobrego dziedzica, nie nalegał. Przed pół rokiem, gdy cesarz szedł na tę wojnę, dowiedział się jakimś trafem o nim i zabrał go z sobą. Długo przecie iść nie chciał, korowody robił, — a choć poszedł, nie chciał się z Hiszpanką rozłączyć, wziął ją z sobą, w Moskwie ją jeszcze widziano.

— O niej, to zapewno, zanim usnął mówił.

— Być może.

— Lecz jakim sposobem dostał się do nas, panie-tasz, zemdlony wpadł do suszarni.

— Hm! i mnie to dziwi; ale ogień gasnie, nie masz tam szczap?

— Są jeszcze.

— Dorzuć; wiesz co, spać mi się chce.

— A i mnie.

— Gdyby można godzinkę jedną, lub drugą zdrzemnąć się.

— Nie źle by to było.

— A jeśli się zdrzemniemy i usniemy; któż o nas wie? Armia odmaszeruje, zostaniem w dobrowolnem więzieniu. Jak trafić do swoich?

— Ależ rada byłaby, ot tak naprzykład: ty spij jedną godzinę, ja drugą, na przemiany, niby żołnierze na szyldwachu, jeden drugiego będzie luzował.

— Projekt nie zły, lecz nuż ja usnę a ty mając czuwać, zdrzemniesz się, cóż wtedy. Ja przynajmniej nie ręczę za siebie.

— Bogiem a prawdą, i ja za siebie także nie, w lepszych nawet czasach nie mogłem wstrzymać się od

snu, widząc kogo smacznie zasypiającego, — to niby za-
rażliwa dla mnie choroba — i zresztą co nam spać, gdy
żołądki pełne i wygodna ciepła kwatera? — Słyszałeś
marszałka co powiedział: Jutro chce dać wypoczynek
armii, dwie, lub trzy mile najwięcej maszerować będziem,
pierwsze napotkane miasteczko zajmiemy. Może też los
się zmiłuje, nastarczy podobną do tej gospodę, kromkę
chleba i kieliszek wódki.

— O tak, lub ostrze lancy kozaka Płatowa w pierś.

— To i tak sen nie potrzebny — lecz jak zabić
czas, aby nie usnąć? mnie się oczy mimowolnie kleją.

— I mnie też. Co robić? A słuchaj, wszakże to
sześć lat jak się nie widzieliśmy ze sobą.

— Tak, całe sześć lat, prawda, a znów jak dziwne
spotkanie.

— Na tratwie po wysadzeniu mostu pod Berezyną:
Wiesz co, mało brakło, byłbym cię rzucił do wody; tyle
nas było, że miejsca nie stało, a tratwa coraz więcej się
zanurzała.

— Podobna kubek w kubek była chęć moja. My-
ślałem sobie: trzeba ulżyć ciężaru, jeden mniej na tra-
twie, znaczy coś — chciałem cię popchnąć do wody,
gdy spojrzalem i poznałem. Inna rzecz: brat brata i jeszcze
rodzonego, nie mógł gubić, za to zginął kto inny.

— A tak, ów stary generał, żał mi jeszcze biedaka;
na piersi orderów gdyby nasiał, niby przeczuwając blizką
śmierć ubrał się jak na paradę przed cesarza, nie chciał
bez oznak dostojności pójść na tamten świat.

— I dobrze się stało żeśmy się zesзли, zawsze le-
piej cierpieć we dwoje, jeden drugiemu pomaga: bez cie-
bie przedwczoraj byłbym niezawodnie zmarznął, chęć
do drzemki przychodziła już — a zimno — zimno —
drzę na samo wspomnienie — gwałtem wzięłeś pod pa-

chę — ruch, to najlepsze na zmarznięcie lekarstwo. Rozruszała się krew, zmęczenie wróciło siły.

— Prawda, lecz też i ja tobie życie winienem. Wezbraj gdy nas obskoczyli kozacy, jeden już za kołnierz miał, gdy drugi podniósł szablę, aby głowę rozplatać. W sam czas przyszedłeś na odsiecz. Jeden i drugi poszli precz, ten bez ręki, ów z nadrażaniem czołem.

— Och! obydwaj już nas niepokoić nie będą. Nie żałowałem mej szabli, dzielna stal, nie mało na niej szczerbów, nie mało rozlała krwi, hiszpańskiej szczególnie. Raz ją tylko postradałem, wróciła jednak do dawnego pana, Bogu dzięki — a to gdy się do niewoli dostałem.

— Do niewoli? toś ty był w niewoli?

— A tak, przeszło pół roku: Hiszpanie wzięli, Łotry, nie wręcz, lecz zdradą, trzymali na wyspie na morzu: oj! była to bieda.

— Jakżeś się przecie wydobył.

— Jak? długa historia — przeciągnął się trocha niby odganiając sen — jeżeli chcesz opowiem ci.

— A dobrze, będę słuchał, może nie zasnę.

— Potem ty będziesz mówił, opowiesz mi co z życia swojego, jakie szczególniejsze zdarzenia, tak gadając doczekamy się jutra.

— Wybornie, zacznij więc.

* * *

Chory trzeci brat nie spał.

Twarz jego była blada, oko obłąkane, płonęło dziwnym blaskiem; przy mdłym płomieniu dogasających główni wyglądał niby widmo świeżo powstałe z grobu.

— I jakże ci bracie, zdrowszyś?

— Słuchałem waszych opowiadań.

— I rozumiałeś? Dobry znak. Niedaleko do dnia, trzeba będzie ruszyć w pochód.

— O nie, ja tu zostanę — westchnął chory.

— Cóż znowu, chcesz się dostać do niewoli, w ręce Kozaków.

— Znajdę ochronę w grobie... Umrę za dwie godziny najdalej... Widziałem ją przed chwilą... Mówiła mi o tem.

— Kogo widziałeś? Śmierć?

— Fabianę.

Dwaj bracia spojrzeli po sobie.

— Ma gorączkę, mówi od rzeczy.

Widziałem ją tak wyraźnie, jak was teraz widzę. Muszę ją znać przecież, obłąkaną pielęgnowałem rok przeszło — ona mi wczoraj ocaliła życie. Gdy nadszedł Ney, kazał rozstrzelać sierżanta, eierpiącego, zemdlonego ujęła w swe ręce, ogrzewała, okryła, przyniosła aż tutaj, do was. Sama zaś...

— Wyjdźcie z suszarni, zobaczycie ją przy drzwiach zmarzłą, skostniałą od zimna. Zginęła, chcąc me życie na chwil kilka przedłużyć.

Zwiesił głowę, ręką po czole przecierał i uśmiechnął się sam do siebie, szepejąc jakieś wyrazy; dwaj bracia poglądali domyślnie po sobie, wreszcie brat Jan, rzekł do ucha bratu Michałowi.

Niema rady, umrzeć musi, jak innych tylu i on z głodu i zimna obłąkania dostał.

— Straszna rzecz! jakaż pomoc mu dać?

— Gdyby można donieść choćby do Wilna.

— Ja gotów: trudno będzie, ależ to brat rodzony.

Chory po kilku słowach szeptów z sobą, dźwignął się nieco z ziemi, rękę pana Jana uchwycił.

— Bracie, mam prośbę do ciebie.

— Jeśli zdołam wypełnić, uskutecznię bez ochyby.

— O, będziesz mógł, i do ciebie panie Michale jest także ona, ostatnia zapewne, jaką wam na tej ziemi poniosę. Gdy umrę, bo umrę za parę godzin niezawodnie, wiem o tem, pogrzebcie me ciało razem ze zwłokami tej kobiety o której wam wspomniałem. Wiecie gdzie jej szukać.

— Ależ, mój drogi, porzućże raz te myśli, jesteś chory, nie śmiertelnie jednak, od czego Bóg i szczęście. Może przyjdiesz do zdrowia, do Wilna niezbyt daleko, lekarz znajdzie się. Zobaczysz, jeszcze nie jedną noc strawim z sobą pospołem, i weselej zapewne niż dzisiaj, przy kielichu, przy dobrym ogniu o dzisiejszych kłopotach przyjemnie nam będzie rozpowiadać wtedy.

Pan Michał cieszył, jak umiał, chory uśmiechnął się z niedowiarstwem, i szepnął:

— Ja byłbym rad, Bóg widzi, że rad; lecz los mój rzucony: slyszeście prośbę, dajcież słowo, że cokolwiek stanie się, wypełnicie ją wiernie.

— Kiedy chcesz tak koniecznie, ja, przyrzekam.

— I ja też — wtracił drugi brat.

Chory z wdzięcznością uściskał ręce obojga, rozpo-
godziło się mu czoło, radość w oku błyszczała.

Po kilku chwilach rzekł znowu.

— Opowiadaliście wasze przygody, chcecież moich posłuchać.

— Ja najchętniej mój bracie.

— Dobrze więc, nim dzień przyjdzie i mój zgon, opowiem je wam: wiążą się one z życiem kobiety o której wam wspomniałem, z losem Fabianny.

Mówił przeszło godzinę, jak najwyraźniej i bez obłąkania: opowiedział dwa zdarzenia z wojny hiszpańskiej, cudowne ocalenie swoje w małej wiosce Salto de Lobos i zdobycie Tarragony; w obu tych zdarzeniach

jedna i ta sama kobieta główną rolę grała, zwał ją Fabianną.

* * *

We dwie godziny później, właśnie o wschodzącem słońcu, dwaj bracia grzebali zwłoki trzeciego, tuż przy niedawnej swojej kwaterze, suszarni.

Brat Stanisław bowiem, jak to przepowiedział sobie, umarł w oznaczonym czasie, umarł prawie nagle, bez długich cierpień, konania, w chwili prawie gdy skończył swoje opowiadanie, ostatni zaś jego wyraz był:

— Fabianno, ujrzym się...

Nie grzebali zaś zwłok jednych, lecz dwoje pospołem: znalazłszy na miejscu o którym mówił pułkownik, zwłoki młodej i pięknej kobiety, wywiązali się z słowa danego.

A kiedy tą pracą byli zajęci, cała armia zabierała się do dalszego pochodu, do nowych cierpień i trosk. Jej zwątpienie było jeszcze widoczniejsze, niż dnia wczorajszego, rozpacz i trwoga na każdej twarzy wyraźniejsza; głuchy szmer między tłumem szedł, najdzielniejsze ramie słabiąc, w najdzielniejszym sercu niweczając wszelką ufność, nadzieję.

Ten szmer był...

Cesarz odjechał.

A kiedy cesarz odjechał, zdało się wszystkim, że ich opiekuńczy anioł porzucił, że rozprysła w kęsy ostatka nitka zbawienia.

Oni tyle ufali w szczęsną gwiazdę Napoleona, w ową gwiazdę, która ubogiego korsykańskiego szlachcica, wyniosła na tron najpotężniejszy w świecie — pod Arcole, Marengo, Piramidami, Austerlic, Jeną, Wagram, Ratyżbo-

na, Moskwą i któż z liczy w ilu miejscach innych, do zwycięstwa wiodła jego zastępy.

Nieszczęśni pojąc niemogli, aby ta gwiazda, to słońce dymem gorejącej Moskwy zaćmić się mogło; że niedługi czas był, kiedy zgasnąć miało do szczytu na równinach Waterloo...

* * *

Na dzielnym rumaku, z szablą przyczepioną do prawej ręki, przewodnicząc orszakowi jezdnych z kilku tysięcy ludzi złożonemu, marszałek Ney, zbliżył się do zagrzebujących śniegiem mogiłę braterską dwóch oficerów.

— *Mortbleu*, panowie, co tu robicie, kopiecie śnieg, czy w nim przejścia do Francji szukacie. Zdałoby się nam ono.

Marszałek sam jeden w całej armii, choć ją cesarz porzucił, nie stracił odwagi i nadziei, był tym co zawsze: dzielnym, skorym do obrony i boju, jak każdy Francuz, w biedzie i kłopotach nawet, widział ich śmieszna przedewszystkiem stronę, rad doweipkował.

— Nie panie marszałku, brata grzebiemy — odparł śmiało pan Michał.

— Brata? *mortbleu*, ktoby się spodziewał: Żołnierze francuscy grabarzami. Hola panowie, komu innemu pozostawcie sypanie mogił a sami myślcie, jakby ich się uchronić: silni widzę jesteście, właśnie mamy dwa konie luźne, dosiądźcie ich i *allons en avant!*

— Z największą chęcią, ależ mój marszałku, woli zmarłego, winniśmy zadość uczynić: trup walecznego żołnierza polskiego, nie może bez pogrzebu pozostać. Za życia, wróg go nieśmiał tknąć; niech tak będzie i po śmierci.

Marszałek baczniej popatrzył — uśmiechnął się nieco.

— Ach, to wy, moi K*. niepoznałem was z razu. Mróz tak silny, przytem wiatr bije w oczy śniegiem: wasz brat, jakiż jego stopień?

— Był pułkownikiem w sztabie cesarskim, miał legią urzędnika, bił się w Niemczech i Hiszpanii.

Marszałek zamyślił się, niby czegoś szukał w pamięci:

— Ach tak, wyrzekł nareszcie, przypominam sobie, cesarz lubił go, po bitwie pod małym Jarosławem w buletynie wspomniał zaszczytnie.

Zwrócił się do orszaku:

Hej koledzy, który ma zbyt ni nabój niech strzeli, walecznemu koledze oddajcie na grobie, powinne honory wojskowe.

Kilkanaście pistoletowych wystrzałów zabrzmiało, brat Jan zbliżył się do marszałka, rękę poniósł do czapki i wyrzekł głosem wyraźnie wzruszonym:

— Dzięki ci mój książe, jesteś równie dobry, jak dzielny.

— Ach, co tam, przecież to moja powinność, spodziewam się, że się koledzy za nią na mym grobie odwdzięczą.

* * *

Dwaj bracia dosiedli podanych sobie rumaków, ze łąką w oku pożegnawszy braterską mogiłę.

Wrócili szczęśliwie do ojczyściej ziemi, szczęśliwie przebyli ostatnią olbrzyma zachodu kampanią; lecz czy resztę życia przepędzili szczęśliwie?

Ani pan Jan, ni jego brat Michał, nie dosięgnęli swych życzeń: jeden dosłużył się stopnia pułkownika, drugi nigdy do końca życia nie zamieszkiwał w wiosce, którą by mógł swoją nazywać.

Zginął zaś lat kilka temu, jego mogiły gdybyś chciał szukać, znajdziesz w skwarnych piaskach Afryki, w południowych stronach Algeryi, cieni ją złocista palma o grubej kiści szerokich zielonych liści.

Mały przestwór dzieli więc mogiły dwóch braci!
jedna w stepach Rosyi, druga w stepach Beduinów!

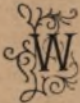
— A moją gdzież los nazaczył?

— Gdzie?

— Bóg by dał, aby na rodzinnej ziemi.

K O N I E C.

RUINY ARQUINO.

 marcu 1811 roku odkomenderowany byłem z moją kompanią do miasta Arquino w Kalabryi *Citeriora secunda* położonego.

Podróźni nazywają Włochy *rajem zamieszkanym przez dyablów*. Podzielam ich zdanie, z dodatkiem, że wiele stron Italii szczególnie też Neapolitańskiego królestwa, nie *rajem* lecz *piekłem* nazwaćby można. Do tych okolic należy bez wątpienia Kalabrya *Citeriora secunda*. Kraj górzysty, skalisty, ponury i dziki. Mieszkańcy jego nie trudnią się ni handlem, ni przemysłem, ni rybołóstwem, ni uprawą roli. Z czego żyją? Bóg wie i oni sami, bo choć nędznie ubrani, nie źle wyglądają. Prawda, że południowemu Włochowi nie wiele do życia potrzeba, gdy ma flaszkę oliwy (tak nasi utrzymywali żołnierze) i trochę murawy w cieniu kasztanowego drzewa, otóż gotowa sałata i wyborna na dzień cały strawa. W niedzielę kupiwszy za pół karolina, (sześć naszych groszy) — makaronów na deser, obładuje niemi żołądek już na cały tydzień, i tak spokojny i szczęśliwy pędzi życie, przeplatając je od czasu do czasu swaćbą, ożenieniem, lub wycieczką w góry, gdzie ma obszerne pole i obdzierać podróżnych i zmieniać naboje z wojskiem, którego od dziecka zaciętym jest wrogiem.

Szczególniej też mieszkańcy Arquino nie żartem pojętnemu bandytów oddawali się rzemiosłu, a nawet po-

dejrzeni byli panu Salicetti*) o związku z sławnym naczelnikiem neapolitańskich rozbójników, *Geronimo Cesari*, i to był powód wysłania nie tylko mojej kompanii, ale całej pół brygady generała Cechio w Kalabryjskie góry. Lecz gdy bandyta, stoczywszy utarczkę z pułkiem strzeleckim majora Alvinzi, cofnął się ku północy w kraje włoskiego królestwa, a obywatele Arquino przestraszeni i porażką jego i naszą bytnością, sprawiali się spokojnie i przykładowie, nie wcale do czynienia nie miałem, co przyzwyczajonemu do łoskotu bitew i gwaru wielkich miast, niemiła i nudną było rzeczą, zwłaszcza, że o towarzystwie jakimśbądź, ani mogłem pomyśleć. Mer miasteczka czytać nawet nie umiał i w sandałach gwardyę obywatelską mustrował. Proboszcz miejscowy bał się Francuzów, jak śmiertelnego grzechu, a dziewczęta i w ogóle wszystkie kobiety, tak były szpetne, stare i nieokrzesane, że pokochać którą byłoby istotnym heroizmem, unikałem też ich starannie, i wołałem czas w kwaterze, lub na placu mustry przepędzać. Lecz kiedy wytepiłem wszystkie tarantule po murach mojego mieszkania w różnych krzyżujących się kierunkach, gdy rozliczyłem po raz setny szyby w oknach i cegły w posadzce, gdy lulka i *cigarette* spaliły podniebienie, gdy nareszcie od deski do deski przeczytałem „Szalonego Orlanda“, który powiedziawszy nawiasem, do reszty mnie znudził, nie wiedziałem całkiem co robić, aż — oto przechadzając się po mieście wzrok mój padł na ruiny starego zameczyska, niegdyś margrabiów Arquino rezydencyi — sterzące na skalistym przyładku, w pół milowem od miasteczka oddaleniu.

Może już po raz setny oko moje spoczęło na tych zaczernionych, rozdartych i rozbitych murach, nigdy prze-

*) Sławnym minister policji neapolitańskiej za króla Joachima.

cież nie miałem chęci przyjrzeć się im zblizka. Tego poranku dopiero ciekawość i nuda do wykrzyknika przywiiodły.

— Wyborna rzecz! zabiję kilka godzin czasu.

Myśl — zabiję kilka godzin czasu — jak Bajronowi podała pióro do skreślenia cudownych poematów Lary i Korsarza, tak dla pospolitych umysłów jest bodźcem do wielu szalonych, lub nierozważnych postępków. Co do mnie, zachęciła mnie ona do zwiedzenia ruin. Przewiesiwszy tedy przez ramiona rusznicę, choć wcale myśliwym nie byłem, wtłoczywszy potężny zraz pieczeni i kilka bułek do kieszeni, uzbrojony i przeciw głodowi, i bandytom, udałem się w podróż.

Droga była utrudzająca, bo ciągle wiodła w wyż skalistej góry, — słońce tak niemiłosiernie piekło, że całe nadbrzeże mogło być służyć podestom weneckim w miejscu ich okrzyczanego ołowianego więzienia, — na granatowej przestrzeni neapolitańskich niebiosów, oko ani jednej nie dojrzało chmurki. Przecież gdy na skrócie drogi zszedłem się z pewnym znajomym *lazzarone* miasta, ten czarne, łyskliwe źrenice potoczywszy naprzód po lazurze niebios, potem po mętnych wód morskich przestworzu, lekko jakby z niezadowoleniem drobną głową skinał, i po wzajemnem powitaniu spytał:

— *Signor* wybrał się na polowanie?

— Nie, *Signor* (we Włoszech są wszystkie *Signorami* jak we Francyi *Messieurs*), chcę tylko ruinom waszego zameczyska przyjrzeć się z blizka.

— Mogęż mu za Cicerone służyć? znam każdą komnatę, każdą salę, wiem z którego czasu i jakiej wojny pamiątką jest, każda kula w murach utkwiona.

— Na inny czas zamawiam sobie pomoc *Signora*. Dzisiaj w ruderach zamku, nie historycznych wspomnień,

lecz spokojnego kąta i nieco chłodu do spoczynku i wytchnienia po nieznośnym upale pragnę poszukać.

— O chłód trudno nie będzie; wątpię przecież, czy *Signor capitano* przyjemny znajdzie spoczynek. Za dwie godziny burza niechybna.

— Co znowu? Niebo bez najlżejszej chmurki, słońce pogodne aż nazbyt.

— Lecz wczorajszy sirocco nieomylną na dzisiaj burzy wskazówka; morze się pieni i wzdyma, wiatr od Messyny, mgła rankiem od strony Neapolu ciągnęła.

— Tem lepiej, odparłem, przyjrzę się z bliska huraganowi włoskiemu. Słyszałem o nim wiele, a niewidziałem go nigdy.

— Będą grzmoty i pioruny.

— *Sono bono catollicco.*

— A więc *Buone di Signore.*

— *Buone di.*

Lazzarone obwinawszy się resztą jedwabnego płaszczyka, może zdobywszy na jakim podróznym *marchese*, postąpił ku miastu krokiem poważnym i dumnym, ja pięć się na nowo po skałach zacząłem. Za kwadrans stanąłem u celu podróży.

Rudera nie miała żadnego szczególnego charakteru, którymby oko wędrowca mogła zwrócić na siebie. Gmach widocznie pochodził z czasów normandzkich baronów, kiedyś na tych brzegach osiadłych, był niekształtnej i ciężkiej budowy, gdzieniegdzie w roztluczonych, rozbitych jego murach, tkwiły jak to wspomniał *lazarone*, kule różnej wielkości, świadczące, że do zniszczenia zamku nietylko czas, lecz i ludzie przyłożyli się znacznie — wewnątrz było całkiem w nieładzie i opustoszeniu, komnaty zarzucone gruzem i śmieciem, okna i drzwi wydarte, mury rozrywane, pootłukiwane, jedna tylko narożna wieża, może

dzięki moey budowy, lub zamieszkaniu przez lazaronów, mniej uszkodzoną była; na ścianach jej komnat błyszczały ostatki złocenia i al freska, dość biegłego pędzla, marmury u drzwi i okien jeszcze niecałkiem były powyrywane lub uszkodzone — nawet posadzka, jakkolwiek wielu tafel iskrzystego *terraccina* pozbawiona, istniała w reszcie dawnej świetności. W jednej z tych komnat znużony upałem i mozolną przechadzką, położyłem się na złamie marmurowej kolumny, i smaczno zasnąłem. Nagłe wstrząśnienie natury, huk grzmotów i szum wichru, obudziły mnie przecież po jakimś czasie.

Burza przez lazarona przewidziana, nadeszła. Huragany włoskie są zwykle tak gwałtowne i silne, jak namiętności w piersi Italiańca kipiące. Biada, kto z niemi śmie wystąpić w szranki, kto im chce hamulec nałożyć.

Cały obszar niebiosów, jak tylko okiem zasięgnąłem, dołałem, pokryty był czarnymi, gęstymi chmur tumanami. Rozrywały je co chwila zygzaczne błyskawice, wichur dał, huczał, świszczwał; pioruny biły z straszliwym łoskotem, bezustanne grzmoty wstrząsały rudera w posadzie. Spojrzałem ku morzu, fale wiły się, piętrzyły, rozbijały jedne o drugie, tłukły, wichrem miotane, o nadbrzeżne skały. Był to okropny widok, chaos, walka żywiołów, walka nieba z morzem, niebo miotowało pioruny, szamotało wichrem, ulewą deszczu groziło, morze, niby zacięty grzesznik pod karzącą Boga prawicą, drgało, kipiowało gniewem — bluźniło pluskiem fal, wzdymało olbrzymiemi bałwanami łono, niby ono rozpeknać chciało, niby plusnąć całą potęgą rozpaczy, zaciętej nienawiści, w oczy, w oblicze przedwiecznej a karzącej Istoty.

Pół godziny w niemem podziwieniu, w pokornej trwodze, przyglądałem się strasznemu owemu chaosowi, zaciętej walce żywiołów, gdy oto oko moje dojrzało na

wzburzonych morza bałwanach punkt jakiś mdły i nieznaczny. Punkt ten wzrastał coraz bardziej, i wkrótce rozeznałem w nim małą łódkę rybacką, wichrem ku brzegowi miotaną. — W jakże okropnym była stanie. Żagiel jej zdarty w tysiące szmat drgał i szamotał się na złupanym maszcie, woda cisnęła się do wnętrza przez wyłamane deski i przez oba brzegi. Przy strzaskanym sterze stały trzy osoby, wszystkie obwinięte w szerokie, sycylijskie płaszcze, i w ogromnych kapeluszach. Widziały przed sobą śmierć pewną i do niej z rezygnacją przygotować się zdały, bo żadna nie sięgła do wiosła, nie zakrzatnęła się wylewaniem wody, żadna nie użyła ostatka steru, aby jaki taki dać barce kierunek. Prawda że to byłoby nadaremna rzeczą, bo rozhukany żywioł silniejszym był nad wszelkie usiłowania ludzkie, lecz nie byłem jeszcze przyzwyczajony do widoku oddania się spokojnego i rozpaczego losowi, cechującego lud włoski, a nadewszystko mieszkańców neapolitańskich nadbrzeży.

Wybiegłem z ruder i krętą drogą z przylądka na wybrzeże wiodącą, zbiegłem nad wylew morski, gatunek zatoki wbiegającej wśród skały. Po kierunku wiatru miarkowałem, że łódka do tego miejsca dobiegnie i niezawodnie o brzeg strzaskać się musi. Chciałem więc, ile możliwości pozwoli, przynieść pomoc nieszczęsnym rozbitkom, jeżeli którego morze na ląd w tę stronę wyrzuci. Jakoż nie omyliłem się w smutnej mojej nadziei. Zaledwo stanąłem na brzegu, łódka dobiegła stromej opoki na pareset łokci zachodzącej w morze, uderzyła o nią szaloną rozkołysaną falą — głucho jękała i w tej chwili zakrzyła się, zwinęła i w drobne deszczuleczki rozprysła. Trzej podróżni pogrążyli się w niezgłębionej mętnych wód otchłani, po kilku sekundach wypłynęli przecież. Straszny był widok ich rozpaczliwego szamotania się

ze zgonem, z huczącymi, szalejącymi bałwanami morza, krew stygła w mych żyłach i oko lżą nabiegło, przyglądając się temu. Lecz jakąż mogłem przynieść pomoc nieszczęsnym? Nie miałem ni liny, ni nawet na doręczdziu tyki, aby im ją rzucić, a tym sposobem nieco ułatwić ratunek — pływać nie umiałem, lecz umiejac, choćbym się rzucił w straszny żywioł, czyż narażając swe życie, mogłem pomyśleć, że ocaleę rozbitków, pokonam fale, tłukące się, wijące, szalejące w podłuż nadbrzeży?

Jeden z trzech nieszczęśliwych, czy to postradawszy siły, czy zdawszy się na wolę Opatrzności, poprzestał walki z falami, a te to raz i drugi pograżały go w bezdennej otchłani, to znowu wywijały na wierzch — znajdował się o sto kroków tylko odemnie i brzegu. Lecz pomimo tego, żadnej dla niego nadziei ocalenia nie było, gdy oto nadbiegł bałwan silniejszy nad inne, niby wątlęm żdźbłem trawy zawinał tonącym, w jednej chwili pogrzebał go w spienionem swem łonie, w drugiej dobiegł brzegu, rozlał się w chmurę ulewnego deszczu, która, jakkolwiek na wywyższeniu stałem opoki, zmoczyła mnie całego, i z nóg zwała — a wtedy po ustąpieniu fali, co znowu jednej chwili było tylko dziełem, ujrzałem zwłoki topielca, tuż obok siebie.

Nie wahałem się ni chwili, z obawy, aby drugi podobny poprzedniemu potok nie uniósł na powrót w otchłań morską rozbitka, objąłem go wpół i szybko ku ruinom zaniósłem.

W komnacie dopiero, która mi niedawno za schronienie służyła, mogłem mu przypatrzeć się dokładniej.

Była to kobieta, a do tego piękna, włoska kobieta. Musicie zaś wiedzieć, że Włoszki, jeżeli nie są szpetne, jak widma Dantego, to cudnych są wdzięków, urocze i wabne, jak Rafaela Madonny.

Jakkolwiek lica mej nieznanomej, trupiej były bła-
dości, jakkolwiek bicia serca nie czułem, nie postradałem
przecież nadziei przywrócenia jej do życia i wszelkich
środków, jakie rozum i doświadczenie wskazywały uży-
łem dla ratunku nieszczęsnej...

Istotnie na piękne lica, po kilku minutach mozolnej
z mej strony pomocy, lekki rumieniec wystąpił — głu-
che westchnienie łabędzią piersią wzruszyło.

— *Dio immortale!* gdzież jestem? — szepnęła —
Matteo! Matteo!

Ten *Matteo* był może jej bratem, kochankiem lub
mężem, może z nią społem znajdował się w łodzi, i w tej
chwili, gdy mu ona czuły wspominek poświęca, on osta-
tnie technienie w walce ze wzburzoną falą oddaje!

Lecz nie — zwiędziony byłem w bolesnem prze-
czuciu — jakby wtór na wykrzyk omdlałej, od drzwi
wehadowych komnaty zabrzmiała, zachrypnięta — ponura,
grobowa, cicha odpowiedź:

— *Jo sono Paolina.*

Zwróciłem się szybko, wyznam, że zadrżałem nieco.
O kilka kroków w oddali, stał Włoch — obraz jego nigdy
nie wyjdzie z mojej pamięci — chudy, wysoki, drzący,
blady, cały deszczem i morską falą przesiąkły, widocznie
jeden z rozbitków.

— Ani kroku postąpić nie mogę, moja noga strza-
skana — szeptał ponuro, zbladł mocniej jeszcze, usiadł
na złamie marmuru, co mi za łoże służył niedawno.

Postąpiłem ku cierpiącemu, podałem flaszkę z wi-
nem, pokrzepiło ono nieco jego wycieńczone siły, podzię-
kował mi skinieniem ręki, i mówił:

— Ratuj ją *Signore*, ratuj, ja wkrótce przyjdę do
siebie.

Lecz gdy chcąc unieść z ziemi, i wlać w usta kilka

kropel wina, objąłem zemdloną na wpeł ramieniem, oczy Włocha zabłyśły, usta konwulsyjnie ścięły się.

— Czekaj *Signore!* ja sam to zrobię — zawołał skwapliwie, podniósł się i „*ach! dolore!*“ wykrzyknął, gdy ból nogi zmusił go do pozostania na miejscu.

Więc to jego żona, pomyślałem, i nie wiem, czemu jakieś bolesne uczucie, może przecucie, ścisnęło serce i całym ciałem wstrząsnęło. Przecież nie opuściłem zemdlonej — ratowałem ją, ile pozwoliła możliwość, a Włoch jęczał i mruczał.

— Jaka burza! co za przekłety czas! *diavolo!* Nie przeżyję tego, wszystko zgubione: *infelice, nulla speranza.* Lepiej było zginąć.

I ścisnął pięści w kłębek, lub bił niemi po chudej piersi, że strach i słuchać było i patrzeć.

Zemdlona przysła wreszcie do zmysłów, drobną, alabastrową dłonią, przetarła czarne, ogniste źrenice — *Gesu Maria!* — szepnęła — gdzież jestem! — spojrzała na okrag; jej oko chwilkę odpoczęło na mnie, potem doścignęło Włocha, i zabłyśło szczęściem i rozkoszą: — *Matteo! Matteo!* Bóg cię więc ocalił, — krzyknęła radośnie, i chciała pobiedz ku towarzyszowi, ale sił brakło.

— Poproś *Signora,* on cię doprowadzi — rzekł wtedy sucho ponury Sycylijczyk.

Oparta na mem ramieniu, postąpiła do męża, ujęła dłoń jego, i gorącemi łzami zrosiła.

— *Poceretta!* — mruczał Włoch; lecz wkrótce, jakby żalując słówka pociechy, rzekł twardo: — Podziękuj najprzód Bogu, a potem temu *Signore,* im winnaś twoje życie.

Młoda kobieta padła na kolana, złożyła ręce, chwilkę modliła się, potem wstała, zwróciła ku mnie piękne swe oko — lica jej nieco zapłoneły, i wyszeptwała:

— *La ringrazio, la ringrazio mi Signore* (dziękuję ci, dziękuję mój panie).

— *Avverite Paolina* (zważaj Paulino), pierś twoją odsłoniła.

Biednej kobiety lica rzeźwy oblał rumieniec, obwinęła się czempredzej w przemokłą mantyllę — jej oko szybko zwróciło się ku Włochowi. Pojęła zapewne z dźwięku owych wyrazów stan jego duszy, a może myśli nawet, bo rzekła z pośpiechem i niejakim przestachem:

— Ty cierpisz *Matteo!*

— *Ach cara!* dopiero dałeś baczenie!

— *Cuor del mio corpo* (serce moje) przebac, głowa jeszcze burzy, tak jestem cierpiąca.

— Ach!

— Cóż ci jest?

Objęła grube męża dłonie w swe toczone palce, przycisnęła naprzód do piersi, potem do serca.

— *Non dovesti usar simili termini meco* (nie powinienes tak się ze mną obchodzić).

Byłem niemym świadkiem całej tej sceny, i serce krwawiło się i wdrygało. — Ona -- to był anioł dobroci i wdzięków. — On — granit — skała — człowiek żelazny, głównia pugiuału, jak nazywają Włosi.

Cierpienia jego wzrosły widocznie, bo jęczał głucho, wskazując na nogę.

— Przeklęte poślizgnięcie na opoce nadbrzeża, wywihniona, napuchła. *Dio!* cóż robić będziemy?

Pozwól, zobaczę, znam się na leczeniu nieco.

Mileząc wyciągnął nogę — rozciąłem sznury sandałów — chciałem odjąć skórzane kamasze — gdy nagle wstrzymując mą rękę, zawołał gwałtownie:

— Nie! nie! sam opatrę.

— Lecz jesteś zbyt słabym!

— Znajdę za chwilę dość siły.

Młoda kobieta schyliła się do ucha cierpiącego i coś w nie z cicha szepnęła.

Rzekł wtedy:

— Ach *Signore!* chciej przebaczyć niegrzeczne zapomnienie; dopiero co upłynione niebezpieczeństwo, słabość, cierpienie, odjęły mi wzgląd na powinność wdzięczności; ocaliłeś życie mej żonie, łaskawie mną się zajmujesz...

— To był mój obowiązek, obowiązek człowieka i chrześcijanina — przerwałem.

Oczy Włocha zabłysły, zajaśniały, wyraźna w nich się malowała radość: — a więc jesteś chrześcijaninem *non Francese* — zawołał.

— *Jo sono Polacco.*

Czoło cierpiącego pochmurzyło się znowu, i znów szept młodej kobiety, — odpowiedział na niego, lekkim wstrząśnięciem głowy.

— Mieszkam niedaleko — wyrzekłem — w bliskim miasteczku Arquino. Jeżeli zechcesz przyśle cyrulika.

— Nie, nie, dziękuję, ból minął, mogę puścić się w podróż, nie jest ona daleką: do bliskiej wioski *Santo Ildefenso*.

Przeszło dwie mile *Signore*, droga przez wzgórza i skały.

— Ach!

Młoda kobieta rzewnie płakać zaczęła — Włocha ból i niespokojność wzrastały widocznie — nagle zdało się, że silne jakieś wziął postanowienie, bo skinieniem nakazawszy żonie milczenie, mówił zwracając się do mnie:

— Nie jesteś Francuzem, jesteś chrześcijaninem, za-wierzyć mogę ci zatem, *jo sono uno povero uomo*, Sycylijczyk, wypłynąłem dzisiejszego rana z żoną, którą wi-

dzisz i jednym przewoźnikiem z Castro Reale, gdzie mieszkam i mały handel prowadzę; płynęliśmy do Santo Gerónimo dla odwiedzenia krewnych Pauliny, wieher lekką barkę uniósł za daleko, wyrzucił na ten brzeg. Nie mamy paszportów, policya aresztować nas może i w więzieniu zatrzymać; sądz zatem, czy nie mam słusznego powodu obawy.

— Wiatr dmie od Lipary — napomknąłem, chcąc dać zrozumieć Włochowi, że kłamstwo jego nie uszło mojej baczności. On zbladł, machinalnie sięgnął w zanadrze, zapewne po ukryty pugińał, młoda kobieta zadrżała, oko jej czarne błysnęło przestrawem, trwoga, ja rzekłem spokojnie:

— Nie jestem *il sbiro*. Mało mnie obchodzi skąd przybywacie i kto jesteście. Jestem żołnierz, *il capitano*. Do mnie należy bić się, nie o paszporta pytać. Postępujemy zatem szczerze i otwarcie *Signore*. Jesteś cierpiący, mogę pomoc ci przynieść. Nie chcesz aby wiedziano o twym pobycie w tych ruinach; daję ci słowo honoru oficera, że cię nie odkryję nikomu.

Paulina rzuciła mi jedno spojrzenie — ale ono najmiłszą byłoby nagrodą nietylko najprostszego czynu, jak ten był, lecz największej ofiary, poświęcenia życia nawet dla niej. Włoch chwilkę wahał się jeszcze, lecz wreszcie podając mi dłoń żyłastą i suchą, wyrzekł:

— Ufam ci *Signore*, nie jesteś *Francese*, to dosyć; *per Dio*, zmiłuj się, opatrz nogę, czuję, że dłużej nie wytrzymam przekłętogo bólu.

Odjąwszy kamasze, dojrzałem pod nimi ubiór gwardyjskich oficerów Króla Ferdynanda, białe sukno i lampas różowy; to była zapewne przyczyna, dla której Włoch wahał się tak długo z opatrzeniem rany.

Chciał coś mówić, rzekłem:

— Wspomniałem panu, że zbirem nie jestem. Jakikolwiek jest twoje nazwisko i stopień, możesz być pewny, że danej obietnicy święcie dochowam.

Młoda kobieta padła na kolana i „*Gesu, Maria*, dziękuję ci“ ze łzami szeptała.

Noga oficera wywichnięta była istotnie — wstawienie jej bez bólu nie mogło się obejść.

— Musisz pan kilka dni przebyć spokojnie, żadnego poruszenia nie robiąc — rzekłem po skończeniu opatrunku.

Włoch załamywał ręce w rozpacz — ach tak — czuję to — przekłeta burza — popadnę nieochybnie w ręce *Francesos* — zabiją mnie — zamordują — *che s'ha da fare? sono il piu infelice*, (co robić — jestem najniezszczęśliwszy z ludzi).

— *Bisogna aver pazienza* (trzeba mieć cierpliwość) odparłem.

Oficer przecież mruzczał:

— Jakiż mój los? Jeżeli nie śmierć z ręki kata, to śmierć głodu okropniejsza jeszcze.

Piękna niewiasta załamywała ręce, rzucając mi spojrzenia rozpacz i prośby — zrozumiałem je i rzekłem:

— Jeżeli zechcesz *Signore* podzielać skromną strawę kolegi, mieszkając niedaleko służyć ci nią mogę i przynieść, bez wzbudzenia czyjej bądź uwagi.

Włoch rzucił mi znowu jedno z swych spojrzeń, jedno z tych spojrzeń przenikliwych, badawczych, które Van Dyck tak biegle umiał przelać z natury w portret Macchiavela — odwrócił je potem ku żonie i po kilku sekundach nieufnego wahania się, wyrzekł:

— *Qua fure signor*, potrzeba jest musem — ach przekłeta noga! — dziękuję ci i przyjmuję ofiarę.

Gdy burza uspokoiła się nieco, opuściłem ruiny.

— W kwaterze czekał na mnie żandarm z następnym rozkazem naczelnika policyi.

— „Komendant załogi Arquina, szczególniejsze będzie dawał baczenie na oficera wojsk sycylijskich *il Conte Matteo di Santa Cruze* — który z tajnymi poleceniami swego dworu do mieszkańców Gaety, ma w tych dniach wylądować na brzegach Kalabryi. Za ujęcie żywcem wspomnianego oficera naznacza się 500 cekinów, lub posunięcie na wyższy stopień; połowę tej sumy otrzyma ten, kto jego głowę przyniesie. — Być może, iż w wycieczce tej, jak w kilku poprzednich, towarzyszyć będzie hrabiemu żona, młoda dwudziestoletnia kobieta“. — Tu następował dokładny obojga rysopis, który całkiem zgadzał się z postacią moich rozbitków — przy końcu zamieszczony był rozkaz ogłoszenia wspomnianego obwieszczenia żołnierzom i mieszkańcom Arquino, a zarazem bezzwłocznego zarządzenia śledztwa w całej okolicy.

Każdy łatwo wyobrazi sobie uczucia, miotające mem sercem po przeczytaniu wspomnianego rozkazu. Chwytać bezbronnych, których znałem schronienie, którym niedawno pomoc przyniosłem i zapewniłem na przyszłość, zdało się występkiem, zbrodnią przeciw honorowi, gdy tymczasem nieuskutecznienie rozkazu zwierzchności, przejmowało trwogą — od młodości bowiem byłem niewolnikiem przyjętych obowiązków, a przyzwyczajenie w naturę się zmieniło — nadto, gdyby porozumienie z ściganymi odkrytem zostało, jakaż okropna przyszłość! mniejsza śmierć — ale hańba, wykluczenie z armii, więzienie!

Przez całą noc nie zmróżyłem oczu.

Nazajutrz — ledwie pierwszy brzask dzionka zaświtał, obładowałem kieszenie żywnością, na jaką zdobyć się mogłem, wsiadłem na konie i pospieszyłem w rudery. W drzwiach wieży napotkałem Włoszkę.

Jakże była piękną! — jak miłą! — patrząc na nią, Madonny Rafaela, anioły Tycyana, nimfy Buonarotiego, nasunęły się szybko wyobraźni, lecz w porównaniu z nią, jak były nieudolne, bezkształtne, nieharmonijne! Paulina ujrzawszy mnie zarumieniła się lekko, podała dłoń — przycisnąłem ją do ust.

— Usnął przed chwilą, całą noc nie spał — szepnęła wskazując drobnym paluszkiem ku drzwiom komnaty.

— Więc cierpi ciągle?

— Mniejsza ból ciała, ale ból duszy!

Drobna łezka zrosiła kryształ jej oka.

— Pani — rzekłem wydobywając zapas żywności — chcecie przyjąć strawę żołnierza?

— Ach! jesteś aniołem stróżem naszym, niech Bóg wynagrodzi twą dobroć.

— Jeszcze rzecz jedna — głos mój drżał jękając te wyrazy — muszę zbudzić jej męża, mam powód ważny.

Nieszczęsna zbladła — okropne przecucie trwoga przeraziło serce.

— *Per Dio!* czemuż? dlaczego?

— Czytaj pani, — podałem rozkaz odebrany wczoraj.

Przeczytawszy oparła się o mur wieży — była blisko zemdlenia i jękała:

— Tak, ukrywać dłużej niesposób: *Conte Matteo*, to on; ja, jego żona.

— Dla Boga! nie trwóż się pani, jeszcze nie jesteście zgubionemi, niech się co chce stanie, ja was muszę ocalić.

— Ach dzięki ci, dzięki! — szepnęła i zanim sprzeciwić się mogłem, ujęła mą dłoń i przycisnęła do ust.

— Co robisz *Signora*?! —

— Ach zbaw go, zbaw! tem mnie ocalisz, nie przeżyłabym jego zgonu, przysięgam ci!

Jakże piękną, silną jej miłość! — pomyślałem, bez zazdrości przecież — są bowiem uczucia, które pięknością i czystością swoją, namiętnościom naszym potrafią hamulec położyć. — Wyrzekłem więc po chwili milczenia:

— Za godzinę będę musiał zrobić przegląd zamku, więc natenczas schronić się musisz. Zauważyłem alkowę, obok komnaty, w której mąż pani spoczywa; drzwi do niej nieznaczone i szczupłe, łatwo ukryć się dadzą. W niej więc cały dzień dzisiejszy przepędzić musicie.

— W Bogu i tobie *Signore*, całą naszą pokładamy ufność.

— Lecz czas ubiega, pozwól pani, że wejdę i obudzę jej męża.

— Chwilkę racz się wstrzymać *Signore*! Pójdę naprzód. Nie chciałabym — dodała rumieniać się znowu — aby wiedział żem z tobą przepędziła sam na sam czas jakiś. On — mnie kocha.

Kocha i jest zazdrosny, — są synonimy dla Włoszki, po stopniu zazdrości oblicza prawdę i siłę uczucie serca kochanka lub męża.

Po kilku minutach wszedłem do komnaty oficera. Był blady i cierpiący — jęczał przeraźliwie, widoczną było przecież rzeczą, iż więcej bolał duszą, aniżeli ciałem.

Pokazałem mu rozkaz, przeczytał z uwagą a odrzucając, zapytał cierpko, ironicznie:

— Jakiż pan stopień wojskowy posiadasz?

— Jestem kapitanem — odrzekłem nie mogąc pojąć co myśli.

A więc winszuję ci szlif podpułkownika. *Poveretto me!* Winienesz być wdzięcznym skale co zgruchotała mi nogę.

— *Signor!* — rzekłem wtedy, a wszystka krew żył gniewem wzburzona, wybiła na lice — jedna tylko choroba i okoliczności w jakich zostajesz wstrzymują mnie od żądania rachunku z słów, które niebacznie wyrzekłeś.

— *Il folle Polacco!* — pomruknął za całą odpowiedź.

Paulina rzuciła mi krótkie jedno spojrzenie, lecz ileż było w niem prośby, boleści, pociechy. Pojąć, schwycić owo spojrzenie, i gniewać się, było niepodobieństwem dla mnie, mówiłem zatem spokojnie, zwracając się ku Włochowi:

— Nie wydać policyi, ale ratować cię, *Signore*, przychodzę. Jeżeli więc ufasz honorowi żołnierza, posłuchaj cierpliwie słów moich. Przegląd zamku skutecznie muszę i to nie spełna w godzinie; ale bądź pewny, że do tej komnaty, a szczególnie do tej alkowy nie wejde. Tam więc schronić się musisz. Będę szczęśliwy, jeżeli postępowanie moje, otwarte i szczere, skłoni cię do odwołania i żałowania cierpkich wyrazów, które przed chwilą wyrzekłeś. Nie chcę ci taić, że ocalając cię, narażam moją sławę a nawet życie, nie dbam przecież o to, bo obietnica którą ci wczoraj dałem i powtórzyłem dzisiaj, świętą jest dla mnie.

Łyskliwe Włocha źrenice przesunęły się odemnie do żony. Nieboga, zadrzała i zbladła. Oficer jękał:

— Ach pojmuję, czuję to dobrze, ile narażasz się dla mnie — dla Pauliny.

— *Matteo! Matteo!* — szepnęła ona błagającym głosem do ucha.

Odepchnął ją lekko i mówił:

— *Signore!* słuszość twej rady podzielam i dziękuję za nią. Tak, w alkowie nierównie bezpieczniejszym

będę. Ale widzisz, nie mam sił do postąpienia. Paulina za słaba, by mi za przewodnika mogła posłużyć.

Włoch był lekki, z łatwością zatem przeniosłem go do małej ciemnej komnaty, może kiedyś za sypialnię lub apteczkę dawnym dziedzicom zamku służącą.

Gdy wychodziłem, młoda kobieta odprowadzić mnie chciała, wstrzymał ją przecież Włoch gniewnem spojrzeniem i skinieniem ręki.

Wracając do miasta między innymi myślałem:

— Piękna, dobra, anioł — jak może tego niegodziwca kochać. Ach, tak, to niegodziwiec, nie wierzy ni w honor, ni w czystość moich postępków. Ale sumienie szepnęło mi zaraz: Lecz czy ty działasz równie czysto, równie cnotliwie, jak sądzisz? Czyliżbyś narażał życie i honor, gdyby jej piękność, jej wdzięki nie otumanily twego serca i głowy?

Sumienie miało słuszność. Czułem, wiedziałem, kochałem ją.

Kochać — zaledwie widząc dwa razy, zaledwie kilka zmieniwszy wyrazów, może dla wielu czytelników szaleństwem się wyda; przyznaję, było to szaleństwo, przecież zwalczyć go nie mogłem. Często serce nasze ulega namiętnościom, które potępiamy pierwsi, za słabi, aby im się oprzeć. Są one jak pienia syren starożytnych, które nosły zgubę, o śmierć narażały słuchaczy, a jednak, któryż, prócz Ulissesa, miał dosyć woli i siły, aby się od nich zasłonieniem uszu ocalić?

Przybywszy do miasteczka, zebrałem kompanię i według instrukcyi zarządziłem śledztwo.

Zacząłem poszukiwanie od ruin zamkowych, lecz do ich przejrzenia kilku tylko przeznaczyłem żołnierzy i to takich, na których rachowałem niedbałość; resztę odkomenderowałem w parowy i wzgórza postronne.

Po kolei wszedłem do komnaty przyległej alkwowie, i po chwilowym przeglądzie, niby obojętnie:

— Nie ma śladu — wyrzekłem.

Jeden z żołnierzy wykrzyknął radośnie — schylił się i podniósł z ziemi drobny złoty weneckiej fabryki łańcuszek — przy nim błyszczał mały medalion, a na nim biegłą ręką artysty skreślony portret Pauliny.

— Musieli tu być, trzeba szukać, może znajdziemy jakie przejście tajemne.

Wyrzekł, i zaczął rozgarniać gruzy zasłaniające drzwi alkwowy.

Gwałtownie ująłem go za rękę, bliskie niebezpieczeństwo podało mi wybieg.

— Czy sądzisz, że przebijali mury, lub się w garści tych gruzów ukryli przed naszą pogonią; biegnij szybko do porucznika i każ mu w moim imieniu czempredzej rozesłać jezdnych po ścieżkach i drogach ku góróm wiodących, może jeszcze nie uszli daleko.

Żołnierz wybiegł, ja z pozostałymi przegląd odbyłem, naturalnie, szperając wszędzie, nie zbliżałem się do drzwi alkwowy.

Rudery przetrzęśliśmy we wszystkich kierunkach; nigdzie ni śladu bytności człowieka. Śledztwo w wąwozach i wśród skał, ma się rozumieć również było bezowocnem.

— A przecież ten łańcuszek oczywistym dowodem, że się w tych miejscach ukrywać musieli — szeptał szczęśliwy żołnierz w powrocie.

— Czyliż koniecznie sycylijski oficer miał go zgubić? Zresztą na medalionie, jak uważylem twarz kobiety, nie mężczyzny. Pokaż go.

Żołnierz podał łańcuszek — przyglądałem się niby obojętnie kilka chwil medalionikowi, i rzekłem:

— Dobra robota; cóż z nim uczynisz?

— Sprzedam, jeśli się kupiec nadarzy.

— Dam ci dziesięć napoleondorów.

Żołnierz zadrzał z radości. — Panie kapitanie, wątpię czy wart tyle.

— Mniejsza o to, co rzekłem dotrzymam; oto masz pieniądze.

Schowałem portret do bocznej kieszeni munduru, był obok serca, biło ono gwałtownie.

Następnego dnia nowe śledztwo, lecz w strony więcej odległe; nie podzielałem go przecież, udając słabego, a istotnie by znaleźć sposobność odwiedzenia ruin i uwolnienia nieszczęśliwych z ich wilgotnego i ciemnego więzienia.

Gdy wszedłem odrzuciwszy gruz, do komnaty, Włoch siedział na płaszczu, w rękę jego błyszczał sztylet, Paulina klęczała w małym oddaleniu.

— Ach to ty *Signore!* rzekł chowając żelazo — słyszałem całą wczorajszą rozmowę w przyległej komnacie i przygotowany byłem na śmierć. Niebaczność mej żony, mogła nas była łatwo zgubić oboje.

— Tak — odparłem nieco jękając się — Pani zostawiłaś przypadkiem w komnacie swój złoty łańcuszek.

— Przypadkiem? — mruknął Włoch ironicznie. Tak gdy była zemdloną, jak mówi, odgniwko się odpięło, zgubiła i nie zważała na to. Lecz zapewne kupiłeś go *Signore?*

Nie mogłem tego uczynić bez zwrócenia uwagi, obudzenia podejrzeń; lecz gdy pragniesz *Signore*, jutro, pojutrze, starać się będę. — Zakończyłem na tem wy-mówki, bo niezwyčajnemu do kłamstwa, nie szło ono snadnie, głos drżał i mimowoli prawdę wyjawiał.

Oficer mruczał chrapliwie.

— Ach! — dziwna rzecz — przecież wierzę ci *Signore!* — chociaż podobny odkup, jak sędzę, nie byłby nie dziwnym, ani, jak mówisz, wzbudzającym podejrzenie. Lecz dosyć tego! — Paulino nie łkaj — myślmymy raczej, jak się uwolnić z tego ciasnego, wilgotnego ukrycia. Dla Włocha a szczególnie Sycylijczyka, brak czystego powietrza i słonecznego światła, już w połowie jest śmiercią, — nie wiem jednakże, czy zamieszkanie poprzedniej komnaty, nie jest niebezpiecznem dla nas?

Moich żołnierzy rozesłałem na dwie stąd mile, wieczorem dopiero powrócą do miasta, wróciwszy zaś, bez mego zezwolenia oddalać się z kwater nie mogą. Tak więc bezpieczni jesteście; jednakże gdy stosownie do instrukcyi codziennie przez jakiś czas strażę rozsyłać winienem, nie możesz, nawet gdy ci zdrowie pozwoli, opuścić przed tygodniem tych ruin.

— *Maledetta!* przeklęty wypadek — *ecco l'ultima mea rovina, bisogna conformarsi al voler di Dio* (otóż okropne nieszczęście, lecz muszę z wolą Bożą zgadzać się).

Przeprowadziłem Włocha do poprzedniej komnaty. Paulina pospieszyła za nami. Spojrzawszy na nią, zadrdzałem. Jej piękne oczy zaczerwieńczyły się od łez, lica chorobliwa powlekła bledość.

Opuściłem ponurego oficera, zbliżyłem się do niej.

— Co to jest? Pani cierpiąca? — wyrzekłem.

— To nie, wczorajsze niebezpieczeństwo, noc niedospana.

Drobna łza wiła się za jedwabiem rzęs pięknego jej oka.

Pojałem powód cierpienia nieszczęsnej: była kochaną jak to wczoraj wyznała, a więc zazdrość okropna, sycylijska zazdrość, krwawie serce, zakłócać jej życie musiała.

Kipiałem cały gniewem i bolałem litością, przeczułem, że jej cierpień ja pierwszym byłem powodem, a przecież gdy opuszczałem ruiny mówiłem :

— Jutro o tej samej godzinie przybyć nie zaniecham. Musicie przebaczyć natręctwo, lecz jakimże sposobem mogę was zaopatrzyć w żywność? Nadto, przyniosę z sobą paletę malarską, będzie to pozór częstych moich w rudery wycieczek.

Włoch nie odrzekł ni słowa, jęknął tylko niby z bólu, Paulina rzuciła mi ukradkiem spojrzenie. — Szalony, wziąłem go za dowód współczucia, za zachętę.

Miłość częstokroć egoistami nas czyni.

Sycylijczyk, gdy mu przy odejściu rękę w znak pożegnania podałem, rzekł punuro:

— I dla siebie i dla pana życzę najmocniej, aby stan zdrowia i okoliczności pozwoliły mi czempnąć te ruiny opuścić.

Spojrzałem ku Paulinie. Milczała, ale jej oko wlepione w moje, szczególniejszym wyrazem błyszczało.

Włoch od razu byłby pojął jej myśli — ale ja czy mogłem lub chciałem odgadywać je, rozumieć?

A przecież tak jasno, tak strasznie napominały mnie, w żarze spojrzenia tak głośno wołały: — Strzeż się go — nie kochaj mnie — on zazdrosny, gniewny, mściwy — on Włoch — Sycylijczyk!

Przez kilka dni następnych w różnym czasie zwiedzałem rudery, oficer wyzdrowiał zupełnie, ale patrole moje ciągle w okolicy krążyły, dłużej może, niż powinno i potrzeba nakazywały.

Drżałem na samą myśl rozłączenia z Pauliną. Kochałem ją bowiem, a to tą miłością gwałtowną, szaloną, namiętą — którą niebo włoskie, duszne Sirocco i upalne słońce, wlewać w serca się zdaje.

Ani jednym przecież wyrazem nie zdradziłem mych uczuć, ani raz sposobności nie znalazłem do osobnej z nią rozmowy. O, wtedy, czuję, nie byłbym panem namietności miotających, rozdzierających serce, nie zdołałbym wstrzymać w głębinie duszy, myśli, kipiącego, wrzącego wyrazu „kocham cię“. Lecz kiedy usta milczeć musiały — z oczu cały szął uczuć przebijał. Niestety! Zrozumiany on był nie tylko przez Paulinę lecz i przez jej zazdrosnego męża.

Ileż razy miotał się na twardem swoim marmurowem łożu, ile razy kłał, niby na ból, a na mnie w istocie, ileż razy wreszcie dłoń jego na rękojeści sztyletu spoczęła, kiedy ogniste spojrzenia topiłem w uroczej kibici, w czarnem oku jego żony, kiedy jaką błahą grzecznością, słówkiem lub usługą ośmieliłem się ją zaczepić!

Wtenczas pojąłem, że największą karą, torturą za zdrości jest zazdrość sama przez się.

Jednego dnia wieczorem rzekłem odchodząc:

— Jutro przyjeżdża pułkownik, dla przeglądu mojej kompanii, nie będę więc miał szczęścia widzieć was, *Signore!*

Oko Włocha badawczo pograżyło się w mojem; odparł po chwili mniej ponurym głosem:

— Do pojutrze zatem *Capitano*, oczekiwać cię z niecierpliwością będziemy.

Lecz za przybyciem do kwatery znalazłem list dowódcy z zawiadomieniem, iż wzmiankowany przyjazd na później odkłada. Miałem więc czas wolny i chciałem z niego korzystać, przeczuwałem bliskie rozłączenie z Pauliną, — jakże zaniedbać sposobności widzenia jej raz jeden więcej?

Nazajutrz o dziesiątej byłem znowu w ruinach, lecz któż opisze me szczęście! — znalazłem ją samą. Siedziała w oknie komnaty, wychodzącem ku morzu, piękną twarz skryła w puchu drobnych rączek, i w głębokiem zdawała się być pogrążona marzeniu.

Na szmer mych kroków, podniosła się szybko: — Ach to ty *Signore!* — szepnęła, i rzeźwy rumieniec powlekł jej lica.

Przycisnąłem w milczeniu drobną dłoń kochanki do spieczonych ust moich — rzekła:

— *Matteo* wyszedł dziś rano dla poszukania łodzi, coby nas do Sycylii przewiozła.

— Z radością zapewne porzucisz pani te strony.

Milczała — ja mówiłem dalej głosem, miotanym szałem rozpacz i cierpienia:

— Czy choć jedno wspomnienie poświęcisz im kiedy?

— *Signore!* — zawołała wtedy, dłoń moją ujmując — posłuchaj słów prawdy, słów serca: tydzień, który spędziłam w tych ruinach, świętym będzie na zawsze pamięci, on mnie pogodził z wiarą w Boga, z wiarą w ludzi, on wrócił duszy dawne złudy dziecka, dawną potęgę nadziei i marzeń. Tak, wyznać ci muszę, nie wiedziałam, nie pojmowałam oddawna, aby enota, jaką nakazuje wiara, jaką wymarzyłam sobie w pięknych dniach młodości mojej, istnieć mogła na tej skalanej samolubnej ziemi: lecz teraz, och! teraz wierzę, wiem, przekonana jestem, że istnieje...

— Tak — mówiła dalej z wzrastającym coraz zapalem — ona istnieje, ona jest, ona tak miła, jak życie dziecińcy, tak czysta, jak jej myśli, tak piękna i potężna jak sam Bóg, ona zabłysła mi w tobie!

— *Signora!*

— Ach! czyliż mogłam mniemać lub wierzyć, aby

się znalazł człowiek, istota, z równem poświęceniem twojemu, z równem wyrzeczeniem się samego siebie! Mniejsza narazić życie dla ocalenia nieznaney, ale być obrońcą wrogów, być ich zbawcą, być Aniołem stróżem, poświęcić im byt swój, życie, honor, ach! to wiele, to wiele.

Chciałem przerwać, mówiła dalej:

— I uwielbiają Włochy, wlewają w duszę, w rozum, w myśli nierozważnej dzieciny samolubne ubóstwienie dla nich, głoszą je, wynoszą pod obłoki, okrywają poklaskami, pochwałami: a czyliż słusznie? czyliż zimne strony północy, kraj lodów, jak go nazywają, nie jaśnieje, nie błyszczy temi cnotami, tymi ludźmi, przed którymi padać na kolana, bić czołem winniśmy? *Signore!* rozstać się musimy, dziś, teraz, po raz ostatni widzimy się; ale bądź pewny, wierz, że twój obraz nigdy z pamięci nie zginie, że twój czyn szlachetny wiecznie w duszy żyć będzie, że nieszczęsnej, cierpiącej, twój wspominek będzie tem, czem dla duszy dzieciny przypomnienie anioła; moje modły, moje łzy całego życia, będą tobie, twojej pomyślności poświęcone; i Bóg ich wysłucha, będziesz szczęśliwy, będziesz, lecz ja!...

Rzewnie płakała.

— *Signora!* cierpisz, nie jesteś szczęśliwą, nie jesteś tyle, ile zasługujesz na to...

— Tak, czemu tać, nie jestem szczęśliwą, w szalonym zaślepieniu, war namiętności wzięłam za duszę, błyskotkę serca za serce, dumę i zazdrość za miłość; ach! zawiniłam, i cierpieć, cierpieć muszę, powinnam, cierpieć będę wiecznie. Znasz go?...

— Czyliż nie ma nadziei?...

— Tam, w niebie, Bóg się ulituje przecież, pożali nieszczęsnej. Lecz dosyć tych żalów — dodała, ocierając łezki strumieniem po bładych licach płynące. — Bóg kie-

lich cierpienia każe do ostatniej resztki wychylić. Pożegnać się musimy, pożegnać na wieki, on może nadejść, a wtedy...

— Pani! — wykrzyknąłem gwałtownie, ujmując silnie jej rękę — ty z nim żyć nie możesz, nie powinnaś. Ach! zawierz mi, zawierz jak bratu, ufaj, moje życie na twoje rozkazy, moje żelazo...

Wyrwała rękę z mej dłoni, o kilka kroków cofnęła się dalej, i zimno, chłodno, z dumną powagą:

— *Signore!* on mój mąż — wyrzekła.

Zadrzałem, czoło ukryłem w dłonie i łkałem boleśnie. Zbliżyła się znowu, znowu dłoń ujęła i mówiła smętnym, ale słodkim głosem:

— O! bądź zdrów, *Signore!* bądź zdrów i szczęśliwy! zobaczymy się kiedyś, tam, w niebie.

Oparła głowę na mem ramieniu, silniej dłonie ścisnęła i rzewnie płakała.

Jej serce biło przy mojem, okrążałem drżącym ramieniem toczoną, wabną jej kibić, chwytąłem woń jej oddechu. — Była to chwila, jakich mało w życiu człowieka, chwila szczęścia, raj, gdy oto:

— *Diavolo!* — rozległ się okrzyk w komnacie — *Maledetta! guai a te* (biada tobie) — giń zdrajczynio!

I nim nieszczęśliwa uchronić się mogła — nim wydobyć szablę w jej obronie zdołałem — już padła zbroczona własną krwią przy moich nogach.

Sztylet Włocha skierował się ku mej piersi — ale ostatni dar konającej matki, mały na srebrnej blasze wyryty wizerunek boskiej dziewicy — wstrzymał cios morderczy.

Szabla moja zabłysła, zadźwiękła — jedna chwila — a mściwy, okrutny Włoch, leżał we krwi strumieniu przy zwłokach nieszczęśliwej żony...

.

Późnym wieczorem do Arquino wróciłem. Pułkownik oczekiwał na mnie w kwaterze — jego czoło zwykle spokojne i łagodne, głębokie fałdy gniewu rozryły, oko się iskrzyło.

Obok niego stał brygadyer Neapolitańskich żandarmów.

— Czytaj pan — wyrzekł mi ponuro, rzucając swój papier na stół.

Był to rozkaz ministra wojny.

— *Il Conte Matteo di Santa Croce* wylądował w ruinach zamku Arquino dnia 14. czerwca, w czasie burzy; ucieczkę jego ułatwił komendant miasta, ma więc być niezwłocznie do Neapolu pod mocną strażą odesłanym i oddanym pod sąd wojenny.

— Cóż pan przytoczysz na swoją obronę?

— Trup wspomnianego sycylijskiego oficera leży w ruderach zamkowych, w górnej komnacie wieży....

Komendant żandarmów wybiegł natychmiast, i niezadługo mógł się o prawdzie słów moich przekonać.

Ja tego jeszcze wieczora w ciężką gorączkę zapadłem i nie przyszedłem do zdrowia, aż w kilka miesięcy.

Różnie i dziwacznie od owego czasu los miotał nawą mego życia, wzdłuż i wszerz przebiegłem Europę całą. Powabne Francuzki, namiętne Hiszpanki, miłosne Niemki, piękne nasze Polki nieraz nęciły, wabiły, otumaniały serce pięknymi słówkami, żarzącymi spojrzeniami, darzyły miłością, a przecież nigdy wspomnienie nieszczęśliwej Włoszki nie wyszło z pamięci, nigdy jej wizerunek nie opuścił piersi i dotąd na nich spoczywa.

BANDYTA.

Mój przyjaciel Jovanne di Ariano w wyśmienitym był humorze, cieszył się i po włosku i po francusku, gdyśmy nad rankiem opuściwszy Benewent, po przykrej, mozolnej i kamienistej drodze, stanęli na szczycie góry *Fusco*, z której baczne jego oko, dojrzało i ruiny starożytnego miasta *Erigento* i szczyty zamku Santo Indelfonso, którego cynowe dachy upalnego czerwcowego słońca promieniami owiane, błyszczały wśród ciemnozielonych drzew oliwnego gaiku, niby całe w płomieniach, niby czarnoksięską laseczką Morgany, w drogi, srebrny przemieniony kruszec.

— Nieprawdaż, że to piękna kraina, *divina Italia!*— mówił do mnie trąc ręce z radości, a oko jego błyszczało i twarz promieniła zadowoleniem wewnętrznem. — Co za cudny widok, jaka harmonia przyrody, błękit niebiosów, piramidy nagich opok, zieleń lasków oliwnych, srebrna wstęga dziecięcia Abruzzów burzliwego *Calove*.

— Szkoda tylko — odparłem, uśmiechnąwszy się lekko — że na lazur niebiosów, ani jedna nie zawita chmurka, coby ochłodziła nieco żar upalnego słońca, że oliwne gaiki za odległe, aby pokrzepiły cieniem, piramidy twych opok strome, niby droga do nieba, a harmonia przyrody utrudziła nas, i konie znojem pokryła.

— Ale, mój kapitanie, jak możesz coś podobnego mówić. Lecz czemu dziwię się! Mieszkaniec zimnych krain

półnoocy, lodowych obszarów Sarmacyi, czyli pojdziesz, czyli zrozumieć potrafisz dziecię Abruzzów, południowego Italiańca? Przyzwyczajony do stepów, na których myśl i oko nie ma na czem odpocząć, alboż wdzięk tych skał, urok tej dzikiej krainy, przemawia do twego serca, do wyobraźni, do duszy? Ach Italio! Italio! Któż cię nie kocha, któż nie powinien cię wielbić w historyi twojej przeszłości i w uroku, którym do dziś, choć wielkość twoja runęła, bohaterzy w mogiłach, dochowałeś przecie.

— Wyborny z ciebie poeta, mój poruczniku — odparłem, śmiejąc się do rozpuku. — Jaka szkoda, że zamiast do szabli, nie wziąłeś się do pióra, mielibyśmy nowego Tassa, Dantego, a przynajmniej Boccaccia. Co do mnie, mój poruczniku! prawdę wyrzekłeś: dziecię równin i lodów, lubię patrzeć na góry, lecz drapać się na nie z utrudzeniem przychodzi, i dlatego po przykrej drodze myślę i sam odpocząć i dać parę godzin odetchnienia kompanii, która potrzebuje tego, jak widzę, bo choć w większej części z twoich rodaków złożona, zmęczona, okryta pyłem drogi i znojem, z trudem wierzchołka góry dosięga.

— Co znowu, kapitanie! Odpocząć, gdyśmy prawie u celu podróży, gdy do Santo Indelfonso małe tylko dwie mile drogi.

— Dwie mile tej górzystej drogi staną za cztery po bitym gościńcu płaszczyzny. Dalej iść nie chcę, nie mogę. Hej! sierżant! Daj rozkaz żołnierzom, niech zsiądą z koni, odkiełznają je, napoją, i przygotowują sobie śniadanie.

Panu porucznikowi rozkaz mój widocznie nie szedł do smaku, bo pochmurzył oko, czoło sfałdował, i zaczął przedstawiać, że w Santo Indelfenso obfite śniadanie przy-

gotowała dziedziczka miejsca Marcheza della Plata, i że niegrzecznie będzie dać jej długo na siebie oczekiwać.

— Przepraszę za spóźnienie, odparłem wesoło, a jeżeli, jak mówisz, czeka nas z śniadaniem, zjemy je za obiad, a nawet razem z obiadem, bo wiesz, że nam, Polakom, jeżeli, matka przyroda poetyckiego poskapiła ducha, to wywdzięczyła się obszernymi żołądkami.

Signor di Ariano, wiedząc że nie lubię rozpraw podkomendnych oficerów, nie nie odpowiedział, ale skrzywił się niby teatralny bajazzo, gdy mu brawa publiczność odmówi, i cofnąwszy się w milczeniu o kilkanaście kroków dalej, rozwinął płaszcz na twardym złamie opoki, rzucił się na niego, zakurzył cigaretto neapolitańskie, i zaczął drzemać, a przynajmniej drzemiącego udawał.

Żołnierze tymczasem przyjąwszy z radosnymi okrzykami mój rozkaz, zeskoczyli z koni co żywo, odkiełznali je, podrzucili siana, podsypali owsa, lance w małe piramidy złożyli, i gorliwie wzięli się do przygotowania śniadania. O mnie też wierny kucharz kompanii nie przepomniął wcale, w mgnieniu oka z szczyt i badyli dzikiego winogrodu ogień nałożył, kociołek nastawił, wrzucił do niego porządny zraz baraniny, podlał wina butelką, dosypał pieprzu, w miejscu soli garść prochu, i miałem potrawę, której Bóg wie jakieby nadać nazwisko, lecz to wiem, że choć przydymiona nieco, przypieprzona nie żartem i na pół surowa, strudzonemu drogą, wygłodzonemu od rana, smakowała wybornie.

Pan porucznik, Signor di Ariano, który chociaż Włoch z urodzenia, nie zły zwykle miewał apetyt, i po ludzku jeść lubił, na brzęk noża i aromatyczny zapach wychodzący z kociołka, podniósł się z twardego swojego posłania, wydobyl świeże cygareto, i niby dla zapalenia go przybliżył się do mnie.

— Dalej kolego, rzekłem wtedy, porzuć daśy, zapomnij o wykwintnem twej Marchezy śniadaniu, i podziel ze mną strawę żołnierza.

Nie dał się długo prosić mój Signor, cigarette schował do kieszeni, i do jedzenia zabrał się. Lecz zaledwo mały kąsek pieczeni przez gardło przepuścić, zachłysnął się, zakaszłał i skrzywił. niby go osa w język uszczy-pnęła.

— *Per Dio immortale!* co to jest, wyrzekł, to truczna, to ogień.

— Pieczeń *alla Pollaca*, odparłem śmiejąc się, trochę pieprzna i nazbyt prochem zatraça, ale zdrowa i smaczna.

— Smaczna! — pomruknał Włoch, — *diavolo!* chyba dla waszych polskich żołądków.

Próżne były moje zachęty, ani chciał drugim uraczyć się kawałkiem — kazałem więc podać kilka bułek w Benewento kupionych, dołożyłem słodkiego wina butelkę, i mój Włoch delectował się niby czem najlepszym, a gdy już tak bułki, jak i mdłe Sogliano w jego żołądku spoczęło, wrócił całkiem do dobrego humoru.

— No jakże, wyrzekłem mu wówczas, nie dobryż był mój pomysł odpoczynku w tem miejscu? pokrzepimy żołądki, koniom wytehnimy, i z dobrymi minami, jak na rycerzy króla Joachima przystoi, odprawimy nasz wjazd do zamku Marchezy.

— Tak zdaje mi się, że miałeś słuszność kapitanie przecież nie wyobrażasz sobie, jak każda chwila zwłoki jest mi przykrą i jak chętnie chciałbym czempredzej stanąć w Santo Indelfenso.

— Dlaczegoż? — spytałem nieco zdziwiony.

— Alboż nie wiesz, że Signora della Plata jest moją narzeczoną?

— Narzeczoną? *per Bacco*, nie wiedziałem o tem, wiem tylko że ją znasz, bo gdys z Neapolu powrócił kilka tygodni temu z jej balu, na Strada di Toledo, całą noc klóciłeś mi uszy jej pięknoscia, rozumem, majątkiem i tym podobnie.

— Nie pojmujesz ile ją kocham.

— Tem lepiej dla ciebie i dla niej, bo jeżeli połączy się chcecie, miłość potrzebna choćby dla uprzyjemnienia pierwszego miodowego miesiąca.

— Lecz nie wiem czy mnie kocha...

— Jakto; jest twoją narzeczoną i wątpisz o jej miłości? *Per Dio!* piękna wasza Italia, lecz dziwaczne zwyczaje. W naszej chłodnej i lodowatej, jak ją zwiesz, Polsce, przynajmniej narzeczeni nie śmia powątpiewać o swoim kochaniu.

— Ależ, bom źle się wyraził Signore. Nie jesteśmy, lecz byliśmy narzeczonymi. Jeżeli chcesz opowiem ci w krótkości rzecz całą.

Że nie wiedziałem, jak zabić czas, przystałem chętnie na ofiarę towarzysza, zapaliłem cygare, on zakurzył swoje, i delektując się mdłym wonnym dymkiem, tak mówił:

— Trzeba ci wiedzieć, mój kapitanie, że z Leonorą di Cintra d'Allbertini, terazniejszą Marcheżą della Plata, jestem przez matkę spokrewniony i w Santo Indelfenso wychowałem się społem; rodzice nasi przyjaźnić się ściśle, przeznaczyli nas na małżonków. Wiedziałem o tem i nie gniewałem się wcale, gdyż daleko było szukać równie wesołej, pięknej i hożej dziewczyny, jak moja Leonora. Że i ona mnie kochała, przekonałem się wkrótce, bo gdy ojciec dla ukończenia nauk wysłał mnie do Collegio Reale w Neapolu, to rzewne łzy wylewała, łamała

ręce i z trudnością wstrzymać ją można było, aby za odjeżdżającym, pieszo nie pobięła.

— Z razu bardzo mi było smutno w Neapolu, ale wkrótce oswoiłem się z nowem położeniem mojem, nauki i zabawy wybiły z głowy pamięć Leonory tak, że choć po dwu latach mogłem być do domu powrócić, przecież tyle prośbami na ojeu wymogłem, że mnie niby dla całkowitego naukowego wykształcenia, jeszcze na rok jeden w starożytnej Partenopie zostawił; w tym czasie przystąpiłem do znanego ci związku. Wtracony do więzienia, wkrótce męstwem mojem zdołałem wyrwać się z rąk przemoccy.

— Podobny dowód odwagi nie mógł podobać się księciu Mondowe, tak sądziłem przynajmniej, i tejsze noce dopadłszy sperati*), co do Liworny płynęła, w trzy dni ujrzałem się w tem mieście. Było ono już obsadzone przez legiony francuskie pod dowództwem generała Masseny zostające. Nie wiedząc, co lepszego uczynić, zaciągnąłem się do nich i służę dotąd, jak wiesz, mój kapitanie. Co do Leonory, ta pocieszyła się wkrótce po mej ucieczce, i doszedłszy lat ośmnastu, poślubiła bogatego starego Marcheza della Plata. Owdowiawszy w zeszłym roku, w Neapolu osiadła, i wtedy miałem sposobność odświeżenia dawnej znajomości. Że ją kocham, o tem nie wątpię, lecz czy ona mnie kocha, oto pytanie, które w Santo Indelfonso rozwiążę, bo przyznam ci się, myślę jej otwarcie miłość swoją oświadczyć i dawne prawa przypomnieć.

Dwa razy tylko zdrzemnąłem się w ciągu opowiadania porucznika, a nie spałem weale, gdy mi wyjawiał

*) Tak się zowią wielkie łodzie włoskie, do nadbrzeżnego handlu przeznaczone.

zamiar poślubienia Marchezy, z serca mu tego życzyłem, bo przyznam się, że go lubiłem, jak mało którego Włocha, bo istotnie różnił się od swych towarzyszy neapolitańskich wojowników, co oczy przywykają na widok nagiej szablicy lub bagnetu, drżą na ich brzęk, a gdy nie mogą uciec, to przynajmniej mdleją, gdy zahuczają armaty. Signor di Ariano przeciwnie, śmiało szedł do ataku, zręcznie lancą robił, a jeśli czasem w bohaterstwie spuścił, to któremuż się to z najdoświadczeńszych nie przytrafi wojowników?

W pół godziny później, gdy już żołnierze i konie odpoczęli nieco, dałem rozkaz do pochodu. Mój towarzysz cieszył się znowu, ścisnął moje ręce, całą drogę gwizdał sonety i urywki z oper *Cimarosi*, a gdy w parę godzin wyjechaliśmy na długą, kasztanami wysadzoną aleję, która do zamku Santo Indelfonso wiodła, radość jego granic nie miała, spinał ostrogami konia, zmuszał go do lansad tak, że i rumak i on, znojem i kurzem pokryci, przed bramą stanęli.

Zamek Santo Indelfonso był, jak wszystkie neapolitańskie zamki, pomnikiem dawnej świetności kraju i bogactw jego mieszkańców. Mury wieżyc, baszt, a nawet przymurków, pokryte były lśniącym marmurem z *Monte Calcone*, obszar korpusu był znaczny, budowle przynależne odpowiedniej wielkości, że wcale nie miałem powodu kłopotać się, gdzie ma kompanią umieszczyć. Starczyłyby dla całego pułku, a nawet brygady. Pan porucznik di Ariano, widząc jak bacznie i z podziwem nawet przyglądałem się ogromowi budowli, poszepnął do ucha:

— A co, Signore, czy w twojej Polsce widziałeś coś podobnego? To książęce mieszkanie, a jak rozległe posiadłości. Najmniej pół mili w obwodzie.

Uśmiechnąłem się na tę uwagę:

— Mój poruczniku! — odparłem — prawda, że dworzec niejednego polskiego szlachcica łącno mógłbyś umieścić w oficynie tegoż pałacu, ależ za to niejednen z waszych Markizatów, a nawet Dukatów (księstw) zginałby jak kropla deszczu w posiadłościach nienajbogatszego nawet z naszych magnatów.

Signor chciał coś odpowiedzieć, ale czasu nie miał, bo główne drzwi zamku otwarły się nagle, i na czele swych kobiet i sług, wyszła na nasze powitanie, dziewczka miejsca Marcheza della Plata.

Była to dwudziestopięcioletnia najwięcej kobieta, jej oko czarne, ogniste — błyszczało, jakby perłą z za gęstych i lśniących rzęs — lica ściągłe, nieco śniade, nie były bez wabu i wdzięku, ależ to była piękność, w której my, Polacy, nie wiele smakujem, my, co w kobietach chcemy widzieć aniołów, a gdy ich jakoś trudno znaleźć, to przynajmniej szukamy czegoś z ich dobroci, łagodności, uroku. W Marchezie tych przymiotów trudno było dopatrzeć. Owszem, za pierwszym rzutem oka poznałeś w niej jedną z tych Rzymianek, które to w czasach surowego Katona nie wahały się pomyśleć o zagubie swych mężów, których nie straszyły tortury, ręka nie drżała trucizną mieszając do nektaru; jedną z tych Włosek — dla których krew jest potrzebą życia, których miłość równie gwałtowna i ognista, jak Wezuwiusz, lecz też równie niebezpieczna, a sztylet częstokroć w parze idzie z całunkiem.

— Och! — pomyślałem sobie — nie zazdroszczę wcale mojemu kochanemu porucznikowi. Będzie miał żonę, od jakiej Boże mnie broń. Gdzież miał rozum, gdzie oczy, gdy ją pokochał. Lecz czemu się dziwię? Natura mądra wie, co czynić, dla Włocha moja pieprzna pieczeń byłaby trucizną, dla mnie jego kochanka; każdy ma swoje coś

własne, co miłe, choć gorzkie. Niech się więc żenia, gdy chcą. Jeżeli ona sięgnie po sztylet, toć i on umie nim władać.

Marcheza przyjęła nas gościnnie, jak rzadko który Włoch lub Włoszka, co zdaje się, w każdym odwiedzającym widzą wroga swojej kieszeni i liczą każdy kasek strawy, co w gardło jego idzie z ich łaski. — Obiad był suty, wina dostatkiem, i nietylko włoskie, mdłe i słodkie ale burgund i szampan, ten ulubiony napój wszystkich bohaterów wielkiego Napoleona i jego sprzymierzeńców.

Przy końcu obiadu, napomknąłem o celu mojego przybycia. — Było nim wytępienie bandy rozbójników w Abruzzach od roku przeszło osiadłych, a na której czele był niejaki Fra-Bartholomeo, ekszierżant króla Ferdynanda, człowiek okrutny i zuchwały, który, gdy cały neapolitański półwysep uległ władzy króla Joachima, on jeden uznać jej nie chciał, nakładał podatki na okoliczne wsie i miasta, opierające się rabował i palił, napadał pomniejsze oddziały wojska, wziętych do niewoli żołnierzy bez miłosierdzia zabijał, toż samo urzędników, a nawet i księży nowemu rządowi przychylnych. Niedawno nawet złupił kasę wojskową, którą z Benowento wieziono do Mirabelli dla pułku Alwinzego. To ocuciło policją, drzemiącą od czasu zgonu ministra Salicetti. Dowódca Benowento generał Bignon dostał rozkaz wysłania jednej kompanii, kompanii ułanów, to jest mojej i batalionu piechoty podpułkownika Melpazzi na obsadzenie gór i wytępienie bandytów. Głównym punktem naszego działania naznaczono zamek Santo Indelfonso, od niego mieliśmy zacząć wyprawę, i ciągnąć w kierunku góry Irpino i miasteczek Bisaccia, Lacedogna i Ascoli, aż ku wielkiemu gościńcowi, co od Neapolu przez Avellino Mirabella i Ca-

vosa do portowego i znanego dla nas królowej Bony kiedyś mieszkania, miasta *Barri* prowadzi.

Gdym wyłożył plan naszego przyszłego działania *Marchezie*, a którego z większą uwagą, niżby się po kobiecie można było spodziewać, słuchała, mój porucznik, *Signor di Ariano*, zrobił uwagę:

— Dziwi mię to, piękna kuzynko, — wyrzekł — żeś dotąd od zuchwałego łotra niepokojoną nie była, zwłaszcza, że już od kwartału w tych górach przebywa, i wszystkie okoliczne wioski i zamki splondrował.

Wdowa odparła, rumieniając się lekko:

— Zapominasz *Signor Jovanne*, że ten zamek, jakkolwiek w ręku kobiety, nie jest bez obrony, nadto oprócz licznej mej służby, wszakże na każde zawołanie, mogę zebrać znaczny oddział wazali. Wyznam ci przecież, że nie ufałam sile, i gdy *Fra Bartholomeo* zażądał okupu, dałam go chętnie, aby tylko uwolnić się od jego natrętnej wizyty.

— I będziesz od niej wolną na zawsze, kuzynko, bez straty nawet jednego karlina — wyrzekł mój grzeczny towarzysz. — Ten pałasz — dodał w rycerskim zapale, uderzając silnie po rękojeści swej szabli — zakładem bezpieczeństwa twojego.

— Ach, — wyrzekła z nietajoną wcale ironią *Marcheza* — wiem, że *Signor Jovanne*, wielki bohater z bezbronnymi zbirami szczególnie, lecz czy nim będzie z *Fra Bartholomeem*, niech mi wolno wątpić. I on też nosi szablę u boku i karabin, z którego, jak mówią, o czterysta kroków celu nie chybi. A że waleczny i nie obawia się wrogów, to w stu walkach przynajmniej dowodnie pokazał.

Biedny mój porucznik, na te słowa kuzynki pobladł widocznie i nie wiedział co odpowiedzieć; przyszedłem

mu w pomoc, nie tak z obowiązku przyjaźni, jak raczej, że wątpliwość w uskromnienie przez nas bandyty, ubodła moją miłość własną jako naczelnika wyprawy — rzekłem więc:

— Signora, jak spostrzegam, nie ufa naszemu męstwu i zbyt wierzy w szczęście rozbójnika, spodziewam się przecież, iż po kilku dniach zmieni swoje zdanie, jeżeli tylko Fra Bartholomeo, jakim pomyslnym trafem dla siebie, nie uchroni się walki.

— Mylisz się Signore! — odparła Włoszka z pośpiechem i niejakim kłopotem. — Jesteś żołnierzem, a więc musisz być męznym, o tem nie wątpię, ani wątpić mogę. Wszakże cały świat winne wam pochwały oddaje. Jednak pozwól sobie powiedzieć, że ani ty, Signore, ani twój oddział, do walki w górach nie jesteście przywykli. Na równinach rzecz inna; dzielnie władając szablą i koniem, możesz być pewnym zwycięstwa, lecz wśród skał, czy ich użyć możesz, jak przynależy? Jako kobieta, nie znam się na wojskowej taktyce, sędzę przecież, że mam nieco słuszności.

Istotnie miała słuszność, czułem to dobrze, lecz jakże wyznać było, że w przyszłej walce z bandytą podrzedną obserwacyjnego korpusu i militarnego kordonu mieliśmy tylko grać rolę, kiedy oczekiwana piechota podpułkownika Melpazzi do istnego działania przeznaczoną była. Wyrzekłem tedy:

— Prawda, że dla mnie i dla mego oddziału, jako kawalerzystów, walka w górach weale nową będzie rzeczą, spodziewam się jednak, że nie trudniejszą od innych. Tyle już zwalczyć musieliśmy przeszkód, że jedna więcej ani nas zdziwi, ani męstwa odbierze...

— I temu daję wiarę, Signor capitano! Kto z drugiego krańca Europy z szablą w rękę aż w nasze strony

się przedarł, słusznie może pochłubić się męstwem i ufać w swe szczęście; dla tego też capitano! wierzę chętnie, że i z przyszej utarczki z bandytą wyjdiesz zwycięsko, zwłaszcza przy pomocy piechoty.

Chwalić piechotę wobec kawalerzysty, nie jestże to rzucać mu obrazę w oczy, urągać dumie i nazbyt wysokiemu może wyobrażeniu o własnej godności. Żywo zatem odparłem:

— Zapominasz, Signora, że kawalerzysta bez obcej jakiej bądź pomocy do zwycięstwa przywykł. Czytałaś zapewno buletyny wielkiej naszej armii i wiesz, że pod Jeną, Wagram i waszej też Italii pod Milessimo, Pawią, Castiglione, Mondovi, zanim piechota wzięła udział w walce już my ją rozstrzygnęli.

— Tak, prawda, lecz przypomnij też sobie kapitanie że działałicie masą i na równinach z nieprzyjacielem, co do połowy wielkiem Napoleona imieniem już był zwalczony, zanim bitwę zaczął. Tu rzecz inna, najprzód góry, potem nioprzyjacieli wcale innego rodzaju, nie o sławę, nie o honor, lecz o życie walczący. Nadto nie staje on do walki, jak bohaterzy austriacy lub prusecy, wręcz, w linii, gotów zadawać, a więcej jeszcze odbierać razy śmiertelne. Lecz wróg chytry, przebiegły, któremu każda ścieżka gór znana, każdy kamień, każda rozpadlina skały, który z tego swojego położenia nie zaniedba zysków pociągnąć; ukryty w gąszczu krzaka, zasłonięty gładem, zada wam mordercze ciosy, zanim będziecie mogli dojrzeć, skąd one wyszły. Wierzaj mi, Signore, walka z bandytą włoskim, niebezpieczniejsza od każdej innej. Ta, do której się gotujesz, Boże daj, aby była pomyślną, przecież nie wątpię o tem, jeżeli oddział piechoty, o którym wspominasz, równie dzielny, jak twoja kompania, jak ty sam Signore!

Wyobraź sobie czytelniku człowieka, który od czter-nastego roku życia, w odmet wojny rzucony, śmiało mógł o sobie powiedzieć, że w czterdziestu walkach, w których miał udział, ani raz nie splamił się tchórzostwem, ani raz nie zadrżał, choć go wróg okolił, choć groził śmiercią, lub straszniejszą od niej niewolą; człowieka, któremu stopień kapitana starej gwardyi i gwiazdę legii honorowej sam Wielki Napoleon nadał, którego znał z nazwiska i swym mężnym nazywał, i wyobraź sobie teraz tego człowieka w obliczu kobiety, której czarne, ogniste oko, każdy wyraz, uśmiech nawet koralowych ust, dożerały do duszy, bodły dumą, szyderstwem, niewiarą, urągowskiem, jego odwadze, jego waleczności. Ach! to było okropnie! — Mężczyźnie setna część podobnej obrazy nie uszłaby bezkarnie, ale kobiecie, co odrzec, jak się pomścić? Wspomnij też, że krew podwójnie w mych żyłach burzyła, skutkiem licznych kielichów wybornego wina, nie będziesz się więc dziwił, żem odrzekł mar-chezie:

— Signora! Nie za kilka dni, jak to obiecywał porucznik, lecz jutro już dowiodę ci, że żołnierz Napoleona jakiegokolwiek broni, śmiało jak na równinie, tak w górach zajrzy w oczy nieprzyjacielowi, choć on równie przebiegły i ufny w swoją zręczność i niedostępne legowisko, jak twój bandyta, eks-mnich, Fra Bartholomeo.

— Jakto Signore! bez pomocy oddziału podpułkownika Melpazzi chcesz wyjść w góry, chcesz stoczyć bitwę z Fra Bartholomeem?

— Tak jest i to jutro, dam ci moje słowo honoru.

Oczy Włoszki dziwnym, nieokreślonym żarem się iskrzyły. Było w nich coś z blasku żrenic kota, gdy na łup czatuje, coś z szyderstwa, który tak biegle Buonarotti nadał, oku szatana, kuszącego Chrystusa. Po kilku chwi-

lach milezenia w których zdało się, że się biła z myślami, jakiś plan układała w głowie, wyrzekła:

— Jakkolwiek wątpię, aby Fra Bartholomeo uni-
kał walki z twoim oddziałem, Signor capitano, przecież,
abyś go długo nie szukał wśród skał i przepaści gór,
mogę ci przewodnikami służyć. Dwóch z moich służących
dzisiejszego rana wracając z Montefalcone, napadnięci przez
oddział bandytów, wprowadzeni byli do obozu ich naczelnika
wśród skał góry Irpino. Przed godziną dopiero wrócili,
mogą ci zatem dokładną dać wiadomość o sile i ukryciu
rozbójników; nadto, jak już wspomniałam, wybornych
w nich przewodników znajdziesz, bo urodzonym wśród
gór. Żadna ścieżka, żadna ich ustronń nie jest obca.

Podziękowałam Włoszce za jej ofiarę i rozmowa
na inny przedmiot się zwróciła.

Wieczorem, gdym do kwatery powrócił, a krew
niewiele ochłodziła, zadrżałam, przypomniawszy sobie nieroz-
ważne przyrzeczenie i przechwałki moje: Jakże bowiem
mogłem się spodziewać, aby kompania jazdy, sto kilku-
nastu ludzi mocna, mogła się mierzyć z licznym oddzia-
łem bandytów, których siła miejscowością, dziesięć-krotnej
przynajmniej nabierała wagi? — Wiedziałem dobrze, że
przeciw rozbójnikom mniej licznym i mniej zuchwałym,
jak towarzysze Fra Bartholomea, całe bataliony i półbry-
gady piechoty nie wystarczały częstokroć. Wszakże nie-
dawno był tego przykład na brygadzie generała Cechio,
która przed Jeronimem Cesari, stu zaledwie ludzi liczą-
cym, cofnąć się ze stratą musiała; nadto, występując do
walki wbrew rozkazu dowódcy, nie brałemże odpowie-
dzialności na siebie? W razie nieudania, nie groziłże mi
sąd wojenny śmiercią lub wykreśleniem z kontroli? —
Ach! to było strasznie! Przecież wahać się nie mogłem
dać słowo honoru, a kiedyż żołnierz był mu niewiernym?

Nazajutrz o świcie, stósownie do mego rozkazu, cała kompania była do pochodu gotowa. Żołnierze, dzięki nie skąpo rozdzielonemu winu i obiecaney sowitej nagrodzie, okazywali wiele chęci do boju. Krętą i skalistą drogą puściliśmy się ku górze Irpino, wybijającej swe nagie szczyty wysoko pod chmury; od czasu do czasu napotykaliliśmy to wieśniaka w łachmanach, to abruzyjskiego pasterza w brudnej opończy, strzegącego gromadki owiec lub kóz, to mnicha z Vico lub Arigento na chudym mule, spieszącego z kwesty do klasztoru; na nasze pytania o bandytach każdy z nich kręcił głową i mruczał:

— Bóg wie, gdzie oni, Signore! *Jo suono uno puoverro homo*, pilnuję mojej trzody lub muła, mało dając baczenia, co się w okrag mnie dzieje, *a bravi* nie napa-
stują nigdy ubogich jak ja, bo wiedzą, że łup na nich zyskany nie wynagrodzi straconego naboju, lub wyszczerbienia sztyletu.

Po dwugodzinnym pochodzie stanęliśmy nareszcie u stóp góry Irpino. Dalej droga niedostępną była dla koni. Aby dosięgnąć miejsca, gdzie, według zeznań przewodników, kryła się banda złoczyńców, trzeba się było drapać po prostopadłych prawie ścianach skał, przebywać głębokie strumienie, albo maszerować po nad brzegami wąwozów, ścieżką wązką i sromą, z której jedno pośliznięcie, albo fałszywy krok, gubiły w przyległej otchłani bez rady; nie sposób przecież było myśleć o odwrocie. Rozkazawszy żołnierzom zsiąść z koni, spędzić je w tabun i zostawić pod strażą kilku szeregowców, odpocząwszy też nieco, puściłem się w góry. — Znam całą Europę, któryż jej nie znał z gwardzistów Napoleona. Topiłem się w błotach Hollandyi, piekłem w pustyniach egipskich i syryjskich, mroziłem w lodach półnoey, ale tak nużącej drogi nie znam, nie odbyłem nigdy, jak w owej wypra-

wie przeciw abruzyjskim bandytom. — Co krok, to była jakaś zawada, tu strumień głęboki i wartki, tam wąwóz, owdzie złam głazu, krzaki berberysu lub dzikiej oliwy, a do tego spiekota słońca — słońca neapolitańskiego, włoskiego, parnego w całym znaczeniu wyrazu, zionącego ogniem!

Wszystkie jednakże już przewalczone zawady niczem były przy tej, jaka się teraz oczom naszym przedstawiła. Aby dojść szczytu Irpino, trzeba było przebyć wąwóz wijący się wśród wzgórze, tworzącego niejako przedpiersie głównej góry. — Najśmielszy z nas zadrżał, gdy stanął u jego czeluścia, wyobraź bowiem sobie czytelniku, dwie ściany skaliste, najeżone złamami obok, pogrzyżdakowane w różnych kierunkach rozpadlinami, trzęsieniem ziemi lub gwałtownością potoków, przy wiosennym roztopie utworzonemi, a w głębi których wiodła ścieżka stroma, porozrywana w wielu miejscach, tuż nad przepaścią potoku, który w głębi na stóp może pięćdziesiąt warczał, burzył, huczał, ze skał na skały, z głazów na głazy zlewając gwałtownie swoich wód potoki.

Wąwóz przecież nie straszylby nas tyle, gdyby nie było obawy, że w nim zasadzili się bandyci, korzystając z położenia miejsca i dowiedziawszy się o naszym pochodzie. Gdyby tak było, wszedłszy w parów, nie byliżbyśmy w nim uwięzieni? Kilku walecznych nie mogłoby wstrzymać naszego pochodu, owszem wytepić wszystkich, bez narażenia się własnego, bez trudności żadnej? — Ta uwagą wiedziony, zebrałem oficerów kompanii na małą radę wojenną. — Ja tylko jeden wraz z porucznikiem di Ariano, więcej dumą niż rozsądkiem wiedzeni, byliśmy za przebyciem wąwozu. Wszyscy inni radzili cofnąć się, lub innego przejścia poszukać, lecz gdy wezwani przewodnicy klęli się, że innej drogi nie znają — istotnie, nie

wiedziałem co czynić. Gdyby szło o narażenie własnego tylko życia, nie wahałbym się ani chwili, ale narażać życie kilkudziesięciu towarzyszy, brać na siebie odpowiedzialność ich za krew — to była za ciężka odpowiedzialność. — Gdym tak wahał się i bił z myślami, przystąpił do mnie podporucznik kompanii, waleczny ziomek z nad Pilicy, Tomasz Kownacki.

— Kapitanie! — rzekł mi — pozwól sobie zrobić uwagę. Naszym przewodnikom źle patrzy z oczu. Zdaje mi się, że to są zdrajcy. Nie sposób, aby góra, na którą wszyscy pobliscy mieszkańcy pędzą swoje trzody, nie miała innego wnijscia, tylko ten wąwóz. Trzecią to już wyprawę przeciw bandytom podzielał, i wiem z doświadczenia, jak mało można ufać wieśniakom, wziętym za przewodników. Są oni albo w związku z łotrami, jak to miało miejsce w wyprawie generała Cechi, albo też nie lepsi od nich, a wiesz, że kruk krukowi oka nie wykole. Chceją więc ich zbadać. Łagodnością na Włochu, jak na dyable, nie nie wskórasz, nie zawadzi trochę pogrozić.

Mimowolnie skierowałem wzrok mój ku dwom wazalom grzecznej Marchezy. Byli to chudzi, wywiedli, ale muskularni abruzyjscy górale. Czarne, niby węgle, ocienione gęstemi rzęsami ich oczy migały złowieszczo. Na bladych licach i żółtem śniadem czole, obrzuconem kudłami szorstkowatych włosów, zygzakowały głębokie fałdy i zmarszczki. Czytałeś w nich wszystkie przymioty południowych Italięńców: chytróść, upór, war namiętności, i dwa lub trzy morderstwa przynajmniej. Takim to ludziom powierzyłem mój los, a co większa, życie kilkudziesięciu dzielnych towarzyszy. Lecz był czas jeszcze do poprawy błędu. Czułem słusność rady podporucznika i zbliżywszy się do wieśniaków, grzmiącym głosem wyrzekłem:

— A więc istotnie nie znacie żadnej innej drogi na szczyt Iripino prócz tego wąwozu?

— *Per Dio immortale e Santa Maria, si Signore!*

— Bracia! — zawołałem do żołnierzy wtedy — nie ma innej rady, musimy kończyć przedsięwziętą wyprawę, Cofnąć się, nie pozwala honor. Cóżby bowiem towarzysze pułku, cała dywizya, a nadewszystko piechota korpusu wyrzekła? Nie byliżbyśmy celem pośmiewiska, uragowiska wszystkich, że próżny, bezzasadny może strach wstrzymał nas od przejścia tego wąwozu, od starcia się z garstką bandytów. Ostrożności czyżby nie położono na karb tchórzostwa? Dalej więc naprzód! Przewodnicy jak dotąd niech nam drogę wskazują. Ale pamiętajcie bracia! Jeżeli w tym parowie, który przebyć mamy, ukrywają się bandyci, jeżeli jakakolwiek z ich strony zasadzkę spostrzeżecie, za nim nabój zmienicie z łotrami, tym dwom naprzód kule w piersiach utopcie.

Głośne „*Allons*“ zabrzmiało w całym oddziale, bojażń pośmiewiska najtrwożliwszym nawet odwagi dodała. Spojrzałem na przewodników, ich blade ogorzałe lica, szatański, dziwny wyraz trwogi, zemsty i rozpacz przybrały. Kilka słów z cicha z sobą zmienili i przybliżyli się ku mnie:

— Signore! — rzekł starszy wiekiem — jesteśmy i *poveri huomi*, wierni słudzy Marchezy. Wszyscy znają nas za poczciwych ludzi, zdrada, widzi Bóg, w naszych sercach nie mieszka; ale czyż możemy zaręczyć, iż bandyci w tym się wąwozie nie kryją, czyż mamy krwią płacić naszą gorliwość, rozkaz pani i chęć służenia tobie? Zmiłuj się Signore! Cofnij twój rozkaz, gdyż izaczej za przewodników służyć ci nie chcemy.

— Nie! To być nie może, słów mych nigdy nie

cofam — odparłem spokojnie — i wy, jak to przyrzekliście, musicie nas doprowadzić do obozu rozbójników.

Porucznik di Ariano, szepnął mi do ucha:

— Ależ chciej zważać kapitanie, że istotnie rozkaz twój dziwny i okrutny. Postępujesz z tymi biednymi ludźmi, jakby istotnie o zdradzie przekonani byli. Znam ich oddawna i za wierność mogę zaręczyć.

— Pozwól mi działać, Signore! Ja chcę, wiem co czynię. Niezadługo przekonasz się, że moje podejrzenie nie jest bezzasadnem. Hola bracia! — dodałem, zwracając się do żołnierzy — nie zapomnijcież mojego rozkazu i w imię Boże, naprzód!

Żołnierze ująwszy za karabiny, uszykowali się do marszu, dwaj przewodnicy po krótkiej naradzie znowu przybliżyli się do mnie.

— Signore Capitano! — rzekł młodszy — zdaje mi się, tak, nieco przypominam sobie, że ponad parowem gildzieś stąd blisko, musi być ścieżka na górę. Jeżeli pozwolisz, wynajdziem ją za chwilę.

Aha! pomyślałem — strach ci wrócił pamięć, i odwracając się do sierżanta, mówiłem:

— Weź czterech ludzi i towarzysz tym dobrym chrześcijanom. Ale jeżeli dojrzysz najmniejszą ochotę do ucieczki z ich strony, nie oszczędzaj wcale, każ dać ognia.

Gdy przewodnicy oddalili się nieco, rzekłem do porucznika:

— Jakże, czy nie miałem słuszności?

— Zdrajcy! — z gniewem wyjąkał.

Po kwadransie wrócił sierżant, a z nim obaj przewodnicy, wynaleźli wzmiankowaną ścieżkę.

Nagła myśl przyszła do mej głowy. Jeżeli w tym parowie ukrywają się istotnie bandyci, nie łatwiejszego, jak zaatakować ich z góry — pomyślałem sobie. Winniśmy

tylko ukryć pochód i odwrócić od niego łotrów uwagę. Stosownie do tego rozdzieliłem kompanię. Dwudziestu żołnierzy zostawiłem przy wejściu do wąwozu, zalecając im gwar i łoskot, i niby przygotowanie do marszu, z resztą w najgłębszem milczeniu puściłem się wskazaną od wieśniaków ścieżką.

Zrazu była ona stromą i przykrą, jak wszystkie poprzednie, lecz coraz rozszerzała się i równała, tak, że niezadługo trzech i czterech żołnierzy w szyku bojowym iść nią mogło bezpiecznie. Wyszędłszy na wierzchołek wzgórza, z radością ujrzałem, że wąwóz, który z dołu niezmiernym wydawał się dla nas, nie miał więcej nad półtora staja w rozległości, tak więc łącno osadzić go mogłem. Szło tylko o przekonanie się, czy istotnie rozbójników ukrywa? Niezadługo nie wątpiłem o tem, bo gdy doczołgał się do wrębu parowu i w jego głębie spojrzałem, poza krzakami dzikiej oliwy, w rozpadliskach skał między rumowiskiem głazów, dojrzałem ponure, ogorzałe twarze bandytów, ich długie karabiny, obnażone za pasem sztylety i szerokie pałasze u boku.

Plan mój był gotowy. Co dziesięć kroków nad brzegiem wąwozu rozstawiłem po jednym żołnierzu; resztę ich osadziłem na zasadzce przy wyjściu. To wszystko nie zabrało i jednego kwadransa. Wtedy na dany znak odemnie, ułani posunęli się na parów, zabrzmiało kilkanaście wystrzałów i kilku bandytów poległo.

Okropnej sceny, jaka wówczas przedstawiła się oku mojemu, niesposób określić. Rozbójnicy w całym znaczeniu tego wyrazu w własne sidła wpadli. Nie oni nas, lecz my ich otoczyli. Wystawieni na strzały żołnierzy, nie mogąc skutecznie odpowiedzieć na nie, ginęli bez rady i najmniejszego sposobu ocalenia, a przynajmniej pomsty. Z okropnymi wykrzykami rozpaczy, z nieokreśloną wście-

kłóscią po wąwozie się rozbiegli. Jedni darli się po spadzistej ścianie przepaści, aby wręcz z nacierającymi zetrzeć się, inni dobiegli obu krańców parowu, aby ucieczką życie ocalić; lecz ni jednym ni drugim zamiar się nie udał, wdzierających się po skałach, łatwo, dobrze wymierzone strzały do cofnięcia zmusiły, uciekających, na zasadzce postawieni ułani, rozgromili łącno. Pięć minut prawie — wrzawa, przekleństwa, bezsilne wykrzyki rozpacz, jęki rannych i umierających i huk strzałów, rozlegały się w okropnem zjednoczeniu, w głębinie parowu, gdy nagle wybiegł z kryjówki jakiś w czarnym kaftanie, ogromnym kapeluszu, z karabinem w dłoni, smagły i młody bandyta. Nigdy obraz jego nie wyjdzie z mojej pamięci. Nie miał nad lat trzydzieści. Jego lica ogorzałe nie były bez wdzięku, owszem pięknemi nazwać by je można. Czarny włos rozwiewał niedbale na szerokie ramiona, oko dumne, wielkie, błyszczało w tej chwili rozpaczą, szaleństwem gniewu, bezsilną chęcią zemsty. Stał na wyniosłym głązie, sterczącym tuż nad przepaścią potoku, dłonie zwinął w kłębek, jakby grożąc nam i niedbając na strzały moich żołnierzy, niedbając, że kilka kul świsło nad jego głową. Dał znak silnem świeśnięciem towarzyszom, grzmiącym głosem wymówił kilka wyrazów, których przecież dosłyszeć nie mogłem, i prawie w tej samej chwili cała banda, pomimo świeżej straty, jeszcze do czterdziestu ludzi mocna, zaniechawszy nadaremnych usiłowań wydobyć się z wąwozu, rozbiegła wzdłuż jego i pod zasłoną zwalonych głązów, roztrzaskanych skał, i w głębinie rozpadlin, zniknęła.

Pojałem odrazu zamiar rozbójników, chcieli zapewne w bezpiecznych kryjówkach nocy doczekać, i korzystając z jej cieni wydobyć się z przykrego więzienia. To im się łatwo a przynajmniej znacznej części mogło być

udać. Nie chciałem jednak na to pozwolić. Rozdzieliłem kompanię na trzy części — porucznika di Ariano z trzydziestoma ludźmi zostawiłem nad brzegiem wąwozu, a z pozostałymi wszedłem w jego otchłań.

Powstała walka zacięta, bo śmierć lub życie ze stron obu. Dwudziestu ludzi tak w zabitych jak w rannych straciłem, mnie samemu karabinowa kula nogę przeszła, ale też sowitą nagrodę pozyskaliśmy trudów i krwi rozlanej. Trzydziestu pięciu bandytów poległo, dwudziestu do niewoli wzięliśmy, ośmiu tylko los był dla nas zagadką, bo widząc bezskuteczność oporu, a nie chcąc żywcem w nasze wpaść ręce, rzucili się w łożysko strumienia. Lecz czy zginęli w jego otchłani, czy jakim szczęśliwym trafem dla siebie ocaleni byli, nikt nie mógł wiedzieć.

Mniejbym przecież na ich zniknięcie dawał baczenia, gdyby właśnie w ich liczbie nie znajdował się sam herszt Fra Bartholomeo. Poznałem go wśród zaciętej walki — był to ten sam młodzieniec, który trafnym pomysłem i rozkazem skrycia się, uchronił niedawno bandę od całkowitej zguby. Istotnie podziwiać musiałem jego męstwo, zimną krew i zacięty upór w obronie — godnej leyszej sprawy. Każdy krok, każdą stopę ziemi drogo nam płacić kazał. Dwóch z moich żołnierzy własną ręką zabił, kilku ranił, kula nawet, co mą nogę przeszła, wyszła z jego karabinu. A gdy otoczony z wszystkich stron, utraciwszy po kolei najdzielniejszych towarzyszy, wystrzelawszy naboje i zrąbawszy pałasz, widział, że nie sposób opierać się dłużej, nie chcąc dostać się do niewoli — bez wahania wskoczył w odmęt strumienia, z brzegu w tym miejscu na trzydzieści łokci przynajmniej wzniosłego, a najeżonego rumowiskiem skał, krzakami cierni i olbrzymich kaktusów.

Okolo czwartej z południa, po opatrzeniu ran moich żołnierzy i mojej, po kilku daremnych usiłowaniach przedarcia się w głąb strumienia, dla odkrycia losu Fra Bartholomea, zarządziłem odwrót, i szczęśliwie już o późnym wieczorze w San-Indelfonso stanąłem.

Rana moja była lekka, lecz pogorszyła się utrudzającym kilku-godzinnym marszem, a nadewszystko opatrzaniem chirurga kompanii, członka kilkunastu akademij uczonych, męża niezaprzeczonej nauki, a przynajmniej zarozumienia, co koniecznie w mej nodze chciał znaleźć kulę bandyty, kiedy ona Bóg wie gdzie wśród skał góry Irpino została. Napróznom prosił, błagał, zaklinał, gniewał się — on krajał, rznął, świdrował biedną mą nogę, że spuchła, zajętrzyła się i wstrzymała mnie w łóżku blisko dwa tygodnie.

Cóż robić. Trzeba się było poddać losowi, a przecież nie wyobrazisz sobie czytelniku, jak cheiwie oczekiwałem wyleczenia, jak rad byłbym zejść się z Marchezą, szyderstwem szyderstwo odpłacić, uragać jej w oczy, jak mnie urągała niedawno! — Ani pochwała Króla Joachima, ani krzyż kommandorski orderu obojga Sycylii, ani zapewnienie wyższej rangi, nie cieszyły mnie tyle, jak to, że zwycięstwem i wytepieniem bandy, mogłem przekonać szyderezą Włoszkę o naszym męstwie, mogłem dać jej wyobrażenie, co to jest żołnierz, Wielkiego Napoleona gwardzista!

Lecz kiedy rad nierad musiałem ślecieć i nudzić się w kwaterze, popijając dekokty, i obwijając nogę nie wiem już ilu balsamami włoskiego medyka, mój przyjaciel Signor di Ariano czasu nie tracił i całe dni przepędzał w towarzystwie hożej wdówki, kiedyś swej narzeczonej.

Nie był przecież tyle szczęśliwym, jak pragnął i jak mu z serca życzyłem. Bezustannie skarżył się na zmienny

humor, dziwaczny charakter i przekąsy marchezy. — Nie pojmujesz, drogi Kapitanie, mówił mi nieraz, ile ja cierpię. Kocham ją, a przeaież się jej lękam, pragnę posiadać jej rękę, a czuję, że otrzymawszy, nie będę szczęśliwy; wabi mnie i odpycha, nęci i dręczy, istotnie życie mi niemiłe.

Przy końcu tygodnia jednak w lepszym był humorze.

— Kocha mnie, mówił, jestem tego pewny, drogi Signor Capitano. Czy pojmujesz me szczęście? Będę jej mężem, panem tego zamku, opuszczę służbę, będziem mieszkać razem, nierozłączeni. Droga Leonora ścisnęła dzisiaj mą rękę, kochanym swoim kuzynem nazwała, jutro jej się oświadczam.

Śmiałem się z biedaka i życzyłem mu szczęścia, lecz jutro nadeszło, on się nie oświadczył, nie miał siły do tego, jak mówił. — W tym dniu odebrałem depeszę generała Bignon. Donosił mi, że jeńcy pojmani od nas wyznali na indagacyi, iż ich dowódca był w porozumieniu z kilku służącymi Marchezy della Plata, szczególnie z dwoma dawnymi naszymi przewodnikami. Kazał ich więc pod strażą do Benevento odesłać — zawiadamiął także, iż Fra Bartholomeo nie zginął, jak sądziliśmy. Kilku wieśniaków widziało go w poglizu Erigento. Zdaje się więc, że znalazł schronienie w okolicach tego miasta, a może nawet w zamku Indelfonso. Poleconą więc miałem jak największą baczność i śledztwo.

Wypełniając ten rozkaz — po przyległych wzgórzach, codziennie rozsyłałem patrole, żołnierze, zachęceni nagrodą trzech tysięcy cekinów, wyznaczoną za głowę Fra Bartholomea, nie skapili trudów i starań nadaremnie przecieź. — Obwinieni śludzy Marchezy, zginęli także bez śladu.

Tak ubiegło dni kilka. W tym czasie rana moja, dzięki łaskawej naturze, a nie morderczemu doktorowi, zagoiła się o tyle, że postanowiłem jutrzejszego rana z kompanią osobiście wyjść w góry i śledztwo zarządzić.

Gdy ten zamiar wyjawiał zgromadzonym w mej kwaterze oficerom, podporucznik Kownacki, rzekł mi w polskim języku.

— Ależ mój kapitanie! Kto wie, czy my nie robimy jak ów chłop, wedle naszego przysłowia, co szukał konia, siedząc na nim. Wałęsając się po przeklętych Abruzach, drapiąc po skałach, łamiąc karki w wąwozach, nie przepomniawszy żadnej ścieżki i krzaczka, o przejrzeniu zamku nie pomyśleliśmy tylko.

— Co znowu, mój poruczniku, — odparłem śmiejąc się. — Czy chcesz, aby Fra Bartholomeo, krył się między naszymi żołnierzami, lub wśród poddanych Marchezy, z których każdy wie, jak sowita czeka go nagroda za wydanie zbrodniarza! Za trzy tysiące cekinów, mój bracie! W tym kraju ojciec syna, brat brata zaprzedałby chętnie!

Skinął lekko głową na tę uwagę mój niewierny Tomasz, i wyrzekł:

— Alboż koniecznie śludzy Marchezy mają wiedzieć o pobycie łotra w tym zamku!

— A więc samą naszą gościnną gosposię miałbyś w podejrzeniu?

— Dlaczego nie? — była spokojna odpowiedź.

Nie mogłem wstrzymać się i parsknąłem śmiechem. Mój podporucznik obojętnie wyrzekł:

— Jeżeli pozwolisz kilka chwil osobnej rozmowy, może zmienisz swe zdanie, i podejrzenie moje dziwnem ci się nie wyda.

Pożegnałem włoskich kolegów, pan Kownacki mówił mi:

— Trzeba ci najprzód wiedzieć, że w tym zamku zrobiłem znajomość, ot tak, małą żołnierską znajomość z Pauliną, garderobianą Marchezy. Dobra dziewczyna, i jak na Włoszkę wcale nieszeptna.

— Nie wątpię o tem, już tyle razy o twym dobrym goście mogłem się być przekonać.

— W nudach człowiek musi szukać rozrywki. Zresztą chciałbym się nauczyć po włosku, aby przecież czemś się pochlubić za powrotem do kraju. Wiesz zaś, że najlepszym nauczycielem, piękna i młoda dziewczyna, wprawa w rozmowę idzie sama z siebie. Otóż gdyśmy temu dni dwa wieczorem po ogrodzie z Pauliną chodzili, rozmawiając to o tem, to o owem, nieboga nagle zadrżała i zbladła. Spytałem o przyczynę. Pokazała mi Marcheżę boczną aleją ku Belwederowi biegnącą. W jej ręku był jakiś koszyczek starannie szalem pokryty, w oku widoczna niespokojność, rzucała niem na prawo i lewo. Szczęściem nie dojrzała nas, bośmy co żywo ukryli się w altankę, gęsto winogradem pokrytą.

— I cóż dalej?

— Cóż? powróciliśmy do zamku.

— I toż jest całe twoje przekonanie o występku Marchezy, kochany kolego? — wyrzekłem, śmiejąc się do rozpuku.

— Lecz na tem nie koniec, mój kapitanie! Owa wieczorna wycieczka naszej gosposi do opuszczonej i ustronnej budowli, wbiła mi klin w głowę. W tych przeklętych Włoszech dziwne rzeczy dzieją się częstokroć, pomyślałem sobie, nie ma komu wierzyć, zdrajców, jak nasiał. Podejrzenie moje zwiększyło się jeszcze, gdy Paulina pod sekretem wyznała, że jej pani od niejakiego czasu to

wieczorem, to nocą biega do Belwederu, za każdym razem biorąc coś z napoju i jadła. Kogoż ona tam żywi, kogo odwiedza, kim się opiekuje? Kilkakrotnie kierowałem przechadzkę ku pałacykowi, zawsze drzwi jego zamknięte, wewnątrz cicho, ponuro. Gdym dzisiejszego popołudnia wracał z wycieczki, nagle spotkałem się z Marchezą. W małym koszyczku, który pod mantylą kryła, dojrzałem butelkę szampana, ciast sporo i zraz pieczeni. Zbladła na mój widok, strwożyła się widocznie. Na zapytanie, w którą stronę ogrodu chce skierować przechadzkę, odpowiedziała coś, jękając się, przez grzeczność, chciałem jej ulżyć ciężaru w niesieniu koszyka. Zadrżała, oko jej dziwnie błyszczało. Nie jestem wielkim znawcą serc ludzkich, ale zdaje mi się, że wielką miała chętkę zapoznać ostrze sztyletu z mą pierśią. Szczęściem może dla mnie, że go nie znalazła w zanadrzu, odparła zaś, że to strawa dla biednego chorego ogrodnika, że idzie go szukać, i tem podobnie. Udałem, że wierzę wszystkiemu i powróciłem do mej kwatery. Otóż wszystko, co wiem, ale zdaję mi się, że to dosyć, aby naszą kochaną Marcheżę mieć w podejrzeniu nie miałem.

Nie mogłem zaprzeczyć, aby wiadomość, udzielona przez porucznika, nie zrobiła na mnie wrażenia. Ale też przyszła uwaga — kto wie, kogo Marcheza w swym Belwederze ukrywa? Włoszka nie przebiera w kochankach, może jakiemu *Cavaliero servente*, naznaczyła to ustronne mieszkanie, aby ukryć go przed oczyma świata, a nadewszystko przed biednym Signorem di Ariano. — Cokolwiekby, wahać się nie mogłem. Musiałem zrobić przegląd zamku, to był mój obowiązek — obowiązek żołnierza i naczelnika wyprawy przeciw bandytom, inaczej nie byłbym posądzony o niedbałość lub lekceważenie rozkazów zwierzchników?

Wydałem stosowne polecenia, a zrobiwszy przegląd kompanii, już wieczorem do kwatery wróciłem. — Była dziesiąta godzina. Po skwaronym dniu chłód przyjemny. Umyśliłem z niego korzystać, a zarazem przejrzeć okolice zamku. Dla łatwiejszego ułożenia planu na jutro, wyszedłem do ogrodu.

Noc była piękna, istotnie neapolitańska. Trzeba zaś wam wiedzieć, że ona tylko w południowej Italii na uwielbienie zasługuje. Dnie są zazwyczaj upalne i skwarne, a gdy jeszcze domięsza się duszący Sirocco, przeklinać musisz tych, co ci duby prawią o przyjemnościach włoskiego klimatu. — Na niebiosa, nie tej błękitnej, mdłej barwy, jak są zwykle nasze, ale ciemno-lazurowe, przejrzyste, ogniste, księżyc wysunął swe złoto koło. — Tysiące ptaszat, ukrytych wśród zieleni niebotycznych kasztanów, jaworów i olbrzymich drzew fruktowych, powitało go melodyjnymi piosnkami. Błądząc w cieniu gęstych szpalerów złotej wierzby, lauru, tego pięknego wielkiej Grecyi drzewa — róż i potwornych, koleczystych kaktusów, pomimo woli, owionęła duszę jakaś nieokreślona melancholia, smętność. Myśl poskoczyła w przeszłość, w piękne lata młodości, spędzone wśród swoich i na swojej ziemi. — Ach! tu pięknie, tu rozkosznie, myślałem, tu niebo bez chmur, życie bez trosk, tu raj; tam niebo rzadko pogodne, kraj zimny i biedny, przyroda skąpa. Ależ to kraj własny, ziemia rodzinna, bogata wspomnieniami rodu, wspomnieniami własnymi. Boże mój! — Rychnoż mnie ją dasz ujrzeć, pozwolisz na niej zamieszkać, pozwolisz wytechnąć po tylu trudach i znojach, uściśnąć lubych, dawnych przyjaciół, dobrą siostrę, kochanych braci, zgrzybiałego ojca!

Z pamięci mojej wybiegł całkowicie i cel przechadzki, i Marcheza, i bandyci. — Usiadłszy na darnio-

wej ławce w gąszczu szpaleru, tocząc wzrok po lazurówym niebios przestworzu, rozkoszowałem się marzeniami, łudziłem ponętną przyszłością, rozliczałem powabne wspomnienia przeszłości — gdy oto nagle, niedaleko od siebie posłyszałem szmer kroków dwóch osób, a wkrótce doszły mego ucha i wyrazy rozmowy. — Łacno rozpoznałem harmonijny, czysty, lecz ostry i ucinkowy głos Marchezy, i głos smętny mojego przyjaciela porucznika di Ariano. Marcheza mówiła:

— A więc o pierwszej z północy czekam cię Jovanne! Wszystko już gotowe, konie rozstawione do samego *Salerno*, paszporta w porządku, od ciebie, powtarzam, nie chcę nic, nic więcej, jak godzinę pomocy, przeprowadzenia nieszczęśliwych przez strażę ułanów aż do *Nusco*.

— Gubisz mnie Leonoro!

— Gubię, powiadasz, a przecie, czy nie wiesz, jaką nagrodę w zamian ci niosę: pojutrze, jutro gdy zechcesz, będę twoją, twoją na wieki.

— Lecz honor, honor!

— Ach! i toż miłość twoja, na którą się klniesz, miłość, bez której, jak powiadasz, nie możesz żyć! Mniejsza o to, wszystko od twojej zależy woli, nie przyjmujesz warunku, dobrze, oni zginą, lecz ja nigdy, nigdy, czy słyszysz, twoją nie będę.

— Lecz zmiłuj się, czy koniecznie dzisiaj, pozwól dzień namysłu, przygotowania.

— Ani chwili dłużej, niż do pierwszej z północy, przyczynę wiesz. Ten przeklęty polski oficer spotkał mnie dzisiaj, niosącą strawę nieszczęsnym. Odgadł zapewne ich pobyt, uśmiechał się szyderez. Ach! czemuż nie mogłam utopić sztyletu w jego piersi! Wydrzeć mu języka z gar-

dła! Ach! ręczę ci, jutro kapitan śledztwo w całym zamku zarządzi!

Odpowiedzi porucznika nie mogłem dosłyszeć. Tak on, jak i Marcheza, zwrócili się w boczną aleję do zamku wiodącą i po skrzypnięciu drzwi domyśliłem się, że weszli do niego.

Nie mogłem już powątpiewać o słuszności domysłów mojego rodaka podporucznika, lecz trochę, co posłyszałem z rozmowy Marchezy, dało mi poznać, że w jej zbrodni Signor di Ariano czynny weźmie udział. Znałem go bowiem — wiedziałem, że honor mu świętym, ależ czy Włoch, Neapolitańczyk, waha się kiedy w wyborze między nim a miłością?

Było pół do dwunastej, gdym do kwatery powróciłem. Nie miałem więc długiego czasu do namysłu. Dwa nastęrczały mi się środki: albo natychmiast zrobić przegląd zamku, lub też czekać do naznaczonej godziny i w zasadzkę schwytać uciekających; lecz w pierwszym razie, czyż mogłem być pewnym ujęcia łotrów, korzystających z nocy, ze znanych sobie kryjówek? Nie mogliżby ujść bezpieczni? — W drugim razie, czyż nie narażałem porucznika na przykrą odpowiedzialność, na cierpkie ze strony zwierzchników zarzuty? — Lubilem go bowiem, jak to już wspomniałem, i serce bolało na samą myśl zniesławienia walecznego kolegi.

Przykra to walka, choćby dla człowieka najsilniejszych zasad, obowiązku ze skłonnościami serea, wspomnienie na honor, rozstrzygnęło ją przecież. — Nie! wyrzekłem do siebie, winienem zrobić, co mi nakazuje sumienie. Wahać się nie mogę, zresztą schwytawszy okrutnego herszta rozbójników, czyż nie znajdę sposobu wywikłania porucznika z przykrej sprawy, w którą go sza-

lona namiętność rzuciła? Czyż zwierzchność wtedy nie zamknie oczu na przewinienie nierozważnego młodzieńca? Tydzień aresztu, przeniesienie do innego pułku, nie będą mu karą jedyną?

Temi zajęty myślami, wybrawszy dziesięciu żołnierzy, na których odwagę i roztropność mogłem być rachować, udałem się czempredzej w najgłębszem milczeniu na drogę do Nusco wiodącą. Miejsce ułatwiło zasadzkę. Szczupły oddział ukryłem w gęstych pobocznych zaroślach, a dawszy najsurowszy rozkaz użycia siły tylko w razie gwałtownego oporu, z niecierpliwością oczekiwałem naznaczonej godziny.

O kilka minut po pierwszej, dojrzelśmy mały orszak pieszy, wychodzący z ogrodu. Składało go pięć osób: Marcheza, porucznik, jakaś kobieta, i dwóch dawnych naszych przewodników w góry. — Przyznam się, że oczekiwanie moje doznało zawodu i że żałowałem postępku, który tak Marchezę, jak i Signora di Ariano na tysiączne nieprzyjemności narazi, kiedy widocznie nie ocalenie Fra Bartholomeo, ale tylko dwóch mniej winnych biedaków było ich celem. — Cokolwiekby musiałem do końca doprowadzić mój zamiar, bo pozwalając na ucieczkę bandytów, nie wystawiałem się na podejrzenia i sarkanie własnych żołnierzy, tych żołnierzy Napoleona, którym nie sposób było nakazać milczenia, którzy nie wahali się kontrolować postępowania swych oficerów i nieraz jak oskarżycielami — tak i surowymi ich byli sędziami?

Na znak dany przezemnie mały orszak w mgnieniu oka został okrążonym. — „Poddajcie się!“ silnym głosem krzyknąłem. Porucznik poznawszy mnie, zbladł, zadrdzał i wypuścił z rąk szablę, którą z pochwy w pierwszej chwili napadu wy dobył. — Dwaj wieśniacy bez za-

dnego oporu dali się pojmać sama tylko towarzyszka Marchezy ujęła pistolet do ręki, dała ognia i żołnierz, który jej drogę zastąpił, upadł bez życia. Ten sam los spotkał drugiego. Poskoczyłem wtedy, silną ręką ująłem dłoń morderczyni — i poznałem w zuchwałej kobiecie naczelnika abruzyjskich bandytów, postrach południowej Italii — Fra Bartholomeo!

Szamotanie się moje z bandytą trwało chwil kilka, i jakkolwiek przyroda nie skapo udzieliła mi odwagi i siły, nie byłem w stanie dłuższej walki wytrzymać. Lecz nadbiegło czterech żołnierzy i wkrótce zuchwalec, zionąc przekleństwami, drżąc rozpaczą i bezsilną chęcią zemsty, powalony na ziemię i skępowany, uleż musiał.

Wtedy dopiero o innych pomyślałem jeńcach, a nadewszystko o poręczniku. Lecz gdym się zbliżył do miejsca, w którym pozostawiłem go na początku walki — krew ścięła się w mych żyłach — dreszcz wstrząsnął ciałem, okropny widok był przed oczyma mojemu — nieszczęsny własną krwią zbroczony, tarzał się po murawie, pasując się ze zgonem.

— Dla Boga! co to jest, co to znaczy? — krzyknąłem.

— Zabiłam go! — odparł mi szyderycy, chrapliwy straszny głos Marchezy.

Spojrzałem, nie — to nie była kobieta — to był szatan — chrya, widmo jakieś piekielne — o oku iskrzącem, nabiegłem krwią — rozczochranych włosach — twarzy bladej — żyłach czoła nabrzmiałych, z nagim, świeżo zbroczonym w rękę sztyletem.

— Pani! Jakto, ty, śmiałaś? — wyjąkałem po kilku chwilach, gdy nieco mogłem zebrać me zmysły, z przest్రachu, z gniewu i bólu ochłonać.

— Ha! czemuż dziwisz się, dumny Polaku! — odparła. — Czy nie wiesz, jak u nas, my, Włosi, zdradę płacimy? Krew za krew, alboż niesłusznie? On ci go sprzedał, zgubił Fra Bartholomea, on mnie zgubił, moje szczęście, moją przyszłość, zginąć więc musiał. Oby taki wszyscy zdrajcy koniec mieć mogli! A teraz ja w twoim ręku, zabij mnie! zamorduj! ukarż, jak chcesz, nie zleknię się, nie wzdrygnę, lecz pozwól mi, pozwól tylko chwilę jedną, niech się z nim pożegnam, z twoją ofiarą, z twym wrogiem! Fra Bartholomeo. Bo śmieję się, drwij ze mnie, zwiej jak chcesz, on mój mąż, kochanek!

Wyrwała się z rąk dwóch żołnierzy, którzy przy niej od chwili zgonu porucznika z dobytymi szablami na straży stanęli, i co żywo pobiegła ku jęczącemu, rozpaczającemu w swych więzach bandycie. — Ja zbliżyłem się do kolegi, żył jeszcze, lecz rana jego była śmiertelną, ratunek próżny: sztylet ugrząśł w piersi głęboko. Ścisnąłem dłoń nieszczęśliwego, chciał coś wyrzec, lecz dech zgasł w łonie, usta pobladyły, twarz zesiniała, jęknął — i skonał....

* * *

Marcheza, którą do Neapolu odesłałem, skazaną była przez trybunał na śmierć, kara ta przecież za staraniem licznej i możnej familii, w dożywotnie więzienie w Ospedale di poveri przez królową Karolinę zamienioną została. Gdy panowanie Joachima upadło, zbrodniarka obdarzona wolnością, czczona jak bohaterka, poślubiła jednego z książąt sycylijskich i dotychczas może w honorach i dostatkach życie z nim wiezie. Fra Bartholomeo słusznej kary

nie uszedł. Oddany pod sąd wojenny, następnego tygodnia w Benewento powieszony został, jego zaś ciało, zamknięte w klatce żelaznej, jak to zwyczaj we Włoszech, dla postrachu bandytów, umieszczono na wyniosłej kłodzie, na drodze San. Indelfonso do Nusco. Dwaj wieśniacy, nasi przewodnicy, wzięci na indagacyą wyznali, że od roku już Marcheza była w związku z bandytą, — że mu częstokroć w swym zamku dawała schronienie i zawiadania ustawicznie o planach i pochodzie wojsk rządowych, na jego schwytanie wysłanych. Ona też urządziła zasadzkę w parowie góry Irpino, aby zgubić nasz oddział. Szczyściem los chciał inaczej, jak to wie z mojego opowiadania czytelnik.

Co do porucznika Jovanne di Ariano — pochowaliśmy jego zwłoki ze wszystkimi honorami wojskowymi na cmentarzu klasztornym w Erigento. Zrazu zgon nieszczęśliwego wielkie zrobił w Neapolu wrażenie, przez tydzień przynajmniej był wyłącznym przedmiotem rozmów i ubolewań wszystkich wyższych i niższych towarzysztw, lecz nowe wrażenia inne przyniosły wypadki, zagładziły wspomnienie o biednym nietylko w pamięci towarzyszy, znajomych, lecz nawet i krewnych, i dziś po latach trzydziestu, któż przypomni sobie, że on żył, że zginął ofiarą szalonej miłości i straszliwej włoskiej zemsty. Lecz czemu dziwię się, czemu ubolewam nad tym lekko-myślnym, szydzącym z naszej dumy charakterem świata! Nie jestże to konieczny wypadek ogromu wrażeń, jaki czas mu niesie. Zwalczyć niejako ten czas, przekazać potomności swe imię, jakże mało istot jest udziałem. — Ach! i mnie — po latach trzydziestu któż wspomni sobie, kto na mogiłę przyniesie łzę, jedno westchnienie? A przecież nie marzyłem, jak tyłu innych, o wiekopo-

mnej sławie. Czyż w tylu walkach dla niej ochoczo nie narażałem życia, krwi nie lałem? Biedne jest życie człowieka, a gdy mu już przyszłość uroczy się nie uśmiecha, gdy z jej ułudami już rozstać się musi, wówczas to życie i życiem zwać się niegodne. — Jest ono tym stanem trupim, bolesnym, który tak słusznie i pięknie, jeden z naszych młodych poetów, z mękami upiora porównał.

K O N I E C.

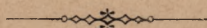
ANULOWANO





TREŚĆ.

| | Str. |
|--|------|
| Adam Amilkar Kosiński | 3 |
| Sąd wojenny | 5 |
| Vivat Polonus unus defensor Mariae | 49 |
| Zdobycie Tarragony | 75 |
| Trzej bracia | 119 |
| Ruiny Arquino | 169 |
| Bandyta | 199 |



601-
52256 / 29288

Biblioteka UJK Kielce

UJK



0472720